

M A G A Z Y N N I E T Y L K O D L A Ż O Ł N I E R Z Y

POLSKA ZBROJNA

nr 2 (874)
LUTY 2019

ISSN 0867-4523

WOJNA INFORMACYJNA

Kaliber słowa

Najpotężniejsza broń
na czas pokoju.



CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)



ZOSTAŃ ŻOŁNIERZEM RZECZYPOSPOLITEJ

mon.gov.pl/zostan-zolnierzem

UNIKATOWE
DOŚWIADCZENIE

PRACA
W MIĘDZYNARODOWYM
ŚRODOWISKU

SŁUŻBA
DLA POLSKI

MISJE
ZAGRANICZNE

SPOTKANIE
LUDZI
Z PASJĄ



PRESTIŻ
MUNDURU

ROZWÓJ
OSOBISTY
I ZAWODOWY

SZKOLENIA
W KRAJU
I ZA GRANICĄ

ATRAKCYJNE
ZARÓBK
DODATKI
NAGRODY
EMERYTURA

#ZostańŻołnierzem



SŁUŻYMY
NIEPODLEGŁEJ



Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

” MANIPULACJA INFORMACJĄ – JESTEŚMY JEJ PODDAWANI KAŻDEGO DNIA. Z TYM PROBLEMEM OD LAT MIERZĄ SIĘ NIEMAL WSZYSTKIE PAŃSTWA NA ŚWIECIE.

Pierwszym celem takich działań jest społeczeństwo, przez które można z zewnątrz wpływać na rozwój wydarzeń w danym państwie. Często nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego, że jesteśmy bombardowani fałszywymi wiadomościami. W ten sposób toczy się wojna informacyjna – cicha, niewidoczna, ale bardzo niebezpieczna i, jak wskazują eksperci, o wiele mniej kosztowna niż działania konwencjonalne.

Sposoby i mechanizmy tej walki zmieniają się z dnia na dzień, są udoskonalane i maskowane, a przede wszystkim podporządkowane bieżącym celom politycznym, ekonomicznym czy militarnym. Jak zatem oddzielić prawdę od manipulacji? W jaki sposób budować swoją świadomość i zdobywać wiedzę na temat tego typu zagrożeń? Jak nie poddać się działaniom propagandowym Rosji? Co jest ważniejsze od tzw. fake newsów w wojnie informacyjnej? W bieżącym numerze pokazujemy naszym czytelnikom szerokie spektrum tego zagadnienia.

Przeglądamy się również bliżej sytuacji na Półwyspie Koreańskim. Jak ocenia ekspert, dr Marceł Burdelski z Uniwersytetu Jagiellońskiego, dialog międzykoreański jest intensywny zarówno w kontekście denuklearyzacji, jak i zjednoczenia obu państw. „Gdy we wrześniu 2017 roku wylądowałem w Korei Północnej, a było to dwa dni po próbie nuklearnej, kraj wyglądał tak, jakby się przygotowywał do wojny. Dziś po takiej atmosferze nie ma śladu”, mówi w rozmowie z „Polska Zbrojną” Marceł Burdelski. Zapraszamy do lektury. ■



TEMAT NUMERU

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

12 Walka o narrację

Zagrożenie wojną informacyjną

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK,
ROBERT SENDEK

18 Sterowanie świadomością

Rozmowa z Martą Kowalską

ROBERT SENDEK

26 Szyte zbyt grubymi nićmi

TOMASZ OTŁOWSKI

28 Terroryzm jest medialny

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

32 Słowo jak pocisk

PIOTR KORCZYŃSKI

35 Najgroźniejsza broń AK



ARMIA

EWA KORSĄK

38 Awaria? Bez paniki

Trening na symulatorze Mi-24

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

44 Dwunastka na piątkę

PIOTR RASZEWSKI

50 Model wykuty na froncie

KRZYSZTOF WILEWSKI

53 Straż wschodnia

MARCIN GÓRKA

56 Gdyby wybuchła prawdziwa wojna

Rozmowa ze Sławomirem
Wojciechowskim

MICHAŁ ZIELIŃSKI

60 Codzienność zwiadowcy

EWA KORSĄK

64 Na tropie rzeźnika z Vukovaru



MILITARIA

TADEUSZ WRÓBEL

68 Billiony forintów na zbrojenia

Węgry inwestują w wojsko

TOMASZ OTŁOWSKI

73 Szarża superlekkiej brygady

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

76 Wypływamy na prostą

Rozmowa z Konradem
Konefałem

KRZYSZTOF WILEWSKI

80 Ścieżka szybkich zakupów

TADEUSZ WRÓBEL

83 Okręty za ropę

KRZYSZTOF WILEWSKI

86 Wyciszyć drapieżniki

TADEUSZ WRÓBEL

88 Rosomak i reszta



STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI

92 Scenariusz zapisany w hadisach

Demokracja po pakistańsku

WITOLD REPETOWICZ

98 Powrót do normalności

MICHAŁ ZIELIŃSKI

102 Przegrane zwycięstwo

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

107 Odwracanie sojuszy?

Trzy pytania do Karola
Chwędzuka-Szulca

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

108 Podwójne zamrożenie

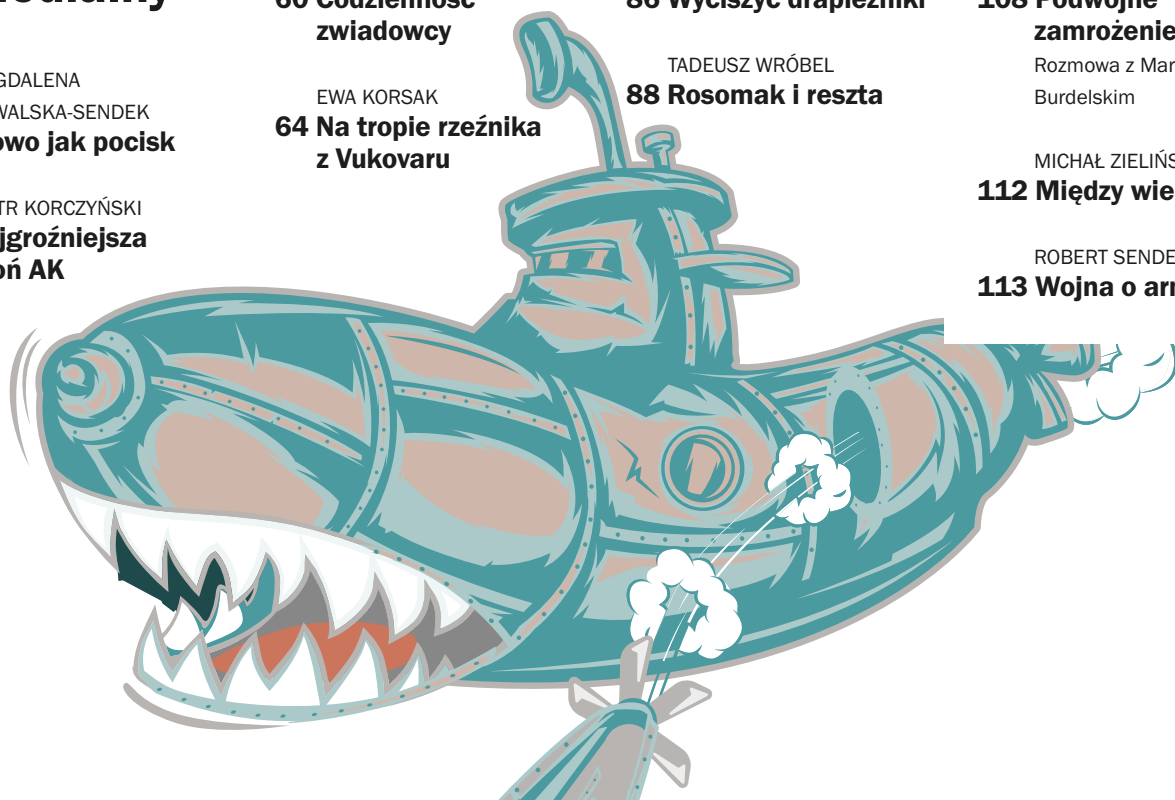
Rozmowa z Marcelim
Burdelskim

MICHAŁ ZIELIŃSKI

112 Między wierszami

ROBERT SENDEK

113 Wojna o armię





PIOTR KORCZYŃSKI
**118 Wielka ucieczka
skończyła się
powstaniem**

Losy Jadwigi Bielskiej
„Szarotki”

PIOTR KORCZYŃSKI
**126 Nie proszę o chleb,
proszę o amunicję**
Rozmowa z Henrykiem
Leopoldem Kalinowskim

ROBERT SENDEK
**130 Spec
od floty
rzecznej**

KRZYSZTOF KUBIAK
133 Skok na krę



PIOTR KORCZYŃSKI
134 Misja jest święta
Rozmowa z Krzysztofem
Schrammem

JACEK SZUSTAKOWSKI
**140 Wojskowa
drabina
na podium**

PIOTR KORCZYŃSKI
**144 Ardeny moralnego
niepokoju**

ANDRZEJ FAFAŁA
**146 Moja wojna
rosyjsko-japońska**



Zdjęcie na okładce:
dimdimich/
fotolia.com

Znajdziesz nas tutaj:



DYREKTOR WOJSKOWEGO
INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Maciej Podczaski,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Izabela Borańska-Chmielewska,
tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CIA REDAKTORA NACZELNEGO
Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213
Zastępcy sekretarza redakcji
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński,
Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendek,
Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata
Schwarzgruber, Robert Sendek, Jacek Szustakowski,
Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel

WSPÓŁPRACA: Andrzej Fałala, Marcin Górka,
Krzysztof Kubiak, Tomasz Ołowski, Piotr Raszewski,
Witold Repetowicz, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

ZDJĘCIA

Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka, Monika
Siemaszko, tel.: 261 845 170; Andrzej Witkowski
(fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;
Renata Gromska, January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (kierownik), Patryk Czarnowski, Agnieszka
Karaczun, Anita Kwaterowska (tłumacz), Marta Szulc,
Małgorzata Szustkowska, tel. 261 845 387, 261 845 180,
faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

Numer zamknięto: 25.01.2019 r.

DRUK

ARTDRUK ul. Napoleona 2, 05-230 Kobyłka,
www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych
„Polski Zbrojny” można składać poprzez:

– www.polska-zbrojna.pl
– www.garmondpress.pl/prenumerata
– www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym
prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojny”,
dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER



Narodowe Archiwum Cyfrowe.
220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla
stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja
nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.
Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji
wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400.
Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska
Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje
regulamin dostępny na stronie głównej portalu
polska-zbrojna.pl.

WIRUS

LEKKI POJAZD UDERZENIOWY LPU-4

W 2017 roku dokonano wyboru lekkiego pojazdu uderzeniowego w ramach programu „Zmija”. Do jednostek rozpoznawczych ma być dostarczonych 118 egzemplarzy LPU-4 Wirus skonstruowanych na podwoziu Mitsubishi L200.

- Skrzynia biegów – manualna, 6-biegowa lub automatyczna 5-biegowa
- Załoga – 3 osoby (kierowca, dowódca, operator uzbrojenia)
- Masa własna – 1700 kg
- Ładowność – 900 kg
- Układ napędowy – 4×4, z centralnym mechanizmem różnicowym
- Napęd – silnik wysokoprężny o mocy 180 KM
- Uzbrojenie (różne warianty) – karabiny maszynowe kalibru 5,56; 7,62 i 12,7 mm, granatnik kalibru 40 mm



KLATKA KAPOTAŻOWA

Rozmiary oraz masa wirusa pozwalają na transport drogą powietrzną, samolotami lub śmigłowcami. Pojazd ma zapewnić załodze siedmiodniową autonomię działania. Ważnym elementem konstrukcji jest klatka kapotażowa wykonana z rur ze stali chromowo-molibdenowej.







WYŻSZY ŻOŁD

**Najmniejsza podwyżka wyniesie 200 zł,
największa 550 zł – to propozycje
MON-u dla żołnierzy zawodowych.**

Minister Mariusz Błaszczak podpisał rozporządzenie dotyczące nowej siatki płac żołnierzy zawodowych. Nowe stawki obowiązują od 1 stycznia 2019 roku, a wojskowi mogą liczyć na wypłatę pieniędzy, wraz z wyrównaniem, do końca pierwszego kwartału. Tegoroczne podwyżki dla żołnierzy zawodowych zostaną przyznane procentowo – w zależności od stopnia, korpusu czy stanowiska, i wyniosą od 200 do 550 zł. Finansowo najwięcej zyskają żołnierze najmłodszego w Wojsku Polskim korpusu (14,1% i 13,8%). Wynagrodzenie starszego szeregowego i szeregowego wzrośnie o 450 zł (odpowiednio z 3270 do 3720 zł oraz z 3200 do 3650 zł). W przedziale od 10,9% do 13% wzrosną pensje podoficerów. Plutonowy otrzyma np. 410 zł (wzrost z 3830 do 4240 zł), starszy sierżant 500 zł (z 4000 do 4500), a chorąży 550 zł (z 4230 do 4760 zł). Oficerowie z kolei mogą liczyć na dodatkowe od 300 do 530 zł do pensji (wzrost wynagrodzeń o 3,4–10,7%). Porucznik dostanie 500 zł więcej (z 4780 do 5280 zł), kapitan (grupa 13 B) – 490 zł (z 5140 do 5630 zł), major (14 B) – 450 zł (z 5660 do 6110 zł), a pułkownik (16 B) – 350 zł. Dla generałów natomiast podwyżka wyniesie od 200 zł (dla generała) do 350 zł (dla generała brygady), co stanowi wzrost uposażenia od 1,3 do 3,7%.

Według rozporządzenia, od 1 stycznia 2019 roku wzrasta – z poziomu 3,20 do 3,63 – wskaźnik, na podstawie którego obliczane jest średnie wynagrodzenie żołnierzy. W praktyce średnio wyniesie ono 5530 zł brutto (wcześniej 4874,53 zł). Na podwyżki dla żołnierzy Ministerstwo Obrony Narodowej przeznaczy w sumie ponad 710 mln zł. PG ■

FOTOGRAFUSZ / STOCK.ADOBE.COM



**ZA REALIZACJĘ KONTRAKTU
ODPOWIADAJĄ
BUMAR, POLSKA
GRUPA ZBROJENIOWA
ORAZ RHEINMETALL.**

Pierwsza trójka

**142 czołgi Leopard 2A4 zostaną
zmodernizowane do 2020 roku.**

Koncern Rheinmetall przekazał Bumarowi Łabędę pierwsze trzy czołgi Leopard 2A4 zmodernizowane do standardu 2PL. Unowocześnione mają zostać wszystkie

maszyny tego typu, które ma polskie wojsko. W ramach pakietu przewidziano m.in. dodatkowe opancerzenie wieży, wymianę układu stabilizacji armaty i napędów wieży z hy-

S-70i dla specjalsów

Cztery nowe śmigłowce Black Hawk dostaną wojska specjalne. Umowę w tej sprawie podpisał z Polskimi Zakładami Lotniczymi w Mielcu minister Mariusz Błaszczak. Dotyczy ona dostarczenia czterech maszyn S-70i do prowadzenia powietrznych operacji specjalnych wraz z pakietami logistycznym i szkoleniowym. „Kupujemy śmigłowce, które należą do najnowocześniejszych na świecie. Użytkują je armie około 30 państw”, mówił szef MON-u. Premier Mateusz Morawiecki podkreślił, że podpisana umowa wzmacnia nie tylko NATO, ale też bezpieczeństwo polskiego nieba oraz rodzimy przemysł. Amerykański Black Hawk to średni śmigłowiec wielozadaniowy. W wersji eksportowej S-70i jest montowany w PZL Mielec, które należą do koncernu Lockheed Martin. AD ■

ŻOŁNIERZE 1 BATALIONU STRZELCÓW PODHALAŃSKICH PRZECHODZILI CERTYFIKACJĘ DO PEŁNIENIA DYŻURU W RAMACH SIŁ ODPOWIEDZI NATO (SON) W OŚRODKU SZKOLENIA GÓRSKIEGO W TRZCIAŃCU

ARKADIUSZ CZERNICKI / 21 BSP

draulicznych na elektryczne, a także zainstalowanie nowych przyrządów optoelektronicznych. Za realizację kontraktu odpowiadają Bumar, Polska Grupa Zbrojeniowa oraz Rheinmetall. W Niemczech powstanie pięć wozów partii przedserijnej, a w Bumarze, pod nadzorem zachodnich specjalistów – partia próbna 12 czołgów. Reszta będzie zmodernizowana przez polskich inżynierów na podstawie przekazanego przez Niemców know-how. KW ■

26 TYSIĘCY OCHOTNIKÓW

O niemal 9 tysięcy zwiększył się tegoroczny limit powołań w szeregi WOT-u.

Projekt rozporządzenia określającego limity powołań do czynnej służby wojskowej w 2019 roku, który został przygotowany przez Radę Ministrów, obejmuje m.in. ochotników służby przygotowawczej, ustanawia także limity powołań na ćwiczenia wojskowe i szkolenia

dla rezerwistów, w tym żołnierzy narodowych sił rezerwowych. W dokumencie określone są także limity powołań w szeregi wojsk obrony terytorialnej, dotyczące żołnierzy terytorialnej służby wojskowej. Pierwotnie w projekcie była mowa o tym, że resort obrony narodowej za-

mierza przeszkolić do 17 142 żołnierzy terytorialnej służby wojskowej. W trakcie prac legislacyjnych MON wprowadziło autopoprawkę do rozporządzenia i zwiększyło limit o blisko 9 tys. Ostatecznie więc, do TSW będzie mogło być powołanych maksymalnie 26 tys. ochotników. PG ■



Za dwa modele BBJ2 oraz jeden 737-800 MON zapłaciło w 2017 roku ponad 2,5 mld zł.

MASZYNY DLA VIP-ÓW

Resort obrony przedłużył czarter **embraerów** od LOT-u.

Najważniejsze osoby w państwie do podróży służbowych używają dwóch maszyn Gulfstream G550, które zostały kupione w 2016 roku przez MON i mogą zabierać na pokład maksymalnie 16 pasażerów, oraz dwóch wycarterowanych od PLL LOT samolotów Embraer ERJ-175 200LR (zabierają ponad 80 osób). Zgodnie z planami resortu obrony czarter od LOT-u miał się zakończyć po wprowadzeniu do służby trzech boeingów – dwóch modeli BBJ2 (dla 65 pasażerów) oraz jednego 737-800 (132 pasażerów). Maszyny kupiono w marcu 2017 roku za ponad 2,5 mld zł. Pasażerski 737-800, który przekazano woj-

sku w listopadzie 2017 roku, nie został jednak jeszcze dopuszczony do przewozu VIP-ów, a dwa modele BBJ2 wciąż pozostają u producenta. Jak podaje kpt. Krzysztof Płatek, rzecznik Inspektoratu Uzbrojenia MON, w tym roku maszyny czekają prace związane z montażem wyposażenia wnętrza oraz systemów bezpieczeństwa.

Do czasu dostarczenia boeingów polska armia będzie zatem używać samolotów wycarterowanych od narodowego przewoźnika. Za wynajęcie maszyn resort obrony zapłaci prawie 160 mln zł. Umowa zakłada wycarterowanie dwóch maszyn w tym roku i jednej w 2020. PZ, KW ■

Pamięci komandosów

W Gdyni stanie pomnik żołnierzy Formozy.

Chcemy, aby pomnik był wyrazem szacunku i uznania dla naszych żołnierzy oraz dla komandosów na całym świecie, którzy są gotowi w każdej chwili oddać życie w służonej sprawie”, mówi pomysłodawca monumentu st. chor. mar. rez. Dariusz Terlecki, prezes Stowarzyszenia Kulturalno-Rekreacyjno-Sportowego „Formoza”, zrzeszającego byłych i obecnych żołnierzy morskiej jednostki specjalnej. Monument będzie przedstawiał dwóch uzbrojonych nurków w bojowym oporządzeniu, wynurzających się z wody. Ideę postumentu poparli dowództwo jednostki, a także prezydent Gdyni Wojciech Szczurek.



Jesienią 2018 roku KRS „Formoza”, prezydent Gdyni i Rada Miasta ustalili, że pomnik stanie na południowym moście skweru Kościuszki. Autorem będzie malarz i rzeźbiarz Michel Lenglard-Lenski. Koszt wykonania rzeźby, wynoszący około 500 tys. zł, poniosą osoby wspierające działalność KRS „Formoza”. Monument zostanie odsłonięty w sierpniu 2020 roku podczas drugiej edycji ultratriatlonu z Helu na Rysy ku czci gen. dyw. Włodzimierza Potasińskiego, który zginął tragicznie w Smoleńsku. PZ, MKS ■

W strukturach sojuszu



Gen. brig.
Zenon Brzuszek



Gen. brig.
Stanisław
Kaczyński

Mariusz Błaszczak, minister obrony, wyznaczył gen. bryg. Zenona Brzuszkę na polskiego narodowego przedstawiciela wojskowego przy Naczelnym Dowództwie Sojuszniczych Sił Zbrojnych NATO (Supreme Headquarters Allied Powers Europe – SHAPE) w belgijskim Mons. To jedno z dwóch strategicznych dowództw NATO, które odpowiada za przygotowanie oraz prowadzenie działań operacyjnych sojuszu. Zadaniem

przedstawiciela będzie koordynowanie działań polskich sił zbrojnych w ramach NATO. Gen. bryg. Stanisław Kaczyński objął stanowisko zastępcy szefa sztabu ds. wsparcia w Dowództwie Sił Lądowych NATO (Allied Land Command – LANDCOM) w Izmirze w Turcji. Jest ono odpowiedzialne za dowodzenie komponentem lądowym w czasie operacji sojuszu. Polski oficer będzie pełnił funkcję doradcą dla dowódcy i szefa sztabu. MKS ■

NA STRAŻY NIEBA

Cztery myśliwce F-16 z 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach od początku 2019 roku nadzorują przestrzeń powietrzną nad Litwą, Łotwą i Estonią w ramach VIII zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego „Orlik”. Do bazy w Szawłach na Litwie polecieli piloci, technicy oraz obsługa naziemna maszyn. Na misji Polacy odgrywają rolę państwa wiodącego. Oznacza to, że nasi piloci dyżurują przez 24 godziny na dobę, na wypadek gdyby niezidentyfikowany samolot wleciał w przestrzeń powietrzną. Jak poinformowało litewskie ministerstwo obrony, w połowie stycznia polscy i niemieccy piloci w ramach misji Baltic Air Policing dwukrotnie przechwycili rosyjskie samoloty wojskowe. Rosjanie lecieli bez włączonych transponderów, a przechwycenia polegały na identyfikacji maszyn oraz ich eskortowaniu w międzynarodowej przestrzeni powietrznej. Polscy lotnicy wykonują też loty patrolowe i pomagają załogom samolotów pasażerskich, którzy stracili łączność z bazą. PZ, EK

Jolancie Muszyńskiej wyrazy głębokiego współczucia oraz wsparcia w trudnych chwilach po śmierci

Córki składają koleżanki i koledzy z Wojskowego Instytutu Wydawniczego.

STUDENCI W MUNDURACH

Rusza druga edycja programu „Legia Akademicka”.

Program jest adresowany do studentów ochotników, którzy chcą odbyć przeszkolenie wojskowe. Pilotażowa edycja została przeprowadzona w roku akademickim 2017/2018 w 61 uczelniach. „Program doskonale się sprawdził, kolejni studenci chcą odbyć przeszkolenie wojskowe i stąd decyzja o kontynuacji”, mówi płk dr hab. Marcin Liberacki, zastępca dyrektora Departamentu Nauki i Szkolnictwa Wojskowego MON. Pod koniec grudnia 2018 roku porozumienie w tej sprawie podpisali przedstawiciele re-

sortów obrony oraz nauki i szkolnictwa wyższego.

Dokument zakłada kontynuację programu szkolenia

W DRUGIEJ EDYCJI PROGRAMU BĘDZIE MOŻNA PRZESZKOLIĆ OKOŁO 5 TYS. STUDENTÓW

ochotniczego dla studentów co najmniej do 2021 roku. Uczelnie wyższe z całego kraju, także niepubliczne,

mogą się zgłaszać do udziału w programie, a pierwsze zajęcia w formie wykładów ruszają w lutym.

Po ich zakończeniu ochotnicy będą się mogli zgłosić na część praktyczną, prowadzoną w czasie wakacji w jednostkach wojskowych i centrach szkolenia. Będzie ona realizowana przez trzy tygodnie w module podstawowym (zakończonym przysięgą wojskową) oraz module podoficerskim (uczestnicy po zdaniu egzaminu podoficerskiego zostaną awansowani do stopnia kaprała). PZ, PG

MOGIŁY BOHATERÓW

Ustawa o grobach weteranów walk o wolność i niepodległość Polski, która weszła w życie z początkiem 2019 roku, tworzy system opieki nad grobami tych, którzy z bronią w ręku walczyli o niepodległość Polski bądź sprawowali kierownictwo polityczne nad tą walką. Zgodnie z zapisami ustawy Instytut Pamięci Narodowej stworzy ewidencję miejsc pochówku osób walczących o suwerenną Polskę. Wnioski o wpisanie mogiły do rejestru mogą składać m.in. osoby fizyczne, fun-

dacje, stowarzyszenia i kościoły. Przepisy wprowadziły też możliwość otrzymania wsparcia finansowego na opiekę nad grobami: budowę, remont, przeniesienie lub utrzymanie.

Dotacje wypłacane z budżetu IPN-u będą stanowiły 80% kosztów, jakie pochłonie wykonanie projektu, a w wypadku świadczeń przyznawanych osobom fizycznym wsparcie pokryje 100% kosztów. Dotacje mają być przyznawane także na opłacenie dzierżawy grobów. JT

POWSTAŁY PRZEPISY

tworzące system opieki nad grobami kombatanów.



**TEMAT
NUMERU**

/ WOJNA
INFORMACYJNA



WOJNA
DO
INFOR-
DO U
MACYJ
PRZE

WALKA O NARRACJĘ

ŁUKASZ ZALESIŃSKI



FEODORA/FOTOLIA

Już Sun Tzu dowodził, że kluczem do zwycięstwa jest dotarcie do umysłu przeciwnika.

Nigdy wcześniej jednak wojna informacyjna
nie odgrywała roli tak wielkiej jak teraz. A wszystko
za sprawą rozwoju technologii i złamania monopolu
na oficjalny obieg informacji.

W

iosną 1805 roku do Wiednia przyjeżdża pewien szlachcic. Przedstawia się jako Węgier wydany właśnie z Francji za działalność

przeciwko Napoleonowi. Na prawo i lewo psioczy na Bonapartego. „Ten szalony Korsykanin wiedzie kraj do zguby! Ludzie mają go dość, żołnierze także!”, gardłuje. Dzięki znajomościom wśród austriackich oficerów dociera przed oblicze samego feldmarszałka Karla Macka von Leibericha. Pokazuje mu antynapoleońską gazetę. Wniosek z zamieszczonych tam artykułów może być tylko jeden: Francja wrze i za chwilę wypowie cesarzowi posłuszeństwo. „Chcecie poczytać? Proszę bardzo!”, zwraca się do sztabowców i rozdaje kolejne egzemplarze pisma. Pokazuje też krytyczne wobec Napoleona listy wysoko postawionych Francuzów.

Mack zaczyna spotykać się z Węgrem regularnie. Słucha, pyta, prosi o rady. A gość przynosi kolejne informacje. Z czasem zostaje jednym z najbardziej zaufanych ludzi feldmarszałka. Jesienią jest u jego boku, kiedy austriackie wojska wyruszają na wojnę z Francuzami. Nie czekają aż swoje uderzenia wyprowadzą sojusznicy – Rosja i Anglia. Francja jest przecież słaba... Oddziały Macka stają pod Ulm i tam czekają, bo tak radzi im Węgier. Zostają jednak okrążone. Kiedy Mack orientuje się, że wpadł w pułapkę, rozgląda się za swoim wiernym doradcą. Ale ten znika... Austriacy ponoszą klęskę.

Po latach wychodzi na jaw, że francuska gazeta, którą zaczytywał się Mack, była sfalszowana, korespondencja również, a ten rzekomo Węgier nazywał się Karl Schulmeister i pracował dla Napoleona. Bonaparte zwykł go nazywać cesarzem szpiegów.

NARZUCIĆ PRZEKAZ

Owa historia to dowód, że wojna informacyjna nie jest wynalazkiem XX wieku. „Już chiński strateg Sun Tzu, żyjący na przełomie VI i V wieku p.n.e., mawiał, że kluczem do zwycięstwa jest dotarcie do umysłów nieprzyjaciela”, podkreśla prof. Tomasz Aleksandrowicz, ekspert ds. bezpieczeństwa z Collegium Civitas. Wojna informacyjna bywa definiowana szeroko: od operacji hakerskich,

sabotażu i dywersji w cyberprzestrzeni, które mają sparaliżować funkcjonowanie instytucji zaatakowanego państwa, aż po oddziaływanie na społeczeństwo przez umiejętne manipulowanie informacją i narzucanie własnego przekazu. Kmdr por. rez. dr Bohdan Pac z Warszawskiego Instytutu Inicjatyw Strategicznych tłumaczy: „To działanie długoterminowe, rozłożone na lata, a jego skutki są często nieodwracalne. Pozwala uzyskać przewagę bez angażowania środków militarnych, przesuwając w czasie akcję zbrojną, często też redukuje jej skalę, a co za tym idzie liczbę ofiar i strat materialnych. Społeczeństwo, które ulegnie tak działającemu agresorowi, nie musi go kochać. Ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie będzie go nienawidzić”.

Tutaj przydatni okazują się na przykład agenci wpływu, którzy dzięki aktywności w mediach lansują korzystne dla agresora opinie, interpretacje zdarzeń, czasem posuwając się do fabrykowania informacji, czyli tworzenia tzw. fake newsów. „Wojna informacyjna jest niczym skrzynka z narzędziami. Państwa ją prowadzące dobierają metody i techniki działania w zależności od potrzeb, zaś ich konfiguracja zależy od tego, kim jest ofiara oraz w jakim otoczeniu funkcjonuje”, podkreśla dr Pac. Liczba możliwości jest ogromna, efekt jednak zawsze ten sam. Wywoływanie wewnętrznych napięć i konfliktów, prowadzących do polaryzacji społeczeństwa i degradacji systemu wartości, wokół których się ono jednoczyło. To z kolei skutkuje kryzysem publicznych instytucji. Państwo staje się słabe, podatne na sterowanie z zewnątrz, bezbronne wobec agresji politycznej, gospodarczej i militarnej.

W ostatnich latach rola tego rodzaju walki urosła do niebotycznych wręcz rozmiarów. „Obecnie działania kinetyczne, czyli wojna w tradycyjnym rozumieniu, to mniej więcej jedna czwarta aktywności uczestników konfliktu. Tak przynajmniej głosi tzw. doktryna Gierasimowa. Reszta sprowadza się właśnie do wojny informacyjnej”, uważa prof. Aleksandrowicz. A wszystko za sprawą galopującego postępu technologicznego.

AGRESJA Z SZUMU

„Kiedyś, aby przeczytać »Washington Post«, musiałem odczekać tydzień, wybrać się do biblioteki



Dr ADAM LEŁONEK: „Rozwój technologii, a co za tym idzie ilość informacji, którymi jesteśmy zalewani, ale i ewolucja sposobów korzystania z nich, postępują szybciej niż społeczna zdolność adaptowania się do nowych warunków”.

ХАРЬКОВ

ROSJA PUTINA PROWADZI WALKĘ INFORMACYJNĄ NA WIELU FRONTACH.

ALE WYDAJE SIĘ, ŻE WOJNA PRZECIWKO UKRAINIE WYZNACZYŁA NOWĄ JAKOŚĆ

i liczyć, że interesujący mnie numer zdążył już tam dotrzeć. Dziś po prostu wchodzę na stronę internetową pisma i przeglądam najnowsze wydanie, zanim jeszcze jego drukowana wersja trafi do amerykańskich kiosków. Internet sprawił, że jeśli chodzi o informację, przestały się liczyć jakiejkolwiek granice”, podkreśla prof. Aleksandrowicz. Na potencjalnego odbiorcę można więc oddziaływać choćby z drugiego końca świata.

„Z łatwością można sobie na przykład wyobrazić, że ktoś poza granicami Polski zakłada polskojęzyczny portal, przy użyciu którego prowadzi kampanię dezinformacyjną, skierowaną do polskiego odbiorcy. Nie musi to być duży podmiot. Wylimitowanie takiego narzędzia jest praktycznie niemożliwe”, podkreśla dr Adam Lelonek, szef Centrum Analiz Propagandy i Dezinformacji. A na tym przecież nie koniec. „Rozwój internetu przyniósł nam złamanie monopolu na oficjalny obieg informacji”, zaznacza prof. Aleksandrowicz. „Dziś twórcą i kolporterem newsa może być każdy. Jakiś Jan Kowalski, który ma konto na Twitterze czy Facebooku. Przypuśćmy, że śledzi je sto osób, a 70 z nich pośle informację dalej. Niewiele? Owszem. Co jednak, gdy agresor wykreuje na przykład 50

identycznie myślących Kowalskich?”, pyta. Siła oddziaływania mediów społecznościowych jest ogromna. Jak wykazują badania opinii publicznej, które przywołuje ekspert, aż 55% Amerykanów zadeklarowało ostatnio, że bardziej ufa opiniom ludzi takich jak oni sami niż środkom masowego przekazu.

„Rozwój technologii, a co za tym idzie ilość informacji, którymi jesteśmy zalewani, ale i ewolucja sposobów korzystania z nich, postępują szybciej niż społeczna zdolność adaptowania się do nowych warunków”, twierdzi dr Lelonek. To rodzi wiele wyzwań. Według prof. Aleksandrowicza, mamy spory problem z weryfikowaniem docierających do nas wiadomości. „Czujemy się mocni w swoich dziedzinach, reszta staje się płynna. Jeśli powiem panu, że w Japonii komputery kwantowe są już powszechnie dostępne, będzie pan potrafił szybko ocenić, czy mówię prawdę? Albo kwestia przyjęcia przez Polskę wspólnej europejskiej waluty. Jestem doktorem habilitowanym nauk społecznych i jeśli ktoś spytałby, czy jestem za przyjęciem euro, odpowiedziałbym, jak w dowcipie: »przyjmę każdą ilość«. Nie znam się na tym, a opinii ekspertów jest tak wiele i są one tak różne, że trudno mi ocenić, kto



ma rację”, podkreśla prof. Aleksandrowicz. Użytkownicy cyberprzestrzeni często więc zamykają się w tzw. bańkach informacyjnych. „Czytają tylko to, z czym sami się zgadzają. To z kolei sprawia, że mają niepełny ogląd rzeczywistości i w efekcie są podatni na manipulację”, wyjaśnia dr Lelonek. Pośród informacyjnego szumu infoagresorzy zyskują ogromną przestrzeń do działania. Dotyczy to zwłaszcza państw takich, jak Rosja.

Jak przyznaje dr Lelonek, kraje niedemokratyczne, takie jak Federacja Rosyjska, do polityki informacyjnej podchodzą w zupełnie inny sposób niż państwa Zachodu: „Po stronie Rosjan aktorami wojny informacyjnej czy psychologicznej są nie tylko specjaliści cywilni i wojskowi czy zwerbowani agenci wpływu, lecz także ich własne media, dyplomaci, politycy. Wystarczy spojrzeć, co działo się po otruciu Siergieja Skripała. Kto i w jaki sposób ośmieszał ustalenia Brytyjczyków, którzy przekonywali, że zamach na niego przeprowadzili rosyjscy operatorzy?”. Moskwa nie przebiera w środkach i traktuje przestrzeń informacyjną i cyberprzestrzeń łącznie. Tymczasem Zachód ograniczają normy demokratycznych społeczeństw, ale i blokady systemowe. „Mieszkańcy Zachodu dopiero się uczą, czym są współczesne zagrożenia informacyjne z wykorzystaniem nowych technologii. Do tego rozpatrują oddziaływania informacyjne i psychologiczne w oddzieleniu od kwestii cyberbezpieczeństwa, co tym bardziej utrudnia prawidłową i spójną ocenę agresywnych działań Rosji wymierzonych przeciwko NATO i Unii Europejskiej, ale też ich członków indywidualnie”, dodaje specjalista. Dlatego właśnie Rosja w informacyjnej batalii z państwami Zachodu już na starcie, w wielu aspektach, ma przewagę.

ROSJA W NATARCIU

„Witam obywateli Rosji, mieszkańców Krymu i Sewastopola”, rozpoczął Władimir Putin, a sala Georgijewska zatrzęsa się od braw. 18 marca 2014 roku przedstawiciele Dumy, Rady Federacji, głowy regionów i inni zaproszeni goście zgromadzili się na Kremlu, by wysłuchać, jak prezydent ogłasza aneksję zagarniętego Ukrainie regionu. A ten tłumaczył, że Półwysep Krymski przez wieki przynależał do Rosji, że teraz jego ludność w demokratycznym głosowaniu uznała, że tak ma być ponownie, że wszystko odbyło się w zgodzie z prawem międzynarodowym, które mówi o samostanowieniu narodów. Zwracając się do Ukraińców,

OBECNIE DZIAŁANIA KINETYCZNE, CZYLI WOJNA W TRADYCYJNYM ROZUMIENIU, TO MNIEJ WIĘCEJ JEDNA CZWARTA AKTYWNOŚCI UCZESTNIKÓW KONFLIKTU. RESZTA SPROWADZA SIĘ WŁAŚNIE DO WOJNY INFORMACYJNEJ

mówił: „Nie wiercie tym, którzy próbują was straszyć Rosją i przekonują, że po Krymie będą następne regiony. Nie chcemy dzielić Ukrainy, nie potrzebujemy tego”. Przy okazji zaś uderzał w USA i ich sojuszników: „Zachód cynicznie wykorzystuje kolorowe rewolucje, chce narzucać własne standardy, a powoduje chaos i przemoc”. A Rosja? Na Krymie nie padł żaden strzał, ba – jak przekonywał Putin – liczba rosyjskich wojsk nie zwiększyła się tam ponad tę zagwarantowaną umowami z Ukrainą.

Według ekspertów, aneksja Krymu to wzorcowy przykład niezwykle twardej wojny informacyjnej. „Kreml mocno popracował nad narzuceniem swojego przekazu. Rosyjskie społeczeństwo usłyszało, że władzę w Kijowie przejęli faszysti i banderowcy, których w dodatku wspiera Zachód, ale Rosja jest znów potężna i nie pozwoli skrzywdzić rodaków, nawet jeśli mieszkają poza granicami. Ukraińcy otrzymali sygnał – nie próbujcie oporu, bo i tak nie macie szans, a na Zachód dotarł komunikat – nie macie już do czynienia ze słabą Rosją Jelcyna. Wróciliśmy na scenę wielkiej polityki”, wylicza prof. Aleksandrowicz. Kiedy na półwyspie pojawiły się „zielone ludziki”, sprawa była już właściwie rozstrzygnięta. Zdezorientowana Ukraina poddała się na Krymie bez walki.

Rosja Putina prowadzi walkę informacyjną na wielu frontach. Konsekwentnie buduje narrację o dyskryminowaniu rosyjskojęzycznych mniejszości narodowych i odradzaniu faszyzmu na Łotwie czy

w Estonii, gra na podtrzymanie terytorialnej dezintegracji Gruzji i Mołdawii, a ostatnio wzięła na celownik Białoruś, która wbrew propozycji Kremla nie chce się jednoczyć. Ale wydaje się, że wojna przeciwko Ukrainie wyznaczyła nową jakość. „Rosyjska armia dysponuje takim potencjałem, że bez trudu mogłaby pobić i zająć Ukrainę. Nie decyduje się na ten krok choćby dlatego, że tego nie potrzebuje. Osiągnęła cel. Odebrała Ukrainie Krym, uczyniła ją państwem upadającym, sprawiła, że nie ma bezpośrednio przy swoich granicach wojsk NATO”, wylicza prof. Aleksandrowicz.

Putin sięga jednak jeszcze dalej. „Wystarczy wspomnieć ostatnie wybory w USA, kiedy Rosjanie byli aktywni w tamtejszych mediach społecznościowych, rozsiewając fake newsy, sterując dyskusjami, aktywizując radykałów i zwiększając polaryzację społeczną”, wylicza dr Lelonek. „Nie sposób jednoznacznie powiedzieć, jaki wpływ miały te działania na zwycięstwo Donalda Trumpa. Niemniej był to kolejny przełom w wojnie informacyjnej i psychologicznej oraz prawdziwy zimny prysznic dla Zachodu, zwłaszcza USA”, dodaje. Co mogą zatem zrobić zachodnie demokracje?

EDUKACJA BEZ CENZURY

Walka z takim rywalem jest niezwykle trudna. Pomijając już nawet aktywność internetowych trolli i kont zautomatyzowanych, tzw. botów, które zasypują media społecznościowe i portale prorosyjskimi, antyzachodnimi czy antysemitkami komentarzami, Rosjanie mocno postawili na rozwój mediów. „Państwowa stacja RT, dawniej Russia Today, nadaje dziś po angielsku, hiszpańsku, niemiecku, francusku oraz arabsku i jest odbierana na całym świecie. Z kolei portal Sputnik ma aż 31 wersji językowych, w tym polską”, przypomina dr Lelonek. I dodaje, że nie jest u nas powszechna wiedza, że oba podmioty mają realizować politykę zagraniczną Kremla i opisują rzeczywistość zgodnie z potrzebami Władimira Putina. „W efekcie przez wiele osób na Zachodzie taka RT jest traktowana jako pełnoprawne źródło informacji, przedstawiające jedynie inny punkt widzenia niż BBC czy CNN. Nasz błąd polega właśnie na tym, że pracowników tego typu ośrodków propagandowych traktujemy jak media w zachodnim rozumieniu”, podkreśla dr Lelonek. Zdaniem prof. Aleksandrowicza Zachód zbyt często pozwala sobie narzucić rosyjską narrację. „Wydarzenia na Krymie w świetle

międzynarodowego prawa stanowiły akt agresji zabroniony przez Kartę Narodów Zjednoczonych. Wiedzą to już moi studenci II roku. A jak często tak właśnie sformułowane twierdzenie pojawiało się w naszej przestrzeni publicznej? Podobnie było z zestrzeleniem nad Ukrainą malezyjskiego samolotu. Swego czasu miałem okazję dyskutować na ten temat w jednej z telewizji. Uczestnicy debaty z reguły mówili o katastrofie. A jaka to katastrofa? Mielśmy do czynienia z klasyczną zbrodnią”, podkreśla ekspert.

„Warunkiem koniecznym efektywnej obrony przed wojną informacyjną jest stworzenie takiego systemu defensywnego, który opiera się na pewnych nienaruszalnych wartościach, takich jak skuteczna ochrona zasobów cywilizacyjnych państwa, zapewnienie integralności i nienaruszalności granic, utrzymanie i powszechne akceptowanie ciągłości państwa, poczucie wspólnoty narodowej i konsekwentna polityka historyczna oparta na faktach”, wylicza dr Pac.

Ważna jest też edukacja społeczeństwa. Według dr. Lelonka, wciąż nie są u nas przestrzegane podstawowe zasady higieny informacyjnej. „Jeśli widzimy, że jakiegoś mniej lub bardziej sensacyjnego newsa kolportuje portal, który nie podaje informacji ani o swoim właścicielu, ani o siedzibie, do tego trudno dowiedzieć się czegoś o jego autorach, to musimy mieć się na baczności”, podkreśla ekspert. „Powinniśmy także precyzyjnie

oddzielać informacje od opinii. Dużą odpowiedzialność spoczywa tutaj na samych mediach, które powinny przestrzegać standardów i etyki zawodowej. Niestety zarówno w Polsce, jak i w innych krajach jest z tym wiele problemów, co wzmacnia pozycję wspieranych przez Kreml mediów alternatywnych głoszących spiskowe teorie czy podważających porządek globalny. I rzecz równie istotna – potrzeba nam rozsądnej ewolucji systemu prawnego. Z jednej strony powinniśmy bowiem wystrzegać się cenzury, z drugiej jednak musimy mieć narzędzia do karania osób posługujących się dezinformacją”, dodaje dr Lelonek. Z kolei prof. Aleksandrowicz zwraca uwagę na konieczność stworzenia wyspecjalizowanej instytucji gotowej do neutralizowania przejawów infoagresji, a także podejmowania własnych akcji. „Wielkie zadanie stoi też przed politykami. Potrzeba nam bowiem państwowców świadomych tego, że bezpieczeństwo kraju to rzecz wymagająca się politycznym podziałom, którzy będą gotowi wspólnie pracować na jego rzecz”.



KOMENTARZ

REMIGIUSZ ŻUCHOWSKI

Ważne jest, aby każdy, a w szczególności żołnierze, z „chłodną głową” przyjmował publikacje i programy zamieszczane w narodowej przestrzeni informacyjnej. Należy weryfikować informacje, korzystając ze źródeł administracji państwa. Najważniejszą zasadą jest kierowanie się wyborami poprzedzonymi merytoryczną oceną. Taka postawa uchroni przed obecnie często stosowaną techniką manipulacji odbiorcą, polegającą na podsycaniu emocji.

Plk REMIGIUSZ ŻUCHOWSKI jest analitykiem praktyki i teorii wojny informacyjnej.



**TROPIENIE
FAKE NEWSÓW**
PORÓWNAŁABYM DO
LECZENIA CHOROBY
ŚRODKAMI PRZECIW-
BÓLOWYMI: LIKWIDU-
JEMY TYLKO OBJAWY,
ALE NIE PRZYCZYNĘ

STEROWANIE ŚWIADOMOŚCIĄ

Z Martą Kowską

*o tym, dlaczego dezinformacja jest ważniejsza od fake newsów,
i o kulisach działań propagandowych Rosji rozmawiają
Magdalena Kowalska-Sendek i Robert Sendek.*

Czy znane od lat powiedzenie „kto ma informację, ten ma władzę” jest aktualne?

Tak mówiło się pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku i na początku obecnego stulecia. Myślę, że dziś sytuacja się zmieniła. Teraz nie samo posiadanie informacji jest głównym celem, lecz zarządzanie nią. Chodzi o umiejętne jej wykorzystanie do realizacji własnych interesów: politycznych, wojskowych, ekonomicznych czy nawet społecznych i kulturowych. Zarządzanie – czyli użycie informacji w celu oddziaływania. „Oddziaływanie” to słowo klucz, zasadnicze w całym tym procesie.

Jesteśmy społeczeństwem informacyjnym. Odpowiednie przetwarzanie informacji i zarządzanie nią może przynieść niemałe profity. Czy prowadzenie takich działań może dać więcej korzyści niż batalion czołgów?

Powszechnie panuje przekonanie, że prowadzenie wojen informacyjnych jest znacznie skuteczniejsze i tańsze od działań konwencjonalnych. W świecie zachodnim, demokratycznym, gdzie konflikty zbrojne w zasadzie nie występują, informacja



jest głównym narzędziem, za pomocą którego prowadzi się wojnę w czasie pokoju. Wojna informacyjna może dotyczyć wszystkich sfer życia: politycznej, militarnej, ekonomicznej, ekologicznej, społecznej czy kulturowej. Myślę, że obecnie jesteśmy na etapie totalnej wojny informacyjnej. Spotykamy się często, również w polskich mediach, z informacjami, które w pewien sposób dezinformują społeczeństwo, może nawet straszą III wojną światową w konwencjonalnym rozumieniu. Być może to prawda, jeżeli jednak rzeczywiście mamy do czynienia z III wojną światową, to trwa ona właśnie na poziomie informacyjnym.

AP/CHARLES KRUPA/EAST NEWS



W demokracji oczywiste są wymiany poglądów, ścieranie się różnych racji i stanowisk. Tego chyba nie możemy nazwać wojną informacyjną?

Zgadza się. Wygłaszanie różnych poglądów, prowadzenie debat nie oznacza automatycznie wojny informacyjnej. Tę wyróżniają dwa podstawowe czynniki: intencjonalność i celowość działań. Oznacza to, że mamy zdefiniowany cel odpowiadający racji stanu i realizujemy go dla osiągnięcia własnych interesów kosztem przeciwnika. Poza tym, mówiąc o wojnie informacyjnej, mamy w domyśle głównie relacje między państwami. Działania takie mogą jednak prowadzić nie tylko rządy poszczególnych państw, lecz także inne podmioty o charakterze międzynarodowym. Takimi są na przykład organizacje terrorystyczne lub – na poziomie gospodarczym – podmioty komercyjne, czyli firmy o zasięgu międzynarodowym.

Przy okazji wojny informacyjnej często mówi się o działaniach informacyjnych czy operacjach psychologicznych. Jakie są różnice pomiędzy tymi pojęciami?

„Wojna informacyjna” to raczej pojęcie publicystyczne. Nie ma takiej definicji w prawie międzynarodowym, w przeciwieństwie zresztą do „wojny konwencjonalnej”. Termin ten zyskał popularność w związku z aktualnymi wydarzeniami, które obserwujemy na świecie. Widzimy bowiem wyraźną intensyfikację działań na poziomie międzypaństwowym, w tym operacji informacyjnych i psychologicznych. Wszystkie te zjawiska zaczęto powszechnie nazywać wojną informacyjną. Nie ma jednak sformalizowanych definicji, ze względu na najróżniejsze niuanse, wynikające z różnych perspektyw, bo np. inaczej będą podchodzili do tego tematu eksperci wojskowi, inaczej będą to rozu-

mieć publicyści i media, a jeszcze inaczej zwykli ludzie. Poruszamy się zatem na wielu różnych poziomach. Gdybyśmy jednak spróbowali się podjąć usystematyzowania tych pojęć, to można by powiedzieć, że operacje informacyjne są terminem najwęższym i są ściśle związane z działaniami państwowymi lub innych podmiotów o zasięgu międzynarodowym, o których była mowa wcześniej. Wojna informacyjna natomiast jest pojęciem najszerszym. Jednakże nie wszystko, co się dzieje w przestrzeni informacyjnej, jest intencjonalnym działaniem jednego państwa przeciwko drugiemu. Istnieje bowiem całe spektrum aktywności, które przypominają narzędzia wojny informacyjnej lub wręcz z nich korzystają, ale nią nie są, jak chociażby marketing polityczny czy komercyjne działania PR. Z mojego punktu widzenia to, co obserwujemy i co jest przedmiotem naszej rozmowy, można nazwać operacjami psychologicznymi z wykorzystaniem informacji.

Po co prowadzi się operacje informacyjne?

Cel jest niezmienny – realizacja interesów narodowo-państwowych danego kraju w innym dzięki wykorzystaniu informacji. W zależności od tego, jak dane państwo zdefiniuje własne cele na arenie międzynarodowej, w sferach politycznej, ekonomicznej czy też dotyczącej jego bezpieczeństwa, to tak będą dobierane narzędzia do prowadzenia takich operacji. Chodzi o to, by wpłynąć na świadomość określonych grup osób lub całego społeczeństwa w taki sposób, żeby skłonić je do decyzji i zachowań korzystnych dla podmiotu prowadzącego działania.



Raporty amerykańskiego wywiadu potwierdzają wpływ działań wywiadu Rosji na przebieg kampanii prezydenckiej w USA w 2016 roku i wygraną Donalda Trumpa. Działania te były poważną ingerencją w proces polityczny w USA, choć trudno jest obiektywnie zmierzyć ich bezpośredni wpływ na wyborcze preferencje Amerykanów.



W ŚWIECIE ZACHODNIM, DEMOKRATYCZNYM, GDZIE KONFLIKTY ZBROJNE W ZASADZIE NIE WYSTĘPUJĄ, INFORMACJA JEST GŁÓWNYM NARZĘDZIEM, ZA POMOCĄ KTÓREGO PROWADZI SIĘ WOJNĘ W CZASIE POKOJU

To oznacza, że operacje informacyjne, jeśli mają być skuteczne, muszą być precyzyjnie przygotowane...

Rzeczywiście, to bardzo skomplikowany proces, dlatego warto poznać mechanizmy, które nim rządzą. Spróbuję to wyjaśnić na przykładzie Polski i Rosji, bo przecież z punktu widzenia bezpieczeństwa właśnie ten kraj może być uznany za największe zagrożenie dla nas. Jeśli przyjmimy, że nadrzędnym celem Moskwy jest osłabienie naszej pozycji na arenie międzynarodowej, możemy uznać, że osiągnie ona zamierzony efekt np. przez destabilizację sytuacji społeczno-politycznej w Polsce. Można zatem doprowadzić do konfliktów natury ideologicznej czy politycznej wewnątrz kraju, które w konsekwencji podważą wizerunek Polski jako wiarygodnego partnera dla naszych sojuszników z Unii Europejskiej czy NATO. Prawdopodobnie właśnie to obserwujemy teraz, choć nie jest to rezultat wyłącznie zewnętrznych inspiracji. W takich sytuacjach określa się grupę docelową podejmowanych działań, a następnie szuka najsłabszego ognia – osób lub środowisk.

Czyli takich, które szybko przyswoją pewne treści, a potem same będą je rozpowszechniać jako własne?

Tak. Wchodzimy tutaj w zagadnienia związane z psychologią. Jeśli poprawnie zidentyfikujemy tę najbardziej podatną grupę, to przeprowadzenie operacji psychologiczno-informacyjnej będzie ułatwione. Możemy wtedy przygotowywać materiały informacyjne skrojone pod konkretnych odbiorców. Oznaczać to może, że aby oddziaływać niemal na całe społeczeństwo, prowadzi się jednocześnie wiele operacji, skierowanych do różnych grup. Społeczeństwa zachodnie zajmują się głównie weryfikacją informacji, szukaniem fałszywych komunikatów, które tak naprawdę są jednym z ostatnich etapów wojny informacyjnej. Nie widzimy natomiast etapów wcześniejszych, umykają nam prawdziwe powody prowadzenia tych działań, nie docieramy do sensu tego, co się dzieje. Nie widzi-

my też etapów przygotowawczych, które muszą wystąpić, by informacja trafiła na podatny grunt.

Czyli umyka nam to, co najważniejsze? Może zatem w ogóle nie powinniśmy zwracać uwagi na fake newsy?

To właśnie pojęcie „fake news” wywołało ogromne zainteresowanie i zwróciło uwagę Zachodu na pewne zagrożenia. Jednocześnie jednak spowodowało, że cała dyskusja wokół tych zagrożeń została spłycona. Bo fake news to wyłącznie fałszywa informacja, nic więcej. Ona sama nie wystarczy, potrzebny jest kontekst – dopiero wtedy możemy mówić o dezinformacji. Jeśli natomiast zaczniemy go badać, to musimy wziąć pod uwagę podstawowe elementy analizy, czyli trzeba zadać pytania: kto?, gdzie?, kiedy?, jak i w jakim celu? W ten sposób zbadaćmy intencyjność i celowość działań, czyli wyjaśnimy, dlaczego i po co dana informacja się pojawiła. Należy także pamiętać, że nawet w pełni prawdziwa informacja może być wykorzystywana do manipulacji. Takiej analizy zwykle się jednak nie robi, koncentrowanie się zaś jedynie na fake newsach powoduje, że z automatu wykluczamy wiele działań, które stanowią element manipulacji. Z tego względu tropienie fałszywych informacji porównałabym do leczenia choroby środkami przeciwbólowymi: likwidujemy tylko objawy, ale nie przyczynę.

Wiemy zatem, czym są operacje informacyjne i w jakim celu są prowadzone. Proszę powiedzieć, jakimi narzędziami prowadzi się dziś wojny informacyjne.

Katalog tych narzędzi jest obszerny. Oczywiście manipulacja, w tym propaganda i dezinformacja, ale także np. trolling internetowy. O tym pojęciu głośno było zwłaszcza podczas ostatnich wyborów prezydenckich w USA. Pojawiły się głosy, że pracownicy tzw. fabryki trolli spod Petersburga wpłynęli na wynik głosowania. Nie można jednak w żaden sposób sprawdzić, jaki był realny wpływ ich działań, nie mamy bowiem



informacji wyjściowej, poprzedzającej podjęcie takiej operacji informacyjnej. Nie wiemy, jakiego wyboru dokonaliby amerykańscy wyborcy – i nie mam tu na myśli preferencji wyborczych, lecz realne decyzje w trakcie głosowania – zanim Brygady Sieciowe podjęły swą pracę. Stany Zjednoczone przyznają co prawda, że doszło do ingerencji, ale nikt nie jest w stanie ocenić jej skali oraz tego, czy rzeczywiście w efekcie tych operacji Donald Trump został prezydentem USA. To, że agresywne działania wymierzone w destabilizację i zwiększenie polaryzacji amerykańskiego społeczeństwa miały miejsce, nie ma jednak najmniejszych wątpliwości.

Mówiła pani, że internet to jeden z kanałów, gdzie można prowadzić wojnę informacyjną. W jakich jeszcze sferach może toczyć się taka operacja?

Tak naprawdę w każdej sytuacji, w której dochodzi do interakcji między ludźmi. W grę wchodzi operacje służb specjalnych przeciwko innemu państwu, wpływanie na środowiska opiniotwórcze, media, naciski finansowe. W przypadku internetu mówimy o mediach, serwisach społecznościowych oraz innych portalach, które mediami nie są. Świat zachodni natomiast, zajmując się wojną informacyjną, skupia się głównie na internecie. Badania Twittera czy Facebooka wskazują na konkretne liczby, które mogą dawać pewne wyobrażenie o skali zjawiska. Przykładem są wspomniane już wybory prezydenckie w USA. Zarząd Facebooka poinformował na przykład, że w trakcie kampanii informacje wytworzone przez rosyjską fabrykę trolli otrzymało nawet 126 mln użytkowników serwisu. Takie dane wcale jednak nie oznaczają, że te 126 mln Amerykanów skorzystało z podpowiedzi. Dlatego mimo wszystko do badań ilościowych trzeba podchodzić ostrożnie.

Jakie działania mogą być podejmowane w świecie rzeczywistym?

Jednym z ciekawszych przykładów mogą być różnego rodzaju stypendia. Jeszcze kilka lat temu w Rosji działał program stypendialny dla młodych profesjonalistów z Wielkiej Brytanii, Niemiec i Stanów Zjednoczonych. Otrzymywali oni roczne stypendium finansowane przez jeden z banków rosyjskich. Przyjeżdżali na rok do Rosji i w tym czasie odbywali praktyki, staże w różnych instytucjach i firmach państwowych. Pokazywano im dobre oblicze Rosji, sukcesy danego sektora. Jest to pewien sposób przebudowywania świadomości i tworzenia własnych agentów wpływu w innych krajach. Na przykład dziennikarz po rocznym pobycie w Rosji może – choć nie musi – pisać mniej obiektywnie, mając w pamięci dobre wspomnienia ze stypendium. Dlatego wizyty studyjne dziennikarzy czy naukowców w krajach, które prowadzą wrogą politykę wobec Polski, obarczone są pewnym ryzykiem, szczególnie jeśli odbywają się na zaproszenie takich krajów.

Czy zakładanie partii politycznych lub finansowanie radykalnych ugrupowań jest elementem wojny informacyjnej?

Oczywiście. To kolejny przykład działania w sferze rzeczywistej. Tworzenie środowisk, które będą realizowały cele innego państwa, jest jednym z mechanizmów wojny informacyjnej. Mogą to być partie polityczne, co jest szczególnie niebezpieczne, ale też grupy niezwiązane z polityką, np. o charakterze kulturalnym, naukowym, stowarzyszenia, ośrodki akademickie, towarzystwa przyjaciół. Można również kształcić liderów opinii, czyli osoby, które oddziałują na świadomość, decyzje i zachowania innych. Ciekawe jest to, że można prowadzić do konfliktów społecznych także przez jednoczesne wspieranie środowisk o sprzecznych poglądach, np. radykalnych i liberalnych. Chodzi bowiem o eskalację konfliktu. Same poglądy nie są tutaj aż tak istotne.

Jako tłumaczka pracowała pani dla serwisu będącego tubą propagandową Kremla.

Mieszkałam wówczas w Moskwie, gdzie prowadziłam badania do pracy doktorskiej na temat procesu podejmowania decyzji politycznych w Rosji. W 2014 roku, aby przekonać się, jak interesujące mnie zagadnienia funkcjonują w praktyce, podjęłam pracę tłumacza w polskojęzycznej redakcji „Głosu Rosji” – rosyjskiego medium państwowego, które teraz, po zmianie nazwy, znane jest powszechnie jako „Sputnik”. Dzięki temu zdobyłam unikatową wiedzę na temat mechanizmów i technologii rosyjskiej wojny informacyjnej prowadzonej przeciwko państwom Zachodu.

Czyli sprawdziła pani, jak ta machina wygląda od środka?

Wszyscy obcokrajowcy pracowali tam jako tłumacze. Dostawaliśmy gotowe materiały, które trzeba było przełożyć na swój język. Dowiedziałam się przy okazji, że nie tylko dziennikarzy, ale i tłumaczy dotyczą pewne ograniczenia. Obowiązywała na przykład lista słów, których trzeba było używać. Chodzi o takie, które niosą w sobie ładunek emocjonalny, dzięki czemu można oddziaływać na świadomość czytelnika. Był to czas aktywnych działań w Donbasie, więc podam przykład z Ukrainy. W języku rosyjskim jest słowo „opołczeńcy”, które ma wydźwięk pozytywny i oznacza ludzi, wspierających działania państwowe. W polskich mediach używano określenia „separatyści”, natomiast w serwisie „Głos Rosji” w tłumaczeniu na język polski trzeba było użyć słowa „powstańcy” lub „siły samoobrony”. W ten sposób nadawano pozytywne znaczenie działalności oddziałów separatystycznych, które walczyły w Donbasie. Słowa mają swoje znaczenie.

Można zmierzyć skuteczność operacji informacyjnych?

Odpowiem na przykładzie Polski. Mam wrażenie, że nasze działania stanowią głównie reakcję na operacje zewnętrzne. Wiem jednak, że trudno przewidywać takie działania reakcją



WIZYTÓWKA

MARTA KOWALSKA

Jest wiceprezesem i współzałożycielką Fundacji Centrum Analiz Propagandy i Dezinformacji. W latach 2015–2017 była ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

symetryczną. Symetria polega na tym, że jeżeli pojawia się fałszywa informacja, to my ją weryfikujemy, demontujemy i podajemy prawdę. Skuteczność takiego postępowania została przebadana na przykładzie Twittera i Facebooka. Okazało się, że informacje prawdziwe nie przeciwdziałają fake newsom. Mechanizm wygląda tak: najpierw fałszywe informacje trafiają do określonej grupy odbiorców. Po jakimś czasie publikowana jest prawdziwa, ale ona trafia już jedynie do niewielkiej części osób, które wcześniej otrzymały fake newsa.

Czyli odpowiedzią są działania asymetryczne.

Tak. Inna sprawa jest taka, że mówiąc o bezpieczeństwie, i to również wynika z polskiej strategii bezpieczeństwa narodowego, zwracamy uwagę raczej na wolność od zagrożeń. Takie podejście oznacza, że staramy się, żeby ich nie było. Będąc częścią świata zachodniego, utrzymując relacje z innymi krajami, musimy być na nie gotowi. Z pewnością musimy się nauczyć zarządzania zagrożeniami i ryzykiem ich wystąpienia.

A może trzeba działać wyprzedzająco?

Ważne jest budowanie odporności społecznej. Pojawia się też pytanie o to, kto miałby się tym zajmować, bo

przeciwdziałanie nie może odbywać się wyłącznie na poziomie państwowym. O zagrożeniu należy myśleć znacznie szerzej. Dezinformacja i oddziaływanie informacyjne dotyczą całego społeczeństwa, co oznacza, że wszyscy powinni być zaangażowani w proces przeciwdziałania. Z tego względu należałoby wypracować model współpracy między społeczeństwem i strukturami państwowymi. Tego w Polsce brakuje.

Proszę wobec tego podać przykład, gdzie to dobrze funkcjonuje.

Dobrym przykładem są kraje skandynawskie oraz bałtyckie. W Estonii komunikacja między społeczeństwem a strukturami państwowymi działa bardzo sprawnie. Estończycy kilka lat temu stworzyli świetny projekt, który jest też realizowany w pozostałych krajach bałtyckich i na Ukrainie. Polega on na szkoleniach profesjonalistów, którzy zaj-



W POLSCE PRZEZ DŁUGI CZAS PANOWA- ŁO PRZEKONANIE, ŻE NASZE SPOŁE- CZEŃSTWO JEST ODPORNE NA WRO- GIE DZIAŁANIA INFORMACYJNE

mują się tematem wojny informacyjnej, ale także angażowaniu studentów, młodych ludzi i osób, które dopiero wchodzą na rynek profesjonalny, a którzy mogą w przyszłości analizować operacje informacyjne i im aktywnie przeciwdziałać. Współpraca międzysektorowa pozwala na skuteczne tworzenie i realizację własnej komunikacji strategicznej, czyli działania proaktywnego w stosunku do zewnętrznych wrogich oddziaływań informacyjnych. Działań tych nie należy jednak mylić z propagandą wewnętrzną lub indoktrynacją własnego społeczeństwa, co jest charakterystyczne dla krajów niedemokratycznych.

Czy za narzędzie wojny informacyjnej może zostać uznana polityka historyczna? Na przykład w Rosji od niedawna obowiązuje prawo, które oficjalnie ma przeciwdziałać rehabilitacji nazizmu. W praktyce natomiast wygląda to różnie. Skazano na przykład internautę, który napisał, że w 1939 roku komuniści i Niemcy napadli na Polskę.

Najlepiej, gdybyśmy historię zostawili historykom i nie poruszali tego tematu w bieżącej polityce. Ale oczywiście, jak najbardziej można uznać historię za narzędzie wojny informacyjnej. Zwłaszcza w kontekście roli Związku Radzieckiego w rozpoczęciu oraz zakończeniu II wojny światowej lub wyzwoleniu Polski od faszyzmu – jak twierdzą Rosjanie. Jeżeli polityka historyczna jest stosowana w celu wpłynięcia na społeczeństwo innego kraju i zmiany jego podejścia do faktów historycznych, to mamy do czynienia z operacją informacyjno-psychologiczną. Przepisywanie historii to jednak bardzo niebezpieczne narzędzie.

Czy może pani w jakiś sposób porównać działania różnych państw na polu wojny informacyjnej?

Mechanizmy są te same niezależnie od szerokości geograficznej. Operacje wpływu czy w ogóle oddziaływania informacyjnego będą prowadzić prawdopodobnie wszystkie kraje. Występują jednak między nimi istotne różnice. Z naszego punktu widzenia ocena tych działań zależy przede wszystkim od tego, czy mogą one stanowić zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa. Za stronę niosącą potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski uznawana jest Rosja. Natomiast kraje Unii Europejskiej czy członkowie NATO są naszymi sojusznikami. Jeżeli cele, jakie te kraje chcą osiągnąć w Polsce, mogą być zrealizowane przez debaty, rozmowy, np. na poziomie dyplomatycznym, to nie ma potrzeby uciekania się do tak skomplikowanych działań, jak operacje informacyjne czy psychologiczne. W wypadku np. Stanów Zjednoczonych będziemy mówić raczej o komunikacji strategicznej, ewentualnie działaniach propagandowych.

A inne mocarstwa?

Chiny działają trochę inaczej. Nie prowadzą takich operacji informacyjnych jak Rosja, przynajmniej na razie i nie w Polsce. Wykorzystują raczej kontakty bezpośrednie, ekonomiczne. Jest to związane z biznesem, wchodzeniem na rynek z własną produkcją. To jest sposób Chińczyków na oddziaływanie na Pol-

skę. Zapewne z czasem dojdzie do tego oddziaływanie informacyjne. Niedawno został zatrzymany pracownik chińskiej firmy Huawei. Można się spodziewać, że nie tylko sam koncern podejmuje w Polsce działania komunikacyjno-wizerunkowe, lecz także Chiny w ogóle mogą prowadzić jakąś kampanię informacyjną.

Jak ocenia pani skuteczność działań tzw. Państwa Islamskiego w wojnie medialnej?

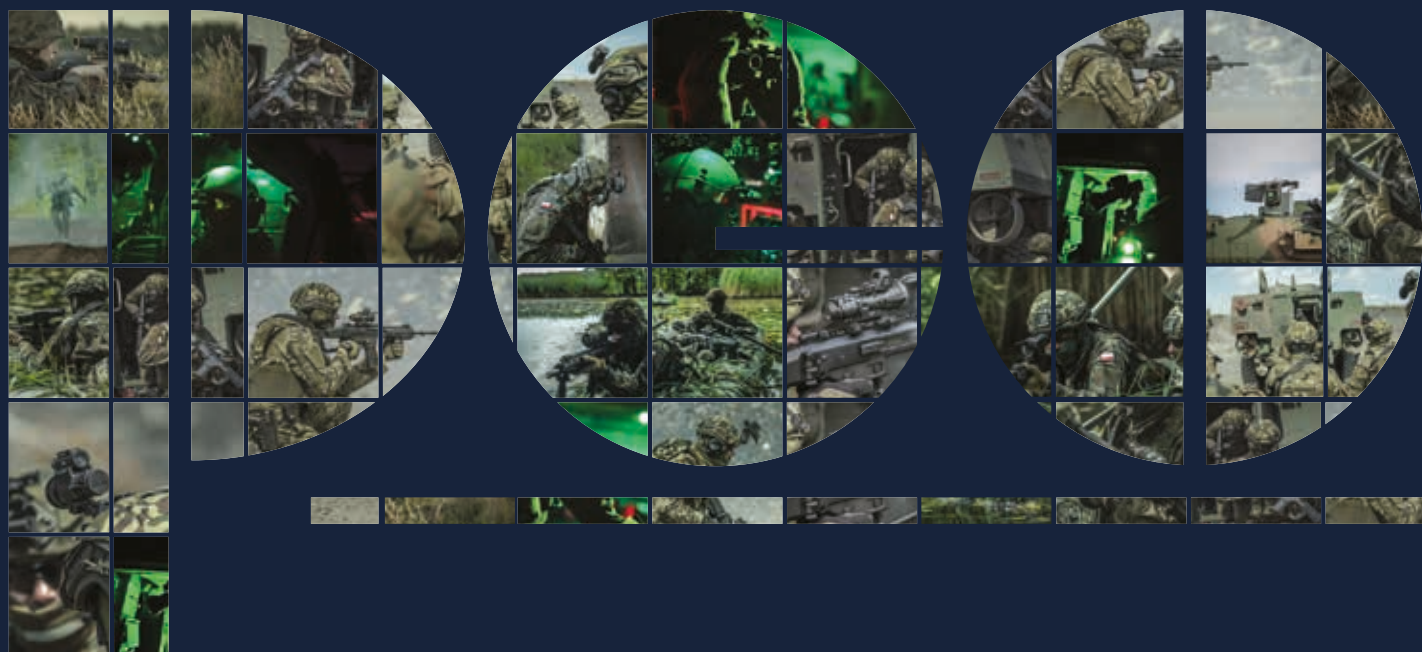
Ta organizacja była skuteczna na trochę innym poziomie. Połączenie operacji psychologicznych z zastosowaniem nowych kanałów informacyjnych – sieci społecznościowych czy Youtube'a – sprawiło, że ISIS skutecznie pozyskiwało sprzymierzeńców nie tylko w krajach islamskich i na Bliskim Wschodzie, ale także w Europie. Co więcej, terroryści oprócz pozyskiwania nowych ludzi potrafili także skłonić ich do samobójstwa. To najwyższy poziom manipulacji człowiekiem.

Wróćmy na nasze podwórko. Czy Polska dobrze sobie radzi w wojnie informacyjnej?

Ostatnio widać ogromne przyspieszenie, szczególnie w sferze cyberbezpieczeństwa, która nadal jest traktowana rozłącznie od bezpieczeństwa informacyjnego i społecznego naszego kraju. Problem polega na tym, że jeśli w ogóle walczymy z operacjami informacyjnymi i psychologicznymi, to odbywa się to poza sferą publiczną. Państwo najwidoczniej uznało, że sobie samo poradzi. Poza tym w Polsce przez długi czas panowało przekonanie, że polskie społeczeństwo jest odporne na wrogie oddziaływania informacyjne, szczególnie rosyjskie. Efekt jest jednak taki, że w przypadku wykrycia jakichś operacji informacyjnych zazwyczaj reagujemy zbyt późno albo wcale. Na tle Grupy Wyszehradzkiej czy krajów bałtyckich jesteśmy na szarym końcu, jeśli chodzi o świadomość zagrożeń i przeprowadzone analizy sytuacji.

Jak to zmienić?

Przede wszystkim przedstawiciele władz i administracji państwowej powinni mieć świadomość zagrożenia. Głównym zadaniem powinno być właśnie budowanie świadomości, wyrabianie w całym społeczeństwie odporności na zagrożenia informacyjne, kształtowanie postaw obywatelskich, uczenie odpowiedzialności za siebie, społeczeństwo i kraj. ■



INNOWACJE DLA BEZPIECZEŃSTWA LUDZI

Szyte zbyt grubymi nićmi

Balkany, jak stwierdził Winston Churchill, tworzą więcej historii, niż są w stanie znieść. Być może przyczyną jest specyfika tego regionu. Ile bowiem państw, narodów, religii – tyle też wersji prawdy.

ROBERT SENDEK

Jesienią 2018 roku w Serbii ukazało się opracowanie zatytułowane „Trzecia armia. Siedemdziesiąt osiem dni w objęciach »Anioła Miłosierdzia«» („Treća armija. Sedamdeset osam dana u zagrljaju »Milosrdnog andjela«”). Ta pięknie wydana publikacja jest reklamowana jako dziennik wojenny Nebojšy Pavkovicia. Cztery tomy w twardej oprawie. Ponad 2 tys. stron tekstu. Mnóstwo informacji dotyczących wydarzeń z wojny w Kosowie, a także solidna dawka propagandy.

PERSPEKTYWA ZBRODNIARZA

Nebojša Pavković to postać niezwykle ciekawa. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku bliski współpracownik Slobodana Miloševicia, autorytarne przywódcy Jugosławii. W czasie wojny w Kosowie dowódca trzeciej armii jugosłowiańskiej. W latach 2000–2002 szef sztabu wojsk jugosłowiańskich. Po upadku Miloševicia sądzony przez Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii i skazany na 22 lata więzienia za zbrodnie przeciwko ludzkości podczas wojny w Kosowie. Wyrok odsiaduje w Finlandii. W więzieniu ma mnóstwo wolnego czasu, więc udziela wywiadów, gromadzi dokumenty i pisze wspomnienia.

Jego książkę opublikowało wydawnictwo Odbrana, będące agendą serbskiego resortu obrony. Pojawiły się w związku z tym głosy, że rząd nie powinien firmować publikacji zbrodniarza wojennego, chociażby w trosce o swą wiarygodność, skoro twierdzi, że podejmuje próby ułożenia stosunków z Albańczykami z Kosowa.

Wspomnienia Pavkovicia z pewnością zainteresują historyków konfliktu w Kosowie z końca lat dziewięćdziesiątych XX wieku m.in. z tego względu, że prezentują punkt widzenia jednego z głównych aktorów tamtych wydarzeń. Wydaje się jednak, że są pewnego rodzaju instrumentem obrony i jednocześnie ataku. Wspomnienia stają się dla Pavkovicia świetną okazją do uzasadnienia decyzji ówczesnego serbskiego rządu.

Sięga też w swej publikacji po hasła używane przez ówczesną propagandę, doskonale wpisujące się w wizję świata, w którym generał stoi po stronie dobra (i narodu serbskiego), a jego wrogami są Zachód, Unia Europejska i NATO.

RZEKOME ZDETONOWANIE BOMBY

Już sam tytuł jest znaczący, bo wprost nawiązuje, i to w dwójaki sposób, do natowskiej interwencji w byłej Jugosławii w 1999 roku. Warto przypomnieć, że operacja została podjęta jako ostateczny środek mający przerwać czystkę etniczną, której ofiarami byli kosowscy Albańczycy, o co wówczas oskarżano reżim Miloševicia. Decyzję o interwencji podjęto po gorzkich doświadczeniach z Bośni, gdzie dochodziło do podobnych mordów, a Zachód oskarżano o beczynność. Operacja trwała od 24 marca do 10 czerwca 1999 roku, czyli tytułowe 78 dni.

Oficjalna nazwa interwencji to „Operation Allied Force”, jednak w serbskich mediach określa się ją jako „Anioł Miłosierdzia” – podobno sojusz w ten sposób ochrzcił swe działania w Jugosławii. Tymczasem nazwa ta powstała – jak chcą niektórzy – w wyniku serii dość komicznych pomyłek przy tłumaczeniu na serbski z różnych języków (podobno nawet i chińskiego) natowskiej nazwy „Operation Joint Guardian” (operacja lądowa w Kosowie). Inni z kolei twierdzą, że wcale nie chodziło o pomyłkę, ale o świadomą manipulację jugosłowiańskiego ministerstwa informacji. Urzędnicy mieli bowiem uznać, że taka nazwa idealnie nadaje się do wykorzystania w propagandzie. Cóż to bowiem za cynizm: operację bombardowania bezbronного kraju nazwać „Anioł Miłosierdzia”! Jugosłowiańscy spece od wojny informacyjnej wiedzieli jednak, co robią: nazwa ta do dzisiaj dość powszechnie funkcjonuje w serbskich mediach i publikacjach. Przytacza się ją głównie w celu udowodnienia, jak cynicznym i przewrotnym graczem jest sojusz północnoatlantycki. Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że szefem serbskiego ministerstwa informacji podczas



Pomyślne zakończenie operacji lotniczej NATO pod kryptonimem „Allied Force” nad Federalną Republiką Jugosławii, wymusiło na Slobodanie Miloševiću m.in. zgodę na wprowadzenie do Kosowa międzynarodowych sił pokojowych. Na zdjęciu pierwsze jednostki NATO w południowym Kosowie, 12 maja 1999 roku



Wojenny dziennik Nebojšy Pavkovića, skazanego za zbrodnie przeciwko ludzkości, to z pewnością cenna lektura dla badaczy konfliktu w Kosowie, ale nie należy się z niej raczej uczyć historii.

wojny w Kosowie był Aleksandar Vučić. Dziś prezydent kraju.

Są jeszcze ciekawsze smaczki związane z książką Pavkovića. Szczególnie sensacyjnie brzmią informacje, o których wybrane serbskie serwisy internetowe donosiły na przełomie 2018 i 2019 roku. Otóż Pavković rzekomo wspomina w swej książce o planach tajnej natowskiej operacji pod kryptonimem „Aligator”. Plany te – jak donoszą media – przewidywały szybkie unieszkodliwienie przez NATO serbskich sił wojskowych i policyjnych w Kosowie wraz z jednoczesnym, jak to ujęto, „upokorzeniem Serbii”. Dla „szybkiej likwidacji żywej siły” sojusz miał używać „broni chemicznej, biologicznej, a nawet strategicznych bomb neutronowych”.

Sensacje w sprawie rzekomo planowanego przez NATO użycia broni masowego rażenia zdaje się nieprzypadkowo nagłaśniały portale, takie jak Srpski Dnevnik czy Srbija Danas, które nie kryją swych sympatii względem Rosji. Informacje o operacji „Aligator” Pavković miał otrzymać – według tych serwisów – od bliżej nieokreślonego płk. Anticia. Ten wziął je rzekomo od kogoś z kręgów dowództwa oenzetowskiej misji UNPREDEP w Skopje oraz działającego tamże oddziału organizacji Lekarze bez Granic. W jaki jednak sposób o planach natowskiej operacji mieli się dowiedzieć lekarze z pozarządowej instytucji albo personel misji ONZ, tego już w doniesieniach medialnych nie znajdziemy.

Cała historia wydaje się szyta zbyt grubymi nićmi, by miała choćby pozór prawdopodobieństwa.

Swoją drogą, niezwykle interesujące wydaje się to, że sensacyjną skądinąd wieść o planowanym rzekomo przez NATO użyciu przeciwko Serbom bomb neutronowych, milczeniem pominęły serbskie tabloidy, żerujące przecież na takich informacjach.

NIE O PRAWDĘ TU CHODZI

O tym, jak bardzo kreatywne podejście do prawdy mogą mieć serwisy internetowe na Bałkanach, może świadczyć wzmiankowany wyżej portal Srbija Danas. Otóż w połowie lutego 2017 roku serwis zamieścił informację o rzekomych tureckich planach pomocy wojskowej dla Kosowa. Przywołane zostały w nim opinie serbskich speców od bezpieczeństwa, którzy twierdzili, że Turcy planują za pośrednictwem Albanii przekazać władzom Kosowa samoloty bojowe F-16 oraz czołgi. Rewelacje te szerokim echem odbiły się w prasie regionu, z rozbrawieniem i wyraźną satysfakcją cytowały je potem także media kosowskie. Cała ta historia znów była mocno naciągana: operacja zdobycia ciężkiego sprzętu nie jest ani łatwa, ani szybka. Świadczą o tym długoletnie starania państw bałkańskich, także Serbii, o unowocześnienie własnego lotnictwa wojskowego i wojsk lądowych. Sama Albania, która miałaby być pośrednikiem w przekazywaniu sprzętu, nie ma nawet jednego sprawnego samolotu bojowego. Jednak w fake newsach wcale nie chodzi o prawdę ani nawet jakiegokolwiek prawdopodobieństwo, lecz raczej o kreację pewnej wizji świata. Nawet jeśli jest to świat całkowicie zmyślony. ■

Terroryzm jest medialny

Jedną z najbardziej skutecznych broni, o największej sile rażenia, którą z powodzeniem posługują się terroryści, jest informacja.

TOMASZ OTŁOWSKI

We współczesnym, zglobalizowanym świecie rola mass mediów stała się kluczowa dla powodzenia działań zarówno terrorystycznych, jak i asymetrycznych, a nawet hybrydowych, sama informacja (a raczej przekaz medialny, niekoniecznie odzwierciedlający stan faktyczny) okazała się zaś potężną bronią, o niewyobrażalnej politycznej i psychologicznej sile rażenia. Chodzi tu nie tylko o informację rozumianą jako suche fakty i wydarzenia (których dobór, odpowiednia kolejność i częstotliwość publikacji też zresztą mają istotne znaczenie), lecz także o dezinformację (celowe rozprzestrzenianie fałszywych donie-

sień – tzw. fake newsów) oraz o całą serię mechanizmów z pogranicza oddziaływań podprogowych.

EMOCJE PONAD ROZUMEM

Kiedy 5 czerwca 2014 roku oddziały tzw. Państwa Islamskiego (IS), po błyskawicznej i błyskotliwej operacji w północno-zachodnim Iraku, oblegały Mosul, systematycznie zaczęto kruszyć i tak niskie morale obrońców, zalewając ich – za pośrednictwem internetu i lokalnych stacji telewizyjnych zajętych przez islamistów – brutalnymi przekazami. Były to głównie sceny masowych egzekucji wziętych wcze-

STRACH I GROZA, PODNIESIENIE DO KTÓREJŚ Z RZĘDU POTĘGI ZA POMOCĄ MEDIÓW, SĄ ISTOTĄ TERRORYZMU W XXI WIEKU

śniej do niewoli żołnierzy i policjantów irackich, opatrzone politycznymi komentarzami i wezwaniami do kapitulacji przed „niezwyciężonym kalifatem”. Równocześnie w mediach społecznościowych rozpoczęto bezprecedensową kampanię nienawiści i zastraszania wobec pozostałych jeszcze w Mosulu irackich urzędników, funkcjonariuszy i polityków oraz członków ich rodzin. Sięgnięto też po klasyczne i nieco archaiczne dzisiaj formy oddziaływań propagandowych, czyli ulotki, które w mieście rozrzucali zakonspirowani członkowie IS.

Co jednak najważniejsze, islamisci z IS prowadzili te „kampanie informacyjne” równolegle do kinetycznych działań militarnych oraz klasycznych akcji terrorystycznych, wymierzonych głównie w ludność cywilną. W efekcie iracka obrona Mosulu (której trzon stanowiły dwie pełne dywizje regularnej armii, łącznie około 30 tys. żołnierzy) załamała się już po pięciu dniach, a Mosul został opanowany przez siły kalifatu bez większego wysiłku militarnego. Przyczyną klęski nie była jednak przewaga militarna IS, które miało do dyspozycji nie więcej niż 1,5 tys. bojowników, ale wywołana jego przemyślanymi oraz precyzyjnie zaplanowanymi działaniami informacyjnymi i psychologicznymi panika w szeregach sił rządowych, co skutkowało masową ucieczką obrońców z obleganego miasta. Okoliczności zdobycia przez islamistów Mosulu oraz zachowanie wojska stały się z kolei pożywką dla dalszych działań medialnych, propagandowych i psychologicznych IS, co m.in. pozwoliło jego formacjom niemal bez walki dotrzeć aż na rogatki Bagdadu. Dopiero wtedy Irakijczycy zdołali, z wydatną pomocą

Zachodu, Rosji i Iranu, strząsnąć z siebie ten zły czar kalifatu, podejmując z nim równą walkę nie tylko w przestrzeni realnej, lecz także wirtualno-medialnej i propagandowej.

SPEKTAKL DLA WIELU WIDZÓW

Eksperci zajmujący się zagrożeniami terrorystycznymi już dawno temu rozpracowali tzw. efekt teatru, czyli zasadę, zgodnie z którą dzięki przekazowi medialnemu zamachowcy są w stanie w bezpośredni sposób oddziaływać na grupę wielokrotnie liczniejszą niż ta, której dotknęły realne skutki ich ataków. Im większy zasięg danego informacyjnego medium, tym potencjalnie większa liczba sterroryzowanych

EFEKT TEATRU: dzięki przekazowi medialnemu zamachowcy są w stanie w bezpośredni sposób oddziaływać na grupę wielokrotnie liczniejszą niż ta, której dotknęły realne skutki ich ataków.



AP / EAST NEWS

odbiorców. Wszak jednym z podstawowych aspektów zamachu czy ataku jest jak największa widowiskowość i medialność, zapewniana dzisiaj w wymiarze globalnym.

Warto w tym kontekście pamiętać, że przed 11 września 2001 roku niemal nikt na świecie, oprócz garstki fachowców od islamskiego ekstremizmu, nie wiedział, czym jest Al-Kaida ani też kto jest jej założycielem i liderem, o celach i planach tego ugrupowania już nie wspominając. Tragiczne, ale też wyjątkowo spektakularne i medialnie atrakcyjne, zamachy w Stanach Zjednoczonych zmieniły tę sytuację diametralnie, plasując natychmiast w społecznej percepcji organizację Osamy bin Ladena na pierwszym miejscu wśród zagrożeń dla bezpieczeństwa USA i świata. Podobnie kalifat stał się sławny dopiero wówczas, gdy świat obiegły publikowane w mediach fragmenty nagrań z brutalnych egzekucji zakładników w Iraku, Syrii i Libii – co prawda najczęściej ocenzurowane, ale i tak epatujące niespotykaną wcześniej przemocą i grozą. Zresztą ich pełne wersje dostępne były w internecie i, jak pokazują statystyki, wciąż cieszą się dużą popularnością.

I właśnie ten strach i groza, podniesione do którejś z rzędu potęgi za pomocą mediów, są istotą terroryzmu w XXI wieku. Terroryści, atakując daną społeczność (bez względu na to, czy jest to grupa etniczna lub wyznaniowa, społeczeństwo całego kraju lub tylko jakaś jego część itd.), zawsze uderzają w psychikę tworzących ją jednostek. Mechanizm jest prosty: im większy strach wśród członków zaatakowanej zbiorowości, tym większa skuteczność terrorystów. Pod tym względem bez wątpienia niekwestionowane mistrzostwo osiągnęła w ostatnich trzech dekadach Al-Kaida, a od kilku lat dorównuje jej także tzw. Państwo Islamskie. Medialna, propagandowa i informacyjna aktywność struktur kalifatu nie ma sobie równych w świecie ekstremizmu islamskiego i wielokrotnie przekracza swą skalą wcześniejsze działania Al-Kaidy. W czasie rozkwitu kalifatu w Lewancie każdy z jego 24 wilajetów (prowincji) w Iraku i Syrii miał własne, autonomiczne służby prasowe, a także specjalne wydziały walki propagandowej i informacyjnej. Wydatnie przyczyniło się to do sukcesów IS w różnych częściach muzułmańskiego uniwersum, nie tylko w Lewancie. Co prawda islamiści z Al-Kaidy, afgańscy talibowie czy terroryści z somalijskiego ugrupowania Asz-Szabab nie ustępują bezwzględnością oprawcom z IS, ci ostatni potrafią jednak niezwykle skutecznie sprzedawać medialnie swą brutalność.

ŚMIERĆ BEZ PROPAGANDY

Na temat tego, jak terroryści korzystają z siły mediów, niejednokrotnie wypowiadała się Mariane Pearl, żona korespondenta „The Wall Street Journal” Daniela Pearla, który zginął w Iraku z rąk terrorystów Al-Kaidy w 2012 roku. Gdy w 2014 roku media obiegła informacja o śmierci Jamesa Foleya, amerykańskiego dziennikarza zamordowanego przez tzw. Państwo Islamskie, została wówczas zasypana prośbami o wywiady. „Nie znałam Jamesa Foleya. Nie miałam nic do powiedzenia. Oni [dziennikarze] chcieli tylko, żebym opowiedziała, jak okropna była śmierć Danny’ego, a więc – w zasadzie – żebym zrobiła piar Al-Kaidzie i Państwu Islamskiemu”, wspominała. Filmiki i zdjęcia pokazujące dekapitację obu dziennikarzy do dziś krążą w internecie. JR

Zaawansowane operacje terrorystyczne, a więc te łączące działania kinetyczne z akcjami typu PsyOps i walką informacyjną, mają szanse powodzenia niemal wyłącznie w wypadku ich zastosowania wobec społeczeństw demokratycznych. Składa się na to wiele czynników: konstytucyjnie chronione prawa jednostek (obywateli), w tym zwłaszcza wolność słowa, a także niezależność mediów oraz – w przypadku większości państw Zachodu – koncepcja wyznaniowej i politycznej tolerancji, a także wszechobecna polityczna poprawność i ideologia multikulturalizmu.

PRZESŁANIE W KIERUNKU ZACHODU

Śmierć zadawana na żywo ma za zadanie przerazić i załamać psychicznie potencjalnego odbiorcę, którym jest przede wszystkim mieszkaniec szeroko rozumianego Zachodu, a więc ideologiczny i religijny przeciwnik islamistów. Działanie takie ma dwa wymiary: zarówno czysto religijny, jak też i najbardziej materialny. Ten pierwszy związany jest z określoną interpretacją islamu i zapisów Koranu. Drugi odnosi się do ściśle operacyjnych aspektów wojny is-

lamu z Zachodem. Celem jest sparaliżowanie określonym przekazem medialno-propagandowym danej społeczności i odebranie jej woli dalszej walki, a także wymuszenie na niej podjęcia określonych działań politycznych w ramach działającego w większości państw zachodnich demokratycznego systemu politycznego.

Tak jak w 2004 roku, kiedy w wyniku zorganizowanego przez islamistów z Al-Kaidy krwawego zamachu na koszary hiszpańskich żołnierzy w Iraku doszło do radykalnego odwrócenia sympatii politycznych w społeczeństwie Hiszpanii. Miało to miejsce tuż przed wyborami parlamentarnymi, co dało niespodziewane zwycięstwo lewicy, opowiadającej się za wycofaniem z operacji militarnej nad Tygrysem i Eufratem. W rezultacie Hiszpanie opuścili Irak, a cała sytuacja przeszła do historii jako modelowy przykład politycznej skuteczności działań terrorystycznych islamistów, umiejętnie skorelowanych z oddziaływaniem medialnym i propagandowym.

Współczesne rozwinięte demokracje są więc szczególnie podatne i wrażliwe na działania prowadzone w ramach wojny informacyjnej, i to nie tylko tej podejmowanej przez islamskich radykałów, pełnymi garściami czerpiących inspirację z interpretacji własnej religii. Zadaniem, które stoi zatem przed nami, jest uodpornienie się na tego typu operacje, bez równoczesnego zanegowania ustrojowych i filozoficznych podstaw naszej cywilizacji. ■

EURO POL TECH

20
19

Warszawa
8-10 maja
2019

**IX. MIĘDZYNARODOWA
KONFERENCJA POLICYJNA**

**VI. MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA
NAUKOWA CENTRALNEGO LABORATORIUM
KRYMINALISTYCZNEGO POLICJI**

**MIĘDZYNARODOWE TARGI
TECHNIKI I WYPOSAŻENIA
SŁUŻB POLICYJNYCH
ORAZ FORMACJI
BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWA**

ŚŁOWO jak pocisk

Jeszcze kilkanaście lat temu wojsko nie doceniało wagi informacji. Zmieniło się to po misjach w Iraku i Afganistanie.

MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK

Podczas misji ISAF w Afganistanie jeden z amerykańskich podoficerów spalił Koran. Sprawa szybko została nagłośniona, informowały o tym wszystkie lokalne media. Afgańczycy domagali się wyciągnięcia surowych konsekwencji wobec sierżanta. „Byli mocno wzburzeni. Istniało realne niebezpieczeństwo, że przez ten incydent wzrośnie liczba ataków na żołnierzy koalicji, czyli także na Polaków”, opowiada ppłk Adam Włoczewski, szef wydziału działań niekinetycznych w Centrum Operacji Lądowych – Dowództwie Komponentu Lądowego w Krakowie. Oficer w 2013 roku służył w Połączonym Dowództwie ISAF (ISAF Joint Command) jako szef wydziału działań informacyjnych. „Musielśmy postarać się, żeby do wszystkich dowódców i żołnierzy służących wówczas w Afganistanie dotarła informacja, że dowództwo ISAF nie pochwała zachowania amerykańskiego sierżanta. W ten sposób wysyłaliśmy też przekaz Afgańczykom: jesteśmy w waszym kraju, będziemy szanować was i wasze zwyczaje”, opowiada ppłk Włoczewski.

Specjaliści od InfoOps (Information Operations) wykazali się także, gdy w Ghazni uruchomiono telefon zaufania. Zamysł był taki, że mieszkańcy prowincji tą drogą będą informować o wszystkim, co wydaje się im niepokojące lub podejrzane. Z telefonu jednak nikt nie korzystał. Oficerowie od InfoOps zaplanowali więc operację, angażując m.in. żołnierzy z Centralnej Grupy Działań Psychologicznych, ale także dowódców, którzy promowali ideę telefonu zaufania podczas spotkań z wpływowymi osobami w regionie. Informowano o tym za

pomocą ulotek, a także w czasie audycji radiowych. Ludzie jednak byli nieufni. Telefon zadzwonił dopiero kilka miesięcy później. Afgańczycy po takim czasie przełamali się i zaczęli przekazywać informacje kluczowe dla bezpieczeństwa żołnierzy sił koalicji.

Jak zdolności polskiego wojska w operacjach informacyjnych wyglądają dzisiaj? O strukturach InfoOps w siłach zbrojnych pisać nie możemy. Sztab Generalny WP informuje jednak, że specjalistów w tej dziedzinie nie brakuje. Pracują oni m.in. w dowództwach Generalnym i Operacyjnym. To w większości ludzie, którzy kończyli specjalistyczne kursy w Akademii Sztuki Wojennej i szkolenia zagraniczne.

STRATEGIA KOMUNIKACYJNA

„Myślę, że zamknęliśmy już w polskich siłach zbrojnych etap uczenia się InfoOps. Pamiętam początki, tzn. czas, kiedy pierwszy raz to pojęcie pojawiło się w naszej armii. To był zdaje się 2001 rok. Więcej o operacjach informacyjnych mówiło się już parę lat później, ale prawdziwą ewolucję InfoOps możemy obserwować od misji w Iraku”, mówi ppłk Rafał Zgryzewicz, rzecznik prasowy Sztabu Generalnego WP, a do niedawna oficer Centrum Eksperckiego NATO do spraw Komunikacji Strategicznej na Łotwie (NATO Strategic Communications Centre of Excellence). „Dziś nikogo w naszej armii nie trzeba chyba przekonywać do tego, że informacja ma ogromne znaczenie i że czasami może być groźniejsza niż wystrzelony pocisk”, dodaje.

Płk Zgryzewicz zaznacza jednak, że rozmowę na temat operacji informacyjnych trzeba zacząć od zrozumienia, czym jest komunikacja strategiczna (Strategic Communications). W ramach sojuszu północnoatlantyckiego obowiązuje bowiem dokument określający narzędzia i funkcje związane ze StratCom. „W 2009 roku było pięć filarów prowadzenia komunikacji strategicznej – dyplomacja publiczna, komunikacja społeczna, wojskowa komunikacja społeczna, operacje informacyjne oraz operacje psychologiczne”, mówi płk Rafał Zgryzewicz. Oficer tłumaczy dalej, że ze względu na dynamicznie zmieniające się środowisko informacyjne, NATO przystąpiło jednak do opracowania nowej polityki komunikacji strategicznej.

Nowy dokument został opublikowany w czerwcu 2017 roku. „W rozumieniu »NATO Military Policy on Strategic Communications« zadaniem InfoOps jest analiza, planowanie i skoordynowanie działań, dlatego operacje informacyjne mają w StratCom kluczową rolę. Bo jeśli ideą komunikacji strategicznej jest utrzymanie jednolitej narracji w całym sojuszu – od sekretarza generalnego po szeregowego żołnierza – to zadaniem InfoOps będzie właśnie koordynacja przedsięwzięć na poziomie operacyjnym i taktycznym w taki sposób, by zapewnić spójność tego przekazu”, wyjaśnia płk Zgryzewicz.

Trzeba tu jednak zaznaczyć, że inaczej będą działać specjaliści od operacji informacyjnych w czasie pokoju, a inaczej podczas misji wojskowych. Doktryna dotycząca operacji informacyjnych zabrania stosowania InfoOps, w tym operacji psychologicznych, wobec swoich obywateli.

Dr Adam Lelonek, prezes Fundacji Centrum Analizy Propagandy i Dezinformacji, w jednej ze swoich publikacji na temat wojny informacyjnej i psychologicznej podejmuje próbę zdefiniowania InfoOps. Według niego są to działania podejmowane w celu wpływania na informację i systemy informacyjne przeciwnika przy jednoczesnej ochronie własnych zasobów i narzędzi. „Do zakresu operacji informacyjnych wchodzi m.in.: wywiad, wsparcie systemów komunikacji, systemy informacyjne oraz koordynacja na różnych szczeblach działania, wynikająca ze spójnej strategii”, pisze. Dzieli także operacje informacyjne na dwa typy: ofensywne i defensywne.

W Afganistanie w czasie misji ISAF polscy żołnierze prowadzili działania defensywne. „Oznacza to, że mogliśmy reagować na nieprawdziwe informacje, planowaliśmy operację informacyjną za pomocą różnych narzędzi, ale jako odpowiedź na to, co już się wydarzyło”, opowiada płk Adam Włoczewski. „Było to trudne zwłaszcza pod Hindukuszem. Walka z propagandą wrogów Afganistanu, czarnym PR-em i manipulacją nie była prosta. Tam działają cztery całodobowe serwisy informacyjne, więc wieści rozchodzą się bardzo szybko. Jeśli w eter idzie nieprawdziwa informacja szkalująca żołnierzy ISAF, to bardzo trudno z tym walczyć”, dodaje. Za przykład można podać sytuację, kiedy w szpitalu doszło do wybuchu

butli z gazem. Momentalnie do ludzi dotarła zmanipulowana informacja, że to samoloty ISAF zrzuciły bombę.

Z kolei rzecznik SGWP, przytaczając przykład ofensywnych operacji informacyjnych, wskazuje na działania podczas walki z tzw. Państwem Islamskim. Ugrupowanie terrorystyczne wykorzystuje trzy typy narracji: polityczną, religijną i społeczną, w której ramach za pośrednictwem różnych kanałów komunikacyjnych prowadziło kampanię informacyjną. „W rezultacie w latach 2014–2015 około 5 tys. zwolenników tego ugrupowania wyemigrowało z krajów europejskich, by wspierać ISIS na terenie Iraku i Syrii. Aby przeciwdziałać aktom terroru, które znacząco wpłynęły na destabilizację sytuacji w krajach Bliskiego Wschodu, pod przywództwem Stanów Zjednoczonych zawiązano Globalną Koalicję przeciwko ugrupowaniu terrorystycznemu. Zajmowała się ona komunikacją strategiczną. Zadaniem specjalistów było m.in. deprecjonowanie informacji ISIS oraz walka informacyjna. „Z czasem role się odwróciły. Globalna Koalicja przejęła inicjatywę informacyjną, co odebrało terrorystom przewagę”, przyznaje płk Zgryzewicz.

LICZY SIĘ SZYBKOŚĆ

Podstawowe założenia InfoOps są proste: w społeczeństwie informacyjnym szansę na zwycięstwo ma ten, kto szybciej otrzyma i przetworzy informację. By wpłynąć na lokalną ludność, ważne jest przekazywanie starannie dobranych, profilowanych komunikatów i informacji, zaskarbianie sympatii i zaufania miejscowych, kształtowanie ich opinii, a także wpływanie na morale przeciwnika.

Oficerowie operacyjni opracowują plany krótko- i długoterminowe, przygotowują kluczowe informacje (zgodnie z założeniami StratCom), które później wprowadzane są do obiegu. Na przykład w Afganistanie służby InfoOps wykorzystywały sukcesy działań bojowych, akcentując udział w operacjach sił afgańskich. Chodziło o to, by społeczeństwo wiedziało, że tamtejsza armia jest silna, dobrze wyposażona i skuteczna.

Płk Włoczewski przypomina sytuację z 2003 roku, sprzed wojny z Irakiem: „Amerykański InfoOps zareagował za pomocą działań psychologicznych. Przez siedem dni Amerykanie nadawali komunikaty, w których informowali Irakijczyków, że już niebawem zostaną pokonani, bo potencjał militarny USA jest ogromny. Ocalić ich może tylko przejście na stronę sił koalicji”, wspomina szef wydziału działań niekinetycznych w COL-DKŁąd. „Kampania odniosła sukces. 27% Irakijczyków przeszło na stronę koalicjantów, zanim padł pierwszy strzał”.

Armia amerykańska z powodzeniem prowadziła operacje informacyjne również na wojnie w rejonie Zatoki Perskiej w 1991 roku albo w czasie interwencji na Haiti w 1994 roku. Nie uchroniła się jednak od porażek, jak w Rwandzie w 1994 roku czy podczas misji w Kosowie w 1999 roku, gdzie Amerykanom nie udało się przeciwstawić serbskiej propagandzie. ■

W NATO OBOWIĄZUJE SPECJALNY DOKUMENT OKREŚLAJĄCY NARZĘDZIA ZWIĄZANE Z KOMUNIKACJĄ STRATEGICZNĄ I JEJ FUNKCJE

Patronat Honorowy Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

 **Targi Kielce**
exhibition & congress centre




Member

MSPO

XXVII Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego

WYSTAWA NARODOWA USA



3-6.09.2019, Kielce

Partner strategiczny



www.msपो.pl

Najgroźniejsza broń AK

Czasami, gdy niemieccy naukowcy ogłaszają sensacyjne odkrycie materiałów świadczących o istnieniu nieznanej dotychczas organizacji antynazistowskiej, okazuje się, że są to fałszywki spreparowane przez Armię Krajową.

PIOTR KORCZYŃSKI

Na pytanie, za co można było kupić kawałek chleba w umierającej z głodu i zimna 6 Armii gen. Friedricha Paulusa, nieliczni ocaleni z kotła stalingradzkiego odpowiadali, że za gazetki i ulotki redagowane przez niemiecką opozycję antynazistowską. Jakimż szokiem dla tych żołnierzy byłaby wiadomość, że ta bibuła, cenniejsza od bezwartościowych na froncie wschodnim marek, była drukowana przez... Armię Krajową.

NIEWIERNE ŻONY

Nieprawomyślne ulotki i gazetki niemieccy żołnierze przemycali w plecakach po całym froncie wschodnim – od północnej tundry po stepy i góry Kaukazu. Najbardziej poczytne były te, które opisywały rozwiązłość niemieckich kobiet pozostawionych przez mężów zwerbowanych na wojnę z Sowietami. Niepokój żołnierzy o honor swych żon i córek wynikał dodatkowo z tego, że redaktorzy „Der Soldat” i „Der Frontkämpfer” informowali, że są one napastowane przez funkcjonariuszy NSDAP i SS, którzy wykorzystywali

swe przywileje, dekowali się na tyłach i unikali służby na froncie.

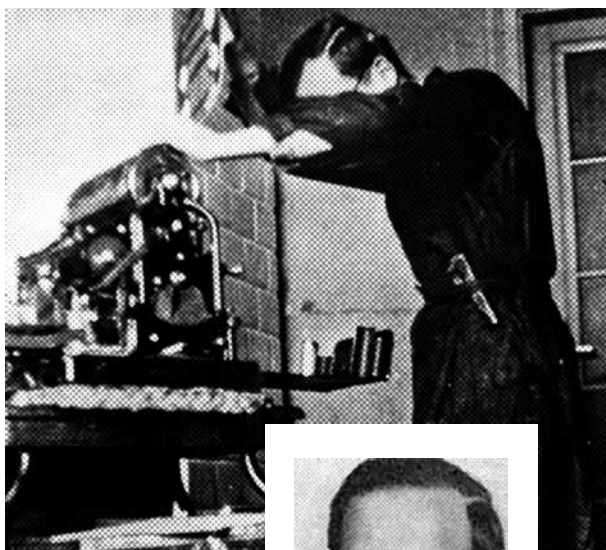
Nie może więc dziwić list kpr. Beckera do żony Pauli, z maja 1942 roku, który przechwycili członkowie Oddziału II Komendy Głównej Armii Krajowej (informacyjno-wywiadowczego). Zdenierwowany feldfelbel pisał: „Muszę Cię, moja kochana, pewnymi pytaniami nie-

pokoić. Otóż między naszymi żołnierzami panuje powszechny nieprzyjemny i przybity nastrój co do naszej ojczyzny. Opowiada się tu, że żony żołnierzy są tak niewierne, że do 80 procent tych kobiet puszcza się z obcymi, wykorzystując nieobecność męża. Napisz mi, czy to jest możliwe...”. Podoficer kończy list groźnym proroctwem: „[...] jak tak dalej pójdzie, wyrzniemy karabinami o ziemię i każemy Rosjanom przyjść zrobić porządek”.

W innym liście, z sierpnia 1942 roku, również przeczytanym przez akowców, szer. Franz Schwächer pyta żonę Antonię: „Co porabiają nasi protegowani w kraju, czy jeszcze ciągle siedzą za piecem? Policzymy się kiedyś z nimi, w najgorszym wypadku po wojnie. Nienawidzimy tych tchórzy więcej niż najgorszego wroga!”. Te groźby pobrzmiwały w wielu innych listach, a im bliżej było kolejnej rosyjskiej zimy, tym powtarzały się częściej.

POZOROWANA OPOZYCJA

Sytuacja armii niemieckiej w Rosji istotnie była coraz gorsza, więc niepokojące wieści z kraju o niewiernych żonach



Na czele referatu „N” stanął doświadczony przedwojenny publicysta Tadeusz Żenczykowski „Kania”.



W ARMII NIEMIECKIEJ MIAŁO POWSTAĆ WRAŻENIE, ŻE W RZESZY I OKUPOWANYCH PRZEZ NIĄ KRAJACH UAKTYWNIŁA SIĘ SZEROKA ANTYNAZISTOWSKA OPOZYCJA



i panoszeniu się „złotych bażantów”, jak nazywano funkcjonariuszy NSDAP, padały na podatny grunt. Jedno tylko się nie zgadzało. Gazety „Der Soldat” i „Der Frontkämpfer” nie były organami niemieckiej opozycji antynazistowskiej czy konspiracji działającej w szeregach wojska, lecz preparowano je w specjalnym referacie Biura Informacji i Propagandy (BIP) o kryptonimie „N” (Niemcy). Komendant główny AK gen. Stefan Rowecki „Grot” po kilku miesiącach przygotowań meldował w lutym 1941 roku do centrali w Londynie: „Celem rozszerzenia akcji rozkładowej wśród Niemców [...] w ramach BIP utworzyłem specjalną komórkę oznaczoną »N«”. Na czele referatu „N” stanął doświadczony przedwojenny publicysta Tadeusz Żenczykowski „Kania”.

„Kania” zebrał wokół siebie specjalistów od spraw niemieckich, m.in. filologów, historyków czy dziennikarzy, którzy dostali zadanie „stworzenia” niemieckiego ruchu oporu. Jeden

z członków referatu, Zygmunt Ziółek „Sawa”, wspominał: „Dział ten miał studiować wszystko to, co ułatwiałoby pozorowanie nieistniejącej antyhitlerowskiej opozycji i jej możliwych odbiorców, a więc przypuszczalną postawę, argumentację i język nacjonalistów, socjaldemokratów, liberałów i wojskowych”.

Innymi słowy, w społeczeństwie i armii niemieckiej miało powstać wrażenie, że w Rzeszy i okupowanych przez nią krajach uaktywniła się szeroka antynazistowska opozycja. By to osiągnąć, preparowano różnego rodzaju czasopisma. Wśród nich były: fałszywy organ prasowy opozycji socjaldemokratycznej „Der Hammer”, „Die Ostwache” – przeznaczony dla reichsdeutschtów, czyli rodowitych Niemców zatrudnionych w administracji Generalnego Gubernatorstwa, oraz dla volksdeutschtów dwujęzyczny „Die Zukunft – Przyszłość”.

O skuteczności tej akcji świadczy m.in. raport radomskiego gestapo, który alarmuje: „Propaganda wywrotowa jest

prowadzona nadzwyczaj sprawnie i według dotychczasowych doświadczeń odniesie skutek w środowisku volksdeutschtów [...]. Nawet u reichsdeutschtów powstało już wrażenie, że w Rzeszy istnieją bardzo silne ugrupowania opozycyjne”. Co więcej, „opozycyjne ruchy odśrodkowe” za sprawą referatu „N” nie ominęły samej NSDAP. Wykorzystano tutaj głośną ucieczkę do Anglii prawej ręki Hitlera, Rudolfa Hessa. W serii fałszywych odezwo ogłaszano, że jako przywódca „prawdziwych nazistów” musiał on zbiec przed Führerem, bo ten sprzeniewierzył się faszystowskiemu ideałom.

WYCIECZKA DO AUSCHWITZ

Preparowano również rozporządzenia urzędów okupacyjnych. Do najgłośniejszych i najbardziej kompromitujących należało ogłoszenie w kwietniu 1943 roku akcji zbiorowych wycieczek dla Niemców do Auschwitz, Majdanka i innych obozów koncentracyjnych na terenie Generalnego Gubernatorstwa.



Specjaliści z AK preparowali różnego rodzaju czasopisma dywersyjno-propagandowe. W rezultacie, oprócz „właściwych” gazet, takich jak „Ost-Front”, do niemieckich żołnierzy trafiały również fałszywe, takie jak „Der Hammer”, „Die Ostwache”, „Der Frontkämpfer” czy „Der Klabautermann”.

Rozporządzenie zostało podpisane przez Wilhelma Ohlenbuscha, ministra propagandy rządu GG.

Była to pewnego rodzaju odpowiedź polskiego podziemia na wykorzystywanie przez niemiecką propagandę mordu katyńskiego. Jak głosiły plakaty reklamujące wycieczki do obozów, organizowano je w celu „zaprezentowania humanitarnych metod niemieckich”. Plakaty i ogłoszenia z tym kuriozalnym hasłem wisiały na ulicach Warszawy przez kilka dni, zanim ostatecznie potwierdzono, że polecenie ich usuwania nie jest polską prowokacją!

DAROWANY DZIEŃ WOLNY

Niektóre „zarządzenia” referatu „N” oprócz efektów psychologicznych przynosiły również Niemcom bolesne straty

finansowe. Między innymi 30 kwietnia 1942 roku do 209 zakładów przemysłowych z terenu Mazowsza przysłano nakaz odstąpienia od pracy 1 maja, by uczcić święto NSDAP. Do wielu dyrektorów i kierowników nie dotarło na czas dementi tej fałszywki, więc wstrzymali we wskazanym terminie pracę, by nie narażać się na zarzuty ze strony władz okupacyjnych. Pełnych strat spowodowanych tą akcją Niemcy nigdy nie ujawnili, ale tylko w samej Warszawie miało stanąć 37 zakładów pracujących na rzecz okupanta. Podobnie było w Radomiu, Ożarowie i Pruszkowie. Według raportów wywiadu AK, 1 maja 1942 roku „uczciło” około 9 tys. pracowników podległych niemieckiej Generalnej Dyrekcji Kolei Wschodniej, co miało negatywny wpływ na dostawy frontowe.

Pracę referatu „N” ostatecznie prze-rwał wybuch powstania warszawskiego, a jego szef – Tadeusz Żencykowski – otrzymał znacznie trudniejsze zadanie walki propagandowej z zajmującymi Polskę Sowieci (akcja „Antyk”). Okazali się oni znacznie skuteczniejsi od Niemców nie tylko w walce z konspiracją, lecz także w wojnie propagandowej.

Echa działalności referatu „N” przetrwały jednak do dzisiaj. Od czasu do czasu niemieccy dziennikarze lub naukowcy ogłaszają sensacyjne odkrycie materiałów świadczących o istnieniu nieznanej dotychczas organizacji antynazistowskiej w Niemczech rządzonej przez Hitlera. Następnie okazuje się, że to jednak fałszywki wypuszczone przez polską Armię Krajową...

ARMIA

/ SZKOLENIE



AWARIA? BEZ PANIKI

Choć trudno w to uwierzyć, polscy piloci
Mi-24 dopiero w 2018 roku po raz
pierwszy przeszli trening
w **symulatorze tego śmigłowca.**

EWA KORSAK

ARKADIUSZ DWULATEK/COMBAT CAMERA DORSZ



D

la pilotów wszystkich typów statków powietrznych, od śmigłowców, przez transportowce, po myśliwce, trening w symulatorze to standardowa część szkolenia. Niestety do tej pory omijał on tych, którzy zasiadają za sterami Mi-24. W Polsce nie ma bowiem odpowiedniego symu-

latora, a żadna firma w Europie nie sprostała wymaganiom 1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych, której podlegają wyposażone w Mi-24 bazy lotnicze w Inowrocławiu i Pruszcze Gdańskim.

„Od 2013 roku próbowaliśmy znaleźć usługodawcę takiego szkolenia. Złożono nawet odpowiednie zapytanie przetargowe. Niestety nikt się nie zgłosił”, mówi ppłk Krzysztof Kwiatkowski, dowódca 1 Eskadry Śmigłowców Szturmowych 56 Bazy Lotniczej w Inowrocławiu. Dopiero cztery lata później – w 2017 roku, do lotników zgłosiła się firma oferująca szkolenie w symulatorze Mi-24 w ośrodku w Petrovcu w Macedonii. Okazało się jednak, że urządzenie jest dostosowane do nowocześniejszej niż polska wersja Mi-24, określanej jako Alexander. Żeby sprawdzić, czy szkolenie ma sens i jak wyglądają możliwości pilotażowe symulatora, najpierw do Macedonii polecieeli ppłk Krzysztof Kwiatkowski oraz ppłk Marcin Kurandy, dowódca Grupy Działań Lotniczych w 49 Bazy Lotniczej w Pruszcze Gdańskim.

MISJA SYMULATOR

Podstawowa różnica między polskim Mi-24 a wersją Alexander dotyczy wyświetlaczy w górnej kabinie pilota (Mi-24 ma dwie kabiny: górna jest dla pierwszego pilota – dowódcy załogi, dolna zaś dla drugiego pilota – operatora). „Tam są wyświetlacze cyfrowe, a u nas – przyrządy analogowe”, wyjaśnia ppłk Kwiatkowski. Mimo to piloci uznali, że symulator będzie odpowiedni do szkolenia. Dlaczego? „Główne przyrządy analogowe zostały w kabinie symulatora. Na przykład sztuczny horyzont, wysokościomierz, prędkościomierz, wariometr są w nim dokładnie w tym miejscu, w którym znajdują się w polskim Mi-24. Gdyby nie to, szkolenie rzeczywiście nie miałoby sensu”, mówi dowódca inowrocławskiej eskadry.

Znacznie więcej różnic było natomiast w dolnej kabinie śmigłowca. „Zamiast stacji do kierowania uzbrojeniem są dwa wyświetlacze i komputer misji,



Symulator znajdujący się w ośrodku szkolenia w Petrovcu to FMS (Full Mission Simulator). Z zewnątrz wygląda jak duża kula. W środku została odwzorowana kabina śmigłowca Mi-24.

tak więc dla drugiego pilota szkolenie jest utrudnione”, mówi ppłk Kwiatkowski. Do Macedonii w 2018 roku pojechało łącznie około 50 pilotów z 56 Bazy Lotniczej oraz 49 Bazy Lotniczej. Dlaczego szkolenie nie objęło wszystkich służących w obu bazach? „Po pierwsze, ograniczał nas budżet, zaplanowany dużo wcześniej, kiedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że ono się odbędzie. Po drugie, chciałem, żeby z tych zajęć zostały wyciągnięte wnioski, jak w przyszłości zmodyfikować kurs oraz w jaki sposób urozmaicić misje. Na takie odpowiedzi mogę liczyć od pilotów, którzy już mają trochę doświadczenia”, mówi Kwiatkowski.

KULA POD OBSERWACJĄ

Symulator śmigłowca Mi-24 znajdujący się w ośrodku szkolenia w Petrovcu to FMS (Full Mission Simulator). Z zewnątrz wygląda jak duża kula. W środku została odwzorowana kabina Mi-24. Zamontowano tam kokpit, a na ścianach wokół są wyświetlane obrazy odpowiadające misji, którą wykonuje pilot, na przykład krajobraz pustyni, wysokich gór; w słońcu, przy padającym deszczu czy śniegu, nocą albo w dzień. Lotnicy podkreślają, że realizm lotu w symulatorze jest bardzo duży. „Urządzenie

Precyzja, czas, opóźnienie – to wszystko jest w przypadku awarii równie ważne jak znajomość procedur. Nie można się tego nauczyć podczas rzeczywistych lotów, bo są to sytuacje niosące ze sobą olbrzymie ryzyko.

Fakty o Mi-24

● Ciężkie, uzbrojone i opancerzone śmigłowce Mi-24 są przez pilotów nazywane latającymi czołgami. Po raz pierwszy w polskiej armii pojawiły się... 40 lat temu. Stacjonują w dwóch bazach lotniczych: w Inowrocławiu i Pruszczu Gdańskim. Jedenastotonowe maszyny sprawdziły się w bojowych sytuacjach. Żołnierze latali nimi w czasie misji w Iraku i Afganistanie.

● Mi-24 został zaprojektowany w ZSRR w sierpniu 1968 roku. Zespołem, który nad nim pracował, kierował Michał Mil, radziecki konstruktor lotniczy. Prototyp śmigłowca był gotowy rok później. Pierwszy lot odbył się we wrześniu 1969 roku.

● Śmigłowce są na stałe uzbrojone w karabin maszynowy JakB kalibru 12,7 mm, cztery wyrzutnie pocisków kierowanych 9M17P i cztery kasety

z pociskami zakłócającymi kalibru 26 mm (ASO-2W). Można do nich podwiesić m.in. zasobniki UB-32 z rakietami S-5 lub bomby.

● Mi-24 ma niemal 4 m wysokości i 22 m długości, waży 11 t, średnica śmigła wynosi 17,5 m. Maksymalna prędkość to 335 km/h, ale standardowo rozwija około 280 km/h. Charakterystyczną cechą śmigłowca jest możliwość przewożenia ośmiu żołnierzy w części transportowej.



drzy, obraca się, kołysze nim jak prawdziwym śmigłowcem. Kiedy skręcam w lewo, on się przechyla w tę samą stronę i ma się wrażenie ruchu po okręgu. Tak jak w rzeczywistości”, opowiada mjr Jacek Janowski z 56 Bazy Lotniczej w Inowrocławiu, jeden z pilotów szkolonych w Macedonii.

Ośrodek ma również centrum sterowania symulatorem. To co w kuli robią piloci, kilka metrów dalej obserwują instruktorzy – macedoński i polski. „Macedończycy odpowiadali raczej za techniczną obsługę symulatora, my natomiast decydowaliśmy o tym, jak ma wyglądać misja. Każdy ruch pilota jest rejestrowany, tak więc w czasie rzeczywistym widzieliśmy, które urządzenia on włącza, ale też, dzięki kamerom w środku, jak się zachowuje, w którą stronę patrzy”, mówi ppłk Kwiatkowski. W czasie realnego lotu szkolnego polscy instruktorzy nie mają takiej możliwości, bo Mi-24 jest tak skonstruowany, że piloci z pierwszej i drugiej kabiny nie widzą siebie nawzajem. Instruktorzy nie mogą więc kontrolować, czy skupiają oni wzrok na właściwych przyrządach. „Czasami jakaś procedura w symulatorze nie wychodziła i okazywało się, że pilot obserwował niewłaściwy wskaźnik. Prozaiczne, ale bardzo istotne sprawy”, mówi jeden z instruktorów.

NATASZA OSTRZEGA

Jakie sytuacje awaryjne trenowali piloci? Na przykład usterkę instalacji hydraulicznej, uszkodzenie śmigiełka

ogonowego, pożar jednego silnika, a potem dwóch. „Kiedy wysiada instalacja hydrauliczna – najpierw główna, potem zapasowa, jednym z najważniejszych zadań pilotów jest zapanowanie nad śmigłowcem. Problem w tym, że instalacja odpowiada za wspomaganie sterowania, więc aby posadzić bezpiecznie na ziemi jedenastotonowy śmigłowiec, niezbędna jest ogromna siła fizyczna. Czasem potrzeba dwóch pilotów, aby pociągnąć drążek sterowniczy”, wyjaśnia ppłk Krzysztof Kwiatkowski. Trudno taką sytuację trenować w realu, bo ryzyko jest zbyt duże, podobnie jest z postępowaniem w razie pożaru silników, czyli w razie jednej z najniebezpieczniejszych awarii.

„W symulatorze wygląda to identycznie jak w rzeczywistości, czyli dostajemy kilka informacji o tym, że mamy pożar. Odzywa się »Natasza«, system, który głosowo ostrzega przed awarią. W kabinie zapala się czerwona lampka. Zerkam na przyrządy kontroli pracy zespołu napędowego – jeśli jest pożar, widzę jak rośnie temperatura silnika”, mówi mjr Jacek Janowski. Piloci wykonują kolejne czynności wymienione na liście kontrolnej. „Dzięki odpowiednim procedurom można zapanować nad sytuacją”, mówi jeden z nich. Te najważniejsze trzeba znać na pamięć. Pilot sprawdza, czy butla gasząca pożar zadziałała, a potem wyłącza palący się silnik. „W tym momencie przechodzę do kolejnego punktu, czyli lotu z jednym silnikiem...” ➔

W 2019 ROKU SZKOLENIE W SY- MULATORZE LOTU MI-24 PRZEJDĄ WSZYSCY PILOCI TEJ MASZYNY



Wszystkie ruchy pilotów w kuli obserwują instruktorzy kilka metrów dalej – w centrum sterowania symulatorem.

A potem do kolejnego – lądowania awaryjnego”, mówi mjr Janowski. Brzmi jakby po prostu naciskało się kolejne przyciski, ale podczas pierwszych lotów w symulatorze nawet doświadczeni piloci rozbijali śmigłowiec.

Precyzja, czas, opanowanie – to wszystko jest w przypadku awarii równie ważne jak znajomość procedur. Nie można się tego nauczyć podczas rzeczywistych lotów, bo są to sytuacje niosące ze sobą olbrzymie ryzyko. „Jeśli już trenujemy, to w powietrzu, robimy to na bezpiecznej wysokości, w bezpiecznej odległości. Wiemy, kiedy awaria się wydarzy, możemy się do niej przygotować. W symulatorze zaś wszystko dzieje się z zaskoczenia i w najmniej komfortowych warunkach”, wyjaśnia Kwiatkowski. Niektóre procedury ćwiczy się również na sucho – na ziemi, w kabinach śmigłowców. „Powtarza się kolejne czynności, włącza lampki i je wyłącza. Pilot opanowuje te czynności pamięciowo, tyle że nie ma tu nerwów i adrenaliny”, mówi dowódca inowrocławskiej eskadry.

Ćwiczone również CRM (Crew Resource Management), czyli współpracę w załodze w sytuacjach awaryjnych. „W założeniu miał to być trening dla dowódców załóg, ale okazało się, że symulator można wykorzystać w szkoleniu pilotów-operatorów”, przyznaje ppłk Marcin Kurandy. „Uczyli się, że ich rola podczas lotu, szczególnie w sytuacji awaryjnej, jest bardzo ważna”, dodaje dowódca Grupy Działania Lotniczych.

W czasie kryzysu obowiązki trzeba rozdzielić między obu pilotów na nowo. „Liczba bodźców, które ma dowódca załogi, jest tak duża, że w pewnym momencie drugi pilot musi przejąć niektóre zadania – od czytania punktów z listy kontrolnej, aż po sterowanie śmigłowcem. Wówczas dowódca załogi ma czas zająć się przełączaniem, wyłączeniem albo włączaniem kolejnych urządzeń w jego kabinie. Ponieważ w Mi-24 znajdują się one nie tylko na kokpicie przed dowódcą, lecz także

obok i za nim, może on mieć problem, by je wyłączać i jednocześnie patrzeć przed siebie. Pomoc drugiego pilota jest w takim wypadku bardzo ważna”, wyjaśnia ppłk Kwiatkowski.

WIĘCEJ NIESPODZIANEK

Jakie korzyści dało szkolenie doświadczonym lotnikom? „Odpowiedź jest bardzo prosta. Zwiększyły się moje szanse na przeżycie w razie awarii śmigłowca. Wiem, że gdyby zdarzyło mi się coś w powietrzu, przed oczami będę miał to, co ćwiczyłem w symulatorze”, mówi ppłk Kwiatkowski. „Nie ma takiej możliwości, by wszystkie sytuacje awaryjne przetrenować podczas realnego lotu. W 2001 roku w śmigłowcu Mi-2, który pilotowałem, wyłączył się silnik. Jako pilot miałem wówczas mały nalot, bo Szkołę Orłąt ukończyłem zaledwie półtora roku wcześniej, mimo to wypracowane w lotach treningowych nawyki pozwoliły szczęśliwie wylądować w przygodnym terenie. Wówczas wszystko poszło bardzo dobrze. Załoga została uratowana, śmigłowiec również. To nie był trening, dlatego nikt nie zwracał uwagi na to, jakie błędy ewentualnie popełniam. A taka wiedza jest dla pilotów bardzo ważna i symulator daje nam możliwość jej zdobycia”, mówi mjr Janowski.

Piloci przyznają, że najlepiej byłoby ćwiczyć częściej, regularnie i na miejscu – w Polsce. Ponieważ nie ma na to szans, dlatego w 2019 roku po raz kolejny polecą do Macedonii. Ale program szkolenia będzie nieco zmodyfikowany. „Założenia pozostaną te same, czyli trening procedur w sytuacjach awaryjnych. Chcemy jednak, żeby każda misja, od pierwszej do ostatniej, była dla szkolącego się pilota niespodzianką, tak żeby nie mógł on przygotować się do konkretnej sytuacji”, mówi dowódca eskadry. Dodaje, że w 2019 roku szkolenie w symulatorze lotu Mi-24 przejdą wszyscy piloci tej maszyny. „Trening w Macedonii został już uwzględniony w ich indywidualnych planach szkolenia”, mówi ppłk Kwiatkowski. ■

MŁ. CHOR. DARIUSZ ROGOWICZ



Data i miejsce urodzenia:

18 lipca 1976 roku, Opole.

W wojsku służy

od: 26 stycznia
1995 roku.

Zajmowane stanowisko:

komendant ochrony 91 Batalionu Logistycznego w Komprachcicach pod Opolem i nieetatowy inspektor ds. ochrony środowiska w tej jednostce.

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE:

rodzina, ukończenie kilku kierunków studiów (m.in. w dziedzinie rewalidacji, terapii uzależnień, resocjalizacji i seksuologii), a także zdobycie tytułu Podoficer Roku 2018.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:

udział w pierwszej misji PKW KFOR w Macedonii oraz narodziny córki, gdy byłem na trzeciej misji.

MISJE I ĆWICZENIA:

służyłem w Macedonii w latach 2000–2001, w Afganistanie w 2002 roku, w Kosowie w latach 2004–2005, w Demokratycznej Republice Konga w 2006 roku i podczas misji „Resolute Support” w Afganistanie w 2015 roku.

NAJLEPSZA BRONŃ:

zawsze służyłem w logistyce, ale dla mnie to karabinek kbk AKMS kalibru 7,62 mm.

W UMUNDUROWANIU POLSKIEGO ŻOŁNIERZA PODOBAJĄ MI SIĘ:

mundury misyjne, np. koszulki w kamuflażu kamizelki.



UŁATWIŁBYM MOŻLIWOŚĆ
AWANSOWANIA W KORPUSIE
PODOFICERSKIM

HOBBY:



podróże



literatura



kuchnia



film



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
FOT. ARCH. PRYWATNE



POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIE-
GO WOJSKA. W CYKLU **WOJSKO
OD KULIS** PRZECZYTACIE O MA-
RYNARZACH, PILOTACH, LOGI-
STYKACH, ARTYLERZYSTACH,
PRZECIWŁOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

12 na piątkę

Żołnierze Błękitnej Brygady, nazywanej tak na pamiątkę armii gen. Hallera, niewiele czasu spędzają w koszarach. Miniony rok upłynął im pod znakiem ćwiczeń i zdobywania wielu cennych doświadczeń.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Oznaka rozpoznawcza z cyfrą „12” na lewym rękawie munduru zobowiązuje. To wyróżnienie. Z tego powodu kpr. Krzysztof Rozicki pozostał w 12 Brygadzie, mimo że przeszedł selekcję w wojskach specjalnych. Jest jednym z żołnierzy, dla których miejscem codziennej służby są koszary przy alei Wojska Polskiego w Szczecinie.

SZLIFOWANIE DIAMENTÓW

„Był jak nieoszlifowany diament, gdy w 2007 roku rozpoczął służbę w 1 Batalionie na stanowisku strzelca”, mówi o Krzysztofie Rozickim jego dawny dowódca mjr Sebastian Grell. Do niego pierwszego kapral zadzwonił, gdy znalazł się w gronie szczęśliwców, którzy podołali trudom ekstremalnej selekcji. „Chciałem się sprawdzić”, tłumaczy. Na jednym

ze zdjęć w telefonie komórkowym kaprala można zobaczyć jego stopy po zakończonym sprawdzianie. Po przejściu 365 km w górach z 20-kilogramowym plecakiem były pomarszczone, odparzone, pokryte pęcherzami. Na innych fotografiach widać, jak kapral biegnie umorusany, aby pokonać kolejne przeszkody. Żartuje, że lubi tarzać się w błocie.

Dziś kpr. Rozicki jest dowódcą sekcji wsparcia w 1 plutonie w 3 kompanii zmotoryzowanej. „Jestem aniołem stróżem naszej piechoty”, mówi. Szkoli także młodych żołnierzy służby przygotowawczej, którzy trafiają do Błękitnej Brygady. Z ponad 120, których przeszkolił w ubiegłym roku, kilkunastu pozostało w 12 BZ. „Szukam wśród nich ludzi wyjątkowych”, mówi. Przyznaje, że jest wymagającym dowódcą, że podczas szkolenia trzeba się spodziewać potu, krwi i łez. Ale na zakończenie



12 BRYGADA ZMECHANIZOWANA TO JEDNA Z NAJWIĘKSZYCH, NAJNOWOCZEŚNIEJ- SZYCH I NAJLEPIEJ WYSZKOLONYCH JEDNOSTEK WOJSKOWYCH W KRAJU

dostał pamiątkowe zdjęcie z podpisem „Najlepszy dowódca 12 Brygady”.

Długa jest lista kursów, które skończył: językowe, specjalistyczne z obsługi różnych rodzajów broni, SERE, czyli przetrwania w trudnych warunkach. Startuje w sportowych zawodach od szczebla kompanii do dywizji, w biegach przełajowych i na orientację, pokonuje tory przeszkód. Organizuje także różne sportowe imprezy, m.in. Bieg Niepodległości, oraz akcje charytatywne, np. dla pogotowia opiekuńczego Maciejkowa Przysań. Nic dziwnego, że w 2018 roku kpr. Krzysztof Rozicki został najlepszym podoficerem nie tylko 12 Brygady, lecz także 12 Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej. Wygrał znaczną różnicą głosów. Na pytanie o kolejne wyzwania, które sobie stawia, odpowiada, że w przyszłości chciałby dowodzić plutonem.

„Takich żołnierzy – profesjonalistów i pasjonatów – mamy tu znacznie więcej”, zapewnia por. Błażej Łukaszewski, oficer prasowy 12 BZ.

TRZY RAZY NAJ

12 Brygada Zmechanizowana to jedna z największych, najnowocześniejszych i najlepiej wyszkolo-

nych jednostek wojskowych w kraju. Powstała w 1996 roku na bazie 5 Pułku Zmechanizowanego. Jej pododdziały stacjonują w trzech miastach. W Szczecinie mieszczą się dowództwo jednostki, batalion dowodzenia, 1 Batalion Piechoty Zmotoryzowanej „Legionów”, batalion logistyczny oraz kompania rozpoznawcza. W Stargardzie stacjonują 2 i 3 Batalion Piechoty Zmotoryzowanej, 2 Stargardzki Batalion Saperów oraz dywizjon przeciwlotniczy. Z kolei w Choszcznie swoją siedzibę ma dywizjon artylerii samobieżnej.

Żołnierze Błękitnej Brygady (nazywanej tak na pamiątkę armii gen. Hallera) niewiele czasu spędzają w koszarach. „Miniony rok był szczególnie bogaty w ćwiczenia, niemal nie mieliśmy czasu na oddech, ale zdobyliśmy wiele cennych doświadczeń”, mówi dowódca 12 BZ gen. bryg. Piotr Trytek. Poligonowe szkolenia rozpoczęły się, gdy na polach leżał jeszcze śnieg. Ćwiczenia (np. „Allied Spirit”, „Combined Resolve”, „Saber Strike”, „Wargacz”, „Puma”, „Anakonda”) przeplatały się

Kpr. Krzysztof Rozicki jest dowódcą sekcji wsparcia w 1 plutonie w 3 kompanii zmotoryzowanej. „Jestem aniołem stróżem naszej piechoty”, mówi. Szkoli także młodych żołnierzy służby przygotowawczej, którzy trafiają do Błękitnej Brygady.





TRZY PYTANIA DO

Piotra Trytko

Na czym polega specyfika jednostki, którą pan dowodzi?

Jesteśmy awangardową brygadą, jedną z najlepiej uкомплекto-
wanych, wyposażonych oraz wyszkolo-
nych jednostek. Trafia do nas najnowo-
czejszy sprzęt, wspomnę tylko roso-
maki czy raki. Ale najważniejsi są
ludzie, bo sprzęt można zmienić, a lu-
dzi zastąpić trudno. Moi żołnierze są
doświadczeni, brali udział w wielu mi-
sjach. Są zaprogramowani na zwycię-
stwo, ale jest to zdrowa rywalizacja.
Gdziekolwiek jesteśmy, dbamy o dobre
imię brygady. Jesteśmy także innowa-
cyjną jednostką. Znamy regulaminy,
ale testujemy nowatorskie pomysły.

Zdecydowałem np., że sekcja wysunię-
tych obserwatorów przesiądzie się
z honkerów na rosołki i będzie dzia-
łać w ugrupowaniu przeciwnika.
Umieszczenie ich w ugrupowaniu
pododdziałów pierwszorutowych było
dla mnie stratą rozpoznawczego poten-
cjału. Inny przykład: podczas ćwiczeń
w Niemczech umieściliśmy dowódcę
dywizjonu przy dowódcy brygady. Ta-
kie rozwiązanie skraca obieg informa-
cji i daje gwarancję, że postawione za-
dania będą natychmiast realizowane.
Obecnie to rozwiązanie jest testowane
w 12 Dywizji Zmechanizowanej.

W jaki sposób kandydaci mogą stać się żołnierzami 12 BZ?

Zasady rekrutacji są takie same jak
w innych jednostkach. Kandydat musi
spełniać określone warunki opisane
w karcie stanowiska, a wojskowa ko-
menda uzupełnień kieruje go do nas na
rozmowę. Takie rozmowy odbywają
się w każdy wtorek i czwartek. Czeką
go także egzamin z wychowania fi-
zycznego.

**Jakie wymogi stawia pan kandyda-
tom?**

Skupiam się na tych, którzy stają się
już naszymi żołnierzami. Wszechstron-
nie ich szkolimy i programujemy na
wojowników Błękitnej Brygady. Dla
mnie bardzo ważne jest to, aby wszy-
scy moi żołnierze utożsamiali się
z 12 BZ. I tak się dzieje. Oni nie przy-
chodzą do pracy, lecz służą, oddając te-
mu swoje serce. ■

Gen. bryg. PIOTR TRYTEK
jest dowódcą 12 BZ.

z wizytami na poligonach, na które różne pododdziały wyru-
szały w różnym czasie. Intensywnie ćwiczył 3 Batalion Pie-
choty Zmotoryzowanej, którego 2 kompania przygotowywała
się do dyżuru w Grupie Bojowej Unii Europejskiej.

Gdy pytam żołnierzy, dlaczego chcą służyć w 12 Brygadzie,
słyszę podobne odpowiedzi: „Służba w 12 BZ jest zaszczy-
tem”. Próbuję dociec, co sprawia, że traktują tę jednostkę tak
wyjątkowo. Jednych pociąga nowoczesne uzbrojenie, dla in-
nych wyzwaniem są trudne zadania, jakie stawiają im przeło-
żeni zarówno w kraju, jak i poza jego granicami.

Płk Piotr Puchała, dowódca 1 Batalionu Piechoty Zmotory-
zowanej „Legionów”, jednego z największych i najnowocze-
śniejszych w brygadzie, zwraca uwagę na wymagania stawiane
kandydatom. Poprzeczka była ustawiona wysoko już w 2002
roku, gdy jako podporucznik prosto ze szkoły oficerskiej
we Wrocławiu trafił do szczecińskich koszar. Z perspektywy
minionych 16 lat ocenia, że podjął wówczas dobrą decyzję. Je-
go pododdział w 2006 roku jako pierwszy w 12 BZ dostał ro-
somaki. „W brygadzie realizujemy technikę dowodzenia po-
przez misję, czyli mission command – przełożony stawia za-
dania, ale daje swobodę ich realizacji. Od kilku lat ta metoda jest
wdrażana w 12 BZ”, mówi płk Puchała.

Mjr Monika Matuszczak, szef sekcji wychowawczej, zwraca
uwagę na możliwości rozwoju, jakie daje jej 12 Brygada po-

przez realizację codziennych zadań, ale także uczestnictwo
w różnych kursach. Ppor. Marcin Huzar z 3 Batalionu Piecho-
ty Zmotoryzowanej podkreśla, że służy wśród doświadczonych
żołnierzy. „Každy wie, co ma robić, więc wszystkie elementy
działają jak w silniku. W naszej kompanii silnik sprawnie pra-
cuje, więc dobrze się jedzie”, zapewnia. „To był dobry wybór”,
mówi o swojej decyzji z 2005 roku plut. Andrzej Rogowski.
Wtedy został żołnierzem 12 Brygady, dziś jest zastępcą do-
wódcy plutonu Mobile Command Group, który podczas ewi-
czeń chroni stanowisko dowodzenia oraz zapewnia ochronę
i łączność dowódcy 12 BZ. Plutonowy nie ma wątpliwości, że
służy w najlepszej jednostce zmechanizowanej w Polsce, która
zapewnia mu duże możliwości rozwoju: najpierw został pod-
oficerem, teraz myśli o szkole oficerskiej, a w perspektywie
o studiach doktoranckich.

500 KM NA KOŁACH

Przez kilka listopadowych dni ulicami Szczecina, Stargardu
i Choszczyna przejeżdżały wojskowe kolumny. W drogę wyru-
szyło około 2 tys. żołnierzy Dwunastej. Jako pierwsi logistycy
i łącznościowcy, potem pododdziały bojowe. Zabrali ze sobą
KTO Rosomak, wozy rozpoznania technicznego i ewakuacji
medycznej, armatohaubice Dana, a także specjalistyczny sprzęt
logistyczny i dowodzenia – łącznie około 500 jednostek sprzę-



SPRZĘT

12 BZ jest jedną z najnowocześniejszych jednostek w naszej armii.

Została wyposażona w kołowe transportery opancerzone Rosomak w kilku wersjach: wóz bazowy z obrotnicą, wóz rozpoznania technicznego, wóz ewakuacji medycznej, a także 120-milimetrowy moździerz samobieżny Rak czy artyl-

ryjski wóz dowodzenia. Rosomakami dysponują dwa bataliony piechoty zmotoryzowanej (1 i 3), z kolei 2 Batalion Piechoty Zmotoryzowanej jest wyposażony w BWP-1.

Żołnierze 12 BZ, poza przeciwpancernymi pociskami kierowa-

nymi Spike, są wyposażeni w moździerz LM-60 i M-98, granatniki MK-19, zestawy artyleryjskie ZU-23-2 i zestawy rakietowe Grom (dywizjon przeciwlotniczy) oraz armatohaubice Dana kalibru 152 mm (dywizjon artylerii samobieżnej z Choszczna). ■

tu. Kierowali się na wschodnią flankę, by wesprzeć wojska, które zgodnie ze scenariuszem manewrów miały bronić terytorium NATO przed agresją z zewnątrz. Tak rozpoczęły się ćwiczenia „Anakonda '18”, podczas których pododdziały 12 BZ przećwiczyły przemieszczanie się na znaczne odległości.

W jednej z kolumn jechał st. chor. sztab. Tomasz Fudali. Był pod wrażeniem reakcji mieszkańców miejscowości, przez które przejeżdżali. „Ludzie nas serdecznie pozdrawiali. Czuć było, że chcą tego wojska, że dajemy im poczucie bezpieczeństwa, co szczególnie rzucało się w oczy po przekroczeniu Wisły”, wspomina.

„Z reguły przełożeni powierzają najtrudniejsze zadania tym najlepszym”, mówi por. Błażej Łukaszewski i pokazuje na mapie teren, na którym żołnierze 12 BZ działali w czasie ćwiczeń „Anakonda” oraz „Saber Strike”: od Świnoujścia, przez Szczecin, Drawsko, Grudziądz, Chełmno, Gdynię, Morąg, Orzysz, aż po Litwę. „Czy nie było to wyzwanie?”, pyta retorycznie.

Wtórkuje mu ppłk Puchała, gdy stwierdza: „Pociągają nas trudne zadania”. A takim podczas ubiegłorocznych ćwiczeń „Saber Strike” bez wątpienia było przemieszczanie się 1 Batalionu na kołach ze Szczecina do Orzysza (ponad 500 km) z pełnym wyposażeniem. Drogami sunęło łącznie 12 kolumn, w każdej 20 pojazdów. Dowódca batalionu podkreśla, że nie jechali trasami szybkiego ruchu, lecz wojewódzkimi i powiatowymi. Na wąskich mazurskich drogach musieli zachować szczególną ostrożność. „Nie był to zwykły przejazd, ale marsz taktyczny, z pobraniem zapasu środków bojowych,

czyli z amunicją, podczas którego realizowaliśmy różne zadania”, podkreśla ppłk Puchała. Nie ma wątpliwości, że jego żołnierze zdali egzamin. Tak długi przemarsz pozwolił ocenić, jak w praktyce sprawdza się sprzęt, oraz jak działają obowiązujące procedury, czy należy je uelastyczyć lub zmienić. Dla dowódców ważne było to, że żołnierze zdobyli doświadczenia związane z orientacją w terenie, a także planowaniem i organizacją przemieszczania się w cywilnym środowisku.

Ppłk Puchała przyznaje, że na co dzień dowodzenie tak dużą strukturą jak batalion piechoty zmotoryzowanej (ponad 700 żołnierzy) to ogromne wyzwanie, ale i satysfakcja. „Dziś żołnierze są profesjonalistami, lepszymi specjalistami, lepiej wyszkolonymi niż np. dekadę temu”, ocenia.

SOJUSZNICZE WSPARCIE

Zadania, które przełożeni stawiają przed 12 Brygadą, wynikają także ze zobowiązań sojuszniczych. Ostatnio jednym z najważniejszych było wydzielenie i przygotowanie sił do Grupy Bojowej Unii Europejskiej. Postawiono je przed żołnierzami 2 kompanii piechoty zmotoryzowanej 3 Batalionu. Od lipca 2019 roku ponad 120 wojskowych rozpocznie półroczny dyżur. „Pozostaniemy w gotowości, aby wyruszyć na wezwanie”, mówi ppor. Marcin Huzar, dowódca 2 plutonu 2 kompanii 3 Batalionu Piechoty Zmotoryzowanej. Przygotowali się dobrze – rok 2018 wypełniły im ćwiczenia, szkolenia i poligony, m.in. kursy przetrwania SERE czy strzeleckie BLOS. „Nacisk położony był także na szkolenie saperskie”, mówi ppor. Huzar. Certyfikacja nastąpiła



PPŁK PIOTR PUCHAŁA:

„Dziś żołnierze są profesjonalistami, lepszymi specjalistami, lepiej wyszkolonymi niż np. dekadę temu”.



12 BRYGADA ZMECHANIZOWANA

BŁĄŻEJ ŁUKASZEWSKI / 12 BZ

Nosi imię gen. broni Józefa Hallera. Zgodnie z decyzją ministra obrony narodowej dziedziczy ona tradycje 20 polskich jednostek, m.in. pułków piechoty strzelców kresowych 51, 52 i 54, wchodzących w skład 12 Dywizji Piechoty II Rzeczypospolitej, a także rozformowanej w 2006 roku 6 Brygady



Kawalerii Pancernej ze Stargardu. W 1996 roku brygada otrzymała sztandar. Swoje święto obchodzi 15 maja – dla upamiętnienia daty powrotu z Francji do kraju Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera w 1919 roku oraz przybycia do Szczecina w 1949 roku pododdziałów 5 Pułku Piechoty.

podczas ćwiczeń „Puma ’18”, gdy żołnierze 12 BZ współpracowali z bielskim batalionem powietrzno-desantowym, do którego dołączą w razie wezwania.

Cennym doświadczeniem dla Błękitnej Brygady były międzynarodowe ćwiczenia „Dynamic Front ’18” na terenie ośrodka poligonowego 7 Armii USA w Grafenwoehr w Niemczech, które odbyły się w ubiegłym roku. Miały one na celu doskonalenie współpracy artylerii sił zbrojnych państw NATO. Dowódca 12 Brygady Zmechanizowanej gen. bryg. Piotr Trytek podjął po nich decyzję, aby sekcja wysuniętych obserwatorów zastąpiła pojazdy terenowe (np. honkery lub stary) kołowymi transporterami opancerzonymi Rosomak. Rozwiązanie to w znacznym stopniu zwiększyło mobilność żołnierzy, którzy w trakcie ćwiczeń obserwują celność ognia.

„W 12 Brygadzie wprowadzamy wiele innowacyjnych rozwiązań. Żołnierze choszczeńskiego dywizjonu artylerii samobieżnej jako pierwsi w Wojsku Polskim zwiększyli operatywność oraz efektywność, prowadząc w sposób niestandardowy obserwację w ugrupowaniu przeciwnika”, podkreśla por. Błażej Łukaszewski.

Gen. bryg. Piotr Trytek ocenił, że działanie sekcji wysuniętych obserwatorów z wykorzystaniem rosomaków to była dobra decyzja. Ponownie przeciwczono to podczas ubiegłorocznej „Anakondy”. Ważną rolę w czasie ćwiczeń i szkoleń poligonowych (choć nie zawsze na pierwszej linii) odgrywa starszy podoficer dowództwa – w 12 BZ jest to st. chor. sztab. Tomasz Fudali. „Docieram do pododdziałów i sprawdzam, czy mają odpowiednie zabezpieczenie logistyczne i medyczne, czy czegoś nie brakuje, jakie są nastroje i morale żołnierzy”, wylicza. O sobie mówi, że jest strażnikiem wyznaczanych przez dowódcę standardów oraz regulaminów. Dlatego zwraca uwagę zarówno na wygląd zewnętrzny żołnierzy czy regulaminowe zachowanie, jak i szyk ugrupowania, np. w trakcie przemarszu.

Kreatywnym i zaangażowanym podoficerom proponuje kursy kwalifikacyjne i specjalistyczne, a szeregowym, u których dostrzega predyspozycje dowódcze, sugeruje szkołę podoficerską. „Podoficerowie mają ogromny wpływ na wyszkolenie, zachowanie i morale swoich żołnierzy. Silny korpus podoficerski to silny korpus szeregowych zawodowych, a to z kolei przekłada się na komfort dowodzenia”, podkreśla chor. Fudali.

TRADYCJA ZOBOWIĄDUJE

Żołnierze 12 Brygady Zmechanizowanej sformowali pionierską I zmianę Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Iraku, brali też udział w VI zmianie oraz zakończyli misję iracką. Brygada wystawiła III, IV i XII zmianę PKW w Afganistanie. Jej żołnierze uczestniczyli także w operacjach w: Libanie, Bośni, Kosowie, Syrii, Czadzie, Kongu, Sudanie i Republice Środkowoafrykańskiej. W tym roku wezmą udział w misjach w Iraku, Afganistanie oraz Libanie.

W Iraku i Afganistanie zginęło sześciu żołnierzy 12 BZ. Ich zdjęcia wiszą w sali tradycji, w której współczesność łączy się z przeszłością. Przypomina o niej umieszczona w jednej z gablot replika pierścienia gen. Hallera. Sąsiaduje on z odpisem z „Księgi Honorowej Wojska Polskiego”. Minister obrony narodowej wyróżnił w niej 12 Brygadę za „szczególne osiągnięcia w realizacji zadań szkoleniowych w kraju oraz szkoleniowych i bojowych w ramach misji poza granicami państwa”. Jednostka otrzymała tytuł Przodujący Oddział Wojska Polskiego. O tym wyróżnieniu przypomina statuetka orła – taki sam znajduje się na sztandarze jednostki.

„Służba w tak dużej jednostce stawia przed nami wyzwania związane z wieloma szkoleniami i ćwiczeniami. Jeśli jednak ktoś kocha służbę wojskową, to wyzwania budują i dają poczucie dumy, że to właśnie nam ktoś zaufa. A my stawimy im czoła”, podsumowuje chor. Fudali.



Model wykuty na froncie

Irak, Afganistan, Kosovo. Wszędzie tam polscy oficerowie CIMIC służyli w polskich kontyngentach wojskowych. Podczas każdej misji zbierali bezcenne doświadczenia ze współpracy cywilno-wojskowej, bo – jak przekonują – każda operacja na terenie państw upadłych lub potrzebujących bezpośredniego wsparcia jest inna.

„W CIMIC nigdy nie ma dwóch takich samych misji. Specyfika działania zawsze jest uzależniona od sytuacji w środowisku cywilnym. Dwukrotnie byłem w Iraku i za każdym razem miałem inne zadania. Dzięki doświadczeniu, które zdobyliśmy w wielu operacjach, dziś niewiele jest w stanie nas zaskoczyć”, zaznacza mjr Hubert Kosycarz, dowódca zespołu wsparcia CIMIC w Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych w Kielcach. Oficer przyznaje, że sporym wyzwaniem, wynikającym głównie z braku doświadczeń bojowych, jest prowadzenie współpracy cywilno-wojskowej w czasie konfliktu we własnym kraju. „Co prawda wiemy, jak działać, bo ćwiczymy to od lat, jesteśmy gotowi i mamy swoje procedury, ale na razie, na szczęście, nie mogliśmy tego sprawdzić w realnym teatrze działań”.

DOŚWIADCZENIA Z UKRAINY

Zespoły wsparcia CIMIC z Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych są przewidziane do pomocy jednostkom,

Czy tak samo prowadzi się współpracę cywilno-wojskową na misji poza granicami kraju jak w czasie konfliktu we własnym państwie? Przykład Ukrainy pokazuje, że mimo podobnych zadań są też spore różnice.

PIOTR RASZEWSKI

które wykonują daną misję, takim jak LITPOLUKRBRIG ze sztabem w Lublinie. Służący tam oficerowie ukraińscy mają doświadczenia z prowadzenia operacji CIMIC w kraju. „Chętnie korzystamy z ich wiedzy. Od nich możemy uczyć się, jak wygląda taki wewnętrzny CIMIC”, przekonuje mjr Kosycarz. Większość ukraińskich oficerów służących w Wielonarodowej Brygadzie ma na swoim koncie udział w tzw. operacji antyterrorystycznej na wschodzie Ukrainy. Twierdzą oni, że to właśnie pod-

czas tego konfliktu narodził się ukraiński CIMIC. „Dla nas jest dość nową strukturą, bo takie jednostki pojawiły się w ukraińskiej armii dopiero w 2014 roku. Dziś to niezwykle rozbudowana, oddzielna struktura w naszym wojsku”, mówi płk Dmytro Bratishko, dowódca LITPOLUKRBRIG. Początki były jednak trudne, a największy problem stanowił brak czasu. „Żołnierze, ochotnicy i wolontariusze musieli zacząć działać natychmiast. Wszystko tworzyli od podstaw i często improwizowali. Gdy zrobili coś źle, od razu płacili daninę krwi i musieli wprowadzić poprawki do systemu. Choć od początku korzystali ze wzorców natowskich, to większość procedur powstawała jako reakcja na realne działania przeciwnika, często niemieszczące się w pojęciu działań konwencjonalnych, raczej należące do hybrydowych”, przekonuje kpt. Tomasz Karliński, oficer InfoOps w LITPOLUKRBRIG,



CIMIC ARMII UKRAIŃSKIEJ (3)



Płk MICHAŁ MAŁYSKA, szef sztabu LITPOLUKRBRIG: „Tworząc sekcję działań niekinetycznych, opieraliśmy się na sojuszniczych dokumentach doktrynalnych, ale wypracowaliśmy swój własny model, w którego ramach nasze procedury operacyjne są stale ulepszone”.

i dodaje: „Ze względu na specyfikę sytuacji żołnierze CIMIC, oprócz typowych zadań oficerów współpracy cywilno-wojskowej, wykonywali również wiele innych czynności. Często zatem ci z jednostek walczących zajmowali się pertraktowaniem zawieszenia ognia, zdobywaniem informacji, udzielaniem pomocy, szukaniem zaginionych żołnierzy albo ich grobów, wymianą jeńców czy rozwiązywaniem konfliktów w tzw. pasie działań niczych, między separatystami i ukraińskim wojskiem”, dodaje kapitan.

Potwierdza to kpt. Maryna Zadorozhna. Przyznaje też, że oficerowie współpracy cywilno-wojskowej na wschodzie Ukrainy ciągle mają szeroki zakres zadań do wykonania. „Nasze grupy CIMIC liczą od sześciu do dziesięciu osób i działają w jednym konkretnym rejonie, obejmującym kilka wsi czy miejscowości. Ich praca zaczyna się od kwestii czysto informacyjnych, a kończy na transporcie rannych i zwłok z terenu walki. Istotnym zadaniem jest również odseparowanie ludności cywilnej od terenu walki, a także niesienie jej realnej pomocy, chociażby przez dostawę żywności czy zabezpieczenie domostw, które ucierpiały podczas działań wojennych. Mamy też grupy funkcjonujące na froncie, które dbają o rannych żołnierzy”, wyjaśnia kpt. Zadorozhna.

AMERYKAŃSKIE INSPIRACJE

Właśnie z tych frontowych doświadczeń chcieliby skorzystać oficerowie LITPOLUKRBRIG. Z racji tego, że lubelska brygada jest przewidziana do udziału w misjach pokojowych, od początku skupiała się na wypracowaniu odpowiednich

procedur współpracy cywilno-wojskowej na potrzeby nie tylko misji zagranicznych, lecz także działań w jednym z krajów – członków brygady. „Dzięki temu, że pracujemy w środowisku międzynarodowym, mamy wielowymiarowo ogląd na CIMIC, możemy czerpać z doświadczeń wielu jednostek, także tych, które uczestniczyły w operacjach bojowych na terenie własnego kraju”, podkreśla płk Dmytro Bratishko.

Tworząc sekcję działań niekinetycznych, oficerowie korzystali głównie z dokumentów NATO i doświadczeń armii amerykańskiej. „Opieraliśmy się na sojuszniczych dokumentach doktrynalnych, ale wypracowaliśmy swój własny model, w którego ramach nasze procedury operacyjne są stale ulepszone”, zapewnia płk Michał Małyśka, szef sztabu LITPOLUKRBRIG. Nie został też skopiowany model amerykański. Oficerowie z Lublina podkreślają, że oba systemy mają co prawda wiele elementów wspólnych, ale są też znaczące różnice.

„Amerykanie opierają swoją działalność na specjalnych zespołach Civil Affairs, które różnią się nieco od naszych, chociażby składem. W Wielonarodowej Brygadzie działamy na szczeblu brygady, oni – głównie batalionu. Same zadania natomiast zespołów Civil Affairs i naszych afiliowanych pododdziałów są zbliżone”, podkreśla kpt. Dominika Skrzypczak z LITPOLUKRBRIG. Kpt. Jonathan Harrington z 415 Batalionu Civil Affairs US Army Europe dodaje: „Mamy podobne obowiązki – współpracę z ludnością cywilną. W naszych działaniach zawsze najważniejsza jest odpowiednia komunikacja. To trochę jak relacje między mężem i żoną – trzeba rozmawiać, aby





CIMIC ARMII UKRAIŃSKIEJ (2)

WIĘKSZOŚĆ UKRAIŃSKICH OFICERÓW Z WIELONARODOWEJ BRYGADY BRAŁA UDZIAŁ W TZW. OPERACJI ANTYTERRORYSTYCZNEJ NA WSCHODZIE UKRAINY

realizować wspólne plany i postępować efektywnie. Chodzi o znajdowanie takich rozwiązań dla władz cywilnych, które będą jednocześnie korzystne dla naszych działań”, tłumaczy obrazowo Amerykanin.

PRZYGOTOWANI NA CZAS W

Oficerowie CIMIC z LITPOLUKRBRIG przyznają, że bojowe doświadczenia ukraińskich żołnierzy rzucają nowe światło na ich zadania, ale procedury, które przyjęli, są wciąż aktualne. „Sytuacja na Ukrainie pokazuje, że jeśli coś wydarzy się w naszych państwach, to w działaniach trzeba uwzględniać środowisko cywilne, bo ono w dużym stopniu wpływa na operacje militarne”, mówi mjr Kostas Petrovas z LITPOLUKRBRIG.

Jak więc wyglądałoby samo przygotowanie do podjęcia działań wewnątrz jednego z krajów członkowskich Wielonarodowej Brygady? „Nasze narzędzia, jako sztabowców w sekcji działań niekinetycznych, nie zmieniłyby się. Nadal korzystalibyśmy z metod służących do analizy środowiska cywilnego, badali je pod względem politycznym, militarnym czy socjalnym. Podczas analizy dane-

go regionu zwracalibyśmy uwagę na to, kto jest lokalnym liderem czy jakie grupy etniczne występują na danym terenie. Na tej podstawie opracowalibyśmy warianty działania dla dowódcy”, wylicza kpt. Dominika Skrzypczak.

Nieco inaczej funkcjonowałyby jednak zespoły z Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych CIMIC wspierające jednostki afiliowane do Wielonarodowej Brygady. „Na miejscu pracowalibyśmy z rodakami, a za granicą kontaktujemy się za pośrednictwem tłumaczy. Mamy też wówczas do czynienia z inną religią i kulturą. Same zadania jednak by się nie zmieniły. Nadal jedną z kluczowych kwestii na obszarach przyfrontowych byłaby organizacja ruchu uchodźców i naszych wojsk. Dodatkowo koordynowalibyśmy działalność organizacji humanitarnych i kierowali uchodźców np. do obozów tymczasowych czy takich założonych przez te organizacje w głębi kraju. Przede wszystkim pokazywalibyśmy jednak Polakom, że wojsko wciąż działa i jest blisko swojego społeczeństwa”, zapewnia mjr Hubert Kosycarz, dowódca zespołu wsparcia CIMIC w Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych. ■



Płk DMYTRO BRATISHKO,
dowódca
LITPOLUKRBRIG:
„Jednostki CIMIC pojawiły się w ukraińskiej armii dopiero w 2014 roku. Dziś jest to niezwykle rozbudowana, oddzielna struktura w naszym wojsku”.

KRZYSZTOF WILEWSKI

Straż wschodnia

Certyfikacja Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód z Elbląga potwierdziła, że jest ona już gotowa do dowodzenia sojuszniczymi siłami wydzielonymi do operacji na wschodniej flance NATO.

Postanowienia szczytu sojuszu północno-atlantyckiego z 2014 roku w walijskim Newport były odpowiedzią na agresję Rosji wymierzoną w Ukrainę i Krym. Zdecydowano wówczas, że NATO musi być w stanie reagować szybciej niż do tej pory. Dlatego w miejsce Sił Odpowiedzi NATO (NATO Response Force – NRF), mogących się pojawić na polu walki w kilka tygodni od postawienia ich w stan gotowości, postanowiono powołać siły zadaniowe bardzo wysokiej gotowości (Very High Readiness Joint Task Force – VJTF), które miały na to kilka dni. Ustalono, że szpica będzie dowodzona wielonarodowo – przez dziewięć natowskich międzynarodowych korpusów.

W czasie zorganizowanego dwa lata później szczytu w Warszawie przyjęto pewne korekty tych rozwiązań, gdyż państwa z tzw. wschodniej flanki NATO wskazywały, że poziom ich bezpieczeństwa nadal jest niewystarczający. Wtedy wprowadzono w życie program wzmocnionej wysuniętej obecności (enhanced Forward Presence – eFP), zgodnie z którym miały powstać w Estonii, na Litwie, Łotwie oraz w Polsce wielonarodowe batalionowe grupy bojowe.

Ustalono, że ich →

WIELONARODOWA DYWIZJA
PÓŁNOCNY WSCHÓD
OD GRUDNIA 2018 ROKU
ZAJMUJE SIĘ KOORDYNACJĄ
FUNKCJONOWANIA I SZKOLENIA
BATALIONOWYCH GRUP BOJOWYCH,
KTÓRE STACJONUJĄ NA WSCHODNIEJ
FLANCIE SOJUSZU.

ARCH. PZ

działaniami będzie kierować Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni, wykonując rozkazy wydawane przez Sojusznicze Dowództwo Sił Połączonych NATO (Allied Joint Force Command – AJFC) z Brunssum. Nasz kraj zaproponował jednak, aby ten łańcuch dowodzenia uzupełnić o jeszcze jedno ogniwo – dowództwo wielonarodowej dywizji, które miało przejąć dowodzenie nie tylko nad batalionowymi grupami bojowymi, lecz także nad każdą inną jednostką wydzieloną przez NATO do operacji obronnej na wschodniej flance.

„Sprawy operacyjne, taktyczne i geograficzne to były trzy najważniejsze argumenty przemawiające za utworzeniem w Polsce dowództwa wielonarodowej dywizji na potrzeby eFP. Skoro przyjęliśmy, że grupy bojowe będą działać w składzie brygad, to najskuteczniejszym dla nich szczeblem dowodzenia jest nie korpus, lecz dywizja. Co do geografii, to wystarczy spojrzeć na mapę, żeby ocenić, jaka odległość dzieli korpus i grupy batalionowe”, komentuje gen. dyw. Krzysztof Motacki, który wiosną 2017 roku został wyznaczony na dowódcę Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód w Elblągu.

Dowództwo dywizji miało do lipca 2017 roku osiągnąć wstępną gotowość bojową, a do końca 2018 roku – pełną, certyfikowaną przez Sojusznicze Dowództwo Wojsk Lądowych (Allied Land Command – ALC) z Izmiru zgodnie ze standardami CREVAL (Combat Readiness Evaluation). „To było spore wyzwanie, tym bardziej że nie dostaliśmy żadnych wytycznych, w jaki sposób powinna być zorganizowana natowska wielonarodowa dywizja”, komentuje Motacki. Do 2014 roku NATO nie miało takiej struktury, a kiedy w Rumunii powstała Wielonarodowa Dywizja Południowy Wschód, potraktowano ją jako wyjątkowy twór z dwóch względów. Po pierwsze, sojusz zgodził się na przekształcenie w wielonarodową 1 Dywizję Piechoty rumuńskiej armii. Po drugie, nie podporządkowano jej żadnemu wielonarodowemu korpusowi, lecz bezpośrednio Sojuszniczemu Dowództwu Sił Połączonych NATO w Neapolu.

POD LUPĄ ŚWIATA

Gen. Motacki żartuje, że brak dokumentów normatywnych był sytuacją luksusową, gdyż dawał duże pole do własnej inwencji, tyle że formowaniu dowództwa dywizji przyglądano się bardzo uważnie. „Inne armie chciały wiedzieć, jak poradzimy sobie ze stworzeniem od podstaw dowództwa wielonarodowego związku taktycznego. Nie tylko dlatego, żeby samemu być do tego gotowym, ale również, żeby móc się przekonać, czy warto się dołączyć do tej inicjatywy. W konsekwencji zgłosiło się do nas aż 13 państw: Czechy, Estonia, Hiszpania,

LISTA STANDARDÓW, JAKIE MUSIAŁA OSIĄGNĄĆ DYWIZJA Z ELBLĄGA, ŻEBY DOSTAĆ CERTYFIKAT STWIERDZAJĄCY OSIĄGNIĘCIE PEŁNEJ GOTOWOŚCI DO DOWODZENIA W RAMACH OPERACJI WYSOKIEJ INTENSYWNOŚCI, LICZYŁA GRUBO PONAD TYSIĄC POZYCJI



Gen. dyw. KRZYSZTOF MOTACKI, dowódca Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód w Elblągu: „Sprawy operacyjne, taktyczne i geograficzne to były trzy najważniejsze argumenty przemawiające za utworzeniem w Polsce dowództwa wielonarodowej dywizji na potrzeby eFP”.

Kanada, Litwa, Łotwa, Niemcy, Rumunia, Słowacja, Turcja, USA, Węgry i Wielka Brytania, których przedstawiciele służą w Elblągu. Do nich dołączyły Włochy i wszystko wskazuje na to, że ta lista nie jest jeszcze zamknięta”, wyjaśnia generał.

Dowództwo dywizji wstępną gotowość bojową osiągnęło w założonym terminie, czyli w lipcu 2017 roku. Gen. Salvatore Farina, dowódca AJFC z Brunssum, który pojawił się z tej okazji w Elblągu, podkreślał znaczenie dywizji dla całego sojuszu: „Nasi wrogowie muszą zdawać sobie sprawę z tego, że jesteśmy zdeterminowani nie tylko do tego, by wspólnie się szkolić, lecz także do tego, by reagować na każde zagrożenie. A kiedy przyjdzie taka potrzeba, będziemy walczyć w obronie naszych wartości, naszej wolności”.

NIEZBĘDNE NARZĘDZIA

Dowódca Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód wspomina, że od samego początku było dla niego i jego współpracowników jasne, że jedna z kluczowych spraw to wyposażenie sztabu w niezbędne do dowodzenia narzędzia – doktrynalne,



Gen. broni John C. Thomson III i gen. dyw. Krzysztof Motacki

strukturalne i sprzętowe. „Kiedy powstawała dywizja, przełożeni zdecydowali, że do naszej dyspozycji zostanie przekazany batalion dowodzenia 16 Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej. To była bardzo dobra decyzja, bo zgodnie z zasadą, że to przełożony musi zapewnić podwładnemu łączność, mieliśmy ludzi, żeby to zrobić. Po pierwszych tygodniach działania batalionu u nas doszliśmy jednak do wniosku, że jest to struktura za mała na nasze potrzeby, więc wystąpiliśmy do MON-u o przekształcenie batalionu w pułk”, opowiada gen. Motacki. Minister obrony narodowej podjął taką decyzję i na początku lutego 2018 roku została ona wprowadzona w życie (jednostka podlega dowódcy dywizji, a sprawy kadrowe i finansowe pozostają w gestii dowódcy generalnego).

Nie było też problemów z zapewnieniem niezbędnego dywizji specjalistycznego sprzętu wsparcia dowodzenia i łączności. „Kupiono nam wszystko, czego potrzebowaliśmy, byśmy mogli zbudować sieć łączności z podległymi nam jednostkami – różnego typu radiostacje, terminale satelitarne, zintegrowane węzły teleinformatyczne, wozy dowodzenia, ale też teleinformatyczny system wsparcia dowodzenia C3IS Jaśmin”, komentuje gen. Motacki. Korzystał z niego w zarządzaniu swoim sztabem oraz jednostkami wydzielonymi podczas „Anakondy '18”. W jaśminy były wyposażone również jed-

nostki operacyjne polskiej armii, w tym główni ćwiczący w tych manewrach po naszej stronie, czyli 12 Dywizja Zmechanizowana i jej 12 Brygada Zmechanizowana, co umożliwiło elbląskiej dywizji jako dowództwu natowskiemu interoperacyjne współdziałanie z naszymi siłami zbrojnymi i wojskami sojuszników.

NATOWSKA CERTYFIKACJA

Po zakończonej w grudniu 2018 roku „Anakondzie” ALC wystawiło dywizji z Elbląga certyfikat stwierdzający osiągnięcie pełnej gotowości do dowodzenia w ramach operacji wysokiej intensywności, na podstawie artykułu 5 traktatu waszyngtonskiego. Stanowiło to zwieńczenie wielomiesięcznego procesu. W czerwcu 2018 roku, od razu po zakończeniu ćwiczeń „Saber Strike”, rozpoczęło się planowanie działań w ramach „Anakondy '18”. Było to oceniane przez zagranicznych obserwatorów jako wstępny etap certyfikacji. „Potem nastąpiła faza »in barracks«, kiedy komisja sprawdzała ukończenie, wyposażenie i przygotowanie poszczególnych komórek funkcjonalnych do prowadzenia działań”, wyjaśnia gen. Motacki, podkreślając, że pod słowem „komisja” krył się zespół składający się z oficerów z Dowództwa Wojsk Lądowych NATO, Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego, Wielonarodowej Dywizji Południowy Wschód, NATO Rapid Deployable Corps w Turcji, NATO Rapid Deployable Corps w Hiszpanii oraz Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Najważniejszy etap certyfikacji („field evaluation”) odbył się już podczas trzeciej fazy „Anakondy”, czyli ćwiczeń dowódczo-sztabowych objętych klauzulą „NATO Secret”. W dwóch pierwszych częściach, czyli poligonowej z wojskami oraz studyjnej, podczas których debatowano na temat procedur związanych z przekazywaniem odpowiedzialności za prowadzenie operacji narodowych, sojuszniczych i koalicyjnych, dywizja nie brała udziału.

Dowódca wielonarodowej dywizji zwraca uwagę na skalę trudności manewrów, w czasie których szczególny nacisk położono na jak najlepsze wykorzystanie wsparcia ogniowego, łącznie z wyrzutniami MLRS HIMARS, lotnictwem wojsk lądowych i siłami powietrznymi. Jak wspomina, szczególnie wymagające było jednak prowadzenie działań opóźniających, kiedy wszystko odbywało się bardzo dynamicznie, a decyzje musiały być podejmowane błyskawicznie. „Nagle odnotowujemy incydent. Włamanie na prawym skrzydle. Następuje zmiana sytuacji i pojawia się mnóstwo pytań. Czy rozpoznanie wykryło działanie przeciwnika? Czy te informacje trafiły do dowódcy? Czy podjęto stosowne decyzje? Czy wydano rozkazy?”, opowiada.

Dowodzony przez gen. Motackiego wielonarodowy sztab stanął jednak na wysokości zadania, chociaż, jak zauważył dowódca operacyjny gen. dyw. Tomasz Piotrowski, lista standardów, które musiała spełnić dywizja, liczyła grubo ponad tysiąc pozycji. Jak stwierdził gen. broni John C. Thomson III, dowódca ALC, będący szefem komisji certyfikacyjnej: „Wykonaliście świetną robotę! Dowództwo Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód jest gotowe do działania!”.

PAULINA MONTEWKA / MNDNE



Gdyby wybuchła prawdziwa wojna

*Ze Sławomirem Wojciechowskim
o sprawdzianie z dowodzenia przez szczeciński Korpus,
tajemniczej stronie „Anakondy” i realistycznych
scenariuszach rozmawia Marcin Górka.*

Podczas „Anakondy” Korpus dowodził operacją obronną na wschodniej flance NATO. Dla was to chyba nowe doświadczenie?

Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni nie pierwszy raz brał udział w „Anakondzie”. Pamiętam rok 2016, kiedy działaliśmy razem z dowództwem NATO z Izmiru [LANDCOM], jego stanowisko dowodzenia było pierwszoplanowym ćwiczącym w działaniach obronnych na terenie naszego kraju. Wtedy jeszcze byliśmy jako korpus ogólnowojskowy. Ale od tego czasu wiele się zmieniło.

Na czym polegają te zmiany?

Od niespełna dwóch lat rola szczecińskiego dowództwa się zwiększa. Po pierwsze, chodzi o zasięg geograficzny, który teraz obejmuje obszar Polski, Litwy, Łotwy i Estonii. Po drugie, pełnimy jednocześnie funkcję i dowództwa komponentu lądowego, i korpusu ogólnowojskowego. Inne korpusy wykonują te zadania sekwencyjnie, co pozwala im na zmianę wyszkolenia czy wyposażenia. My natomiast musimy zapewnić bezpieczeństwo całemu regionowi, więc tego komfortu nie mamy.

W jaki sposób ta nowa rola Korpusu znalazła odzwierciedlenie w „Anakondzie”?

Byliśmy odpowiedzialni za obronę północno-wschodniej flanki NATO w wymiarze lądowym. Nasze główne stanowisko dowodzenia zostało przemieszczone do Elbląga i stamtąd koordynowaliśmy działania bojowe jednostek walczących w strefie bezpośredniej oraz biorących udział w działaniach głębokich. Planowaliśmy przygotowania do odtworzenia integralności terytorialnej Polski, Litwy, Łotwy i Estonii. Odgrywaliśmy rolę dowództwa komponentu lądowego NATO, a jednocześnie prowadziliśmy taktyczne działania bojowe.

Tego co robiliście, nie można było zobaczyć w relacjach z „Anakondy”. Jak wyglądały ćwiczenia z perspektywy sztabowej? Wydaje się, że oficerowie siedzący przy komputerach w centrum dowodzenia nie są tak atrakcyjni dla telewizyjnych kamer jak czołgi szarżujące na poligonie.

W tym pytaniu – mam wrażenie – jest niezbyt dużo szacunku do pracy sztabowej oficerów. Komputery są w ich rękach narzędziem pracy albo źródłem symulacji problemów decyzyjnych. To oni kierują żołnierzami do walki. Należy odróżnić rzemiosło tych, którzy potrafią posługiwać się uzbrojeniem na poziomie jednego wozu, drużyny czy plutonu, od umiejętności zaplanowania, w jaki sposób i gdzie ich skierować. Dużo huku i efektowne widoki są domeną praktycznej





części ćwiczeń. Taki sposób szkolenia wojsk kończy się jednak na poziomie kompanii. Dalej w grę wchodzi już szkolenie dowódców i sztabów. I na tym szczeblu – dotyczy to również „Anakondy” – nie powinno się już zajmować sposobem użycia plutonu czołgów czy stawianiem przeprawy, co jest tak atrakcyjne dla mediów.

Jak zatem przebiegały te ćwiczenia w wykonaniu Korpusu? Jaki mieliście scenariusz?

„Anakonda” była prowadzona w podwyższonym stopniu niejawności. Dzięki temu mogła być dowodzona bardzo realistycznie. W związku z tym zbyt wiele na ten temat powiedzieć nie mogę. Jak już wspomniałem, sytuacja była od początku do końca obronna, sprawdzaliśmy określone scenariusze w realnym terenie naszej odpowiedzialności. Nie ćwiczyliśmy w jakimś hipotetycznym kraju, a problemy, które musieliśmy rozwiązać, dotyczyły istniejących jednostek wojskowych, związków taktycznych i ludzi.

Jakimi siłami dowodziliście na „Anakondzie”?

Dowodziliśmy korupsem, dywizjami, brygadami, a jednocześnie byliśmy odpowiedzialni

ROLA SZCZECIŃSKIEGO DOWÓDZTWA SIĘ ZWIĘKSZA. PEŁNIMY FUNKCJĘ DOWÓDZTWA KOMPONENTU LĄDOWEGO I KORPUSU OGÓLNOWOJSKOWEGO

za koordynację działań z innymi komponentami, takimi jak wojska specjalne, siły powietrzne czy – w mniejszym stopniu – marynarka wojenna. Zajmowały nas również kwestie tego, co znajduje się poza rejonem działań bezpośrednich, w tym planowanie i wprowadzanie kolejnych sił wojskowych do walki. Chcieliśmy

sprawdzić, co by było, gdybyśmy mieli do czynienia z regularną wojną.

Wspomniał pan o doskonaleniu kwalifikacji. Konkretnie jakich?

Musimy utrzymywać poziom jako certyfikowane dowódcy komponentu lądowego. Mamy za sobą kolejną rotację dużej części personelu. Przybycie nowych żołnierzy, odświeżenie umiejętności przez stałą obsadę stanowiska dowodzenia, przekazanie doświadczeń przez wojskowych kończących służbę w Korpusie, a także budowanie atmosfery pracy zespołowej zawsze stanowią sedno ćwiczeń. Nie bez znaczenia była dla nas możliwość pracy na rozwiniętym bojowo stanowisku dowodzenia, które obsługiwała obsada batalionów z Niemiec i Polski, podlegających Brygadzie Wsparcia Dowodzenia. Pierwszy raz miałem okazję ocenić wartość potencjału, jakim mogą dysponować.

I jak wypadła ocena?

Profesjonalizm oraz przygotowanie procedur oceniam bardzo wysoko. Podczas „Anakondy” wykonywaliśmy nasze działania praktycznie, ponieważ całe stanowisko dowodzenia przeniosło się do Elbląga.

A co po tych obserwacjach należałoby zmienić w Korpusie?

Musimy przemyśleć kwestie dotyczące naszych struktur, doboru personelu oraz sposobu, a także zakresu szkolenia i ćwiczeń. Dotyczy to ich częstotliwości, tematyki, a także rozpatrywanych problemów operacyjnych.

Którą z tych kwestii uważa pan za najistotniejszą?

Najważniejsze jest posiadanie zdolności do koordynacji i prowadzenia skutecznego oddziaływania ogniowego na potencjalnego przeciwnika. Z tym wiąże się osiągnięcie pełnej integracji głównie w działaniach powietrzno-lądowych oraz poprawa koordynacji każdego sposobu rozpoznania w celu prowadzenia ognia na maksymalnych zasięgach w działaniach głębokich. Ze względu na zakładane różnice potencjałów między prowadzącymi obronę a atakującymi kluczowa będzie zdolność do ilościowej eliminacji najważniejszych elementów potencjału adwersarza. Z tego powodu, jako odpowiedzialny kiedyś za kwestie przygotowania poszczególnych komponentów Sił Zbrojnych RP

do wojny, kolejną „Anakondę” poświęciłbym ponownemu przeciwiczeniu komponentu powietrznego jako pierwszoplanowego ćwiczącego.

A co z komponentem morskim?

Z dzisiejszej perspektywy uważam, że bez szkód dla procesu przygotowań do kryzysu i wojny dowodzenie tego typu można odłożyć na dalszy plan. Marynarka wojenna jako taka – wydaje się – ma inne ambicje, a na pewno inne problemy.

„Anakonda” to ćwiczenia wielonarodowe. Czy komponent morski nie mógłby pochodzić od innych państw sojuszniczych?

Oznaczałoby to, że w następnej „Anakondzie” rolę dowództwa komponentu morskiego może odgrywać inne państwo, a to wiązałoby się z dalszym jej umiędzynarodowieniem oraz rezygnacją z ambicji prowadzenia samodzielnych działań na Bałtyku.

Jak do nowych wyzwań podchodzą duńscy i niemieccy partnerzy?

Obserwuję duże zrozumienie dla wagi wyzwań, które stoją przed nami, i spodziewam się, że najbliższe decyzje na szczeblach ministerialnych to potwierdzą.

Czy w kolejnych „Anakondach” Korpus będzie brał udział w takiej formule jak w 2018 roku?

Niczego bym nie przesądzał, ale mamy świadomość, że nic, co dzieje się w regionie, nie powinno się odbywać bez naszej wiedzy czy bez naszego udziału. Może to być sporym

wyzwaniem, ponieważ wciąż obserwujemy dużą aktywność sojuszników w tej części NATO. Podtrzymanie własnych zdolności z jednoczesnym dostosowywaniem się do nowych potrzeb będzie wymagać rozważań, a zachowanie równowagi między tymi czynnikami będzie kluczowe dla naszej efektywności.

Czy nie powinniśmy zatem prowadzić więcej ćwiczeń wielonarodowych?

To już się dzieje. Skoro na naszym terenie stacjonują siły NATO, to o jakich narodowych ćwiczeniach mówimy? Już od poziomu samodzielnej brygady, dywizji niemalże każde manewry są sojusznicze, ponieważ mamy w Polsce natowskie struktury i instalacje. Przecież „Dragon” też staje się wielonarodowy. ■

WIZYTÓWKA

GEN. BRONI DR SŁAWOMIR WOJCIECHOWSKI

Jest dowódcą Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego. Wcześniej pełnił m.in. funkcję dowódcy operacyjnego rodzajów sił zbrojnych. Dowodził też 17 Wielkopolską Brygadą Zmechanizowaną oraz służył w Sztapie Generalnym Wojska Polskiego jako zastępca szefa Zarządu Planowania Użycia Sił Zbrojnych i Szkolenia. Brał udział w misjach w Iraku i Afganistanie. ■

Codziennność zwiadowcy

Brak snu, ekstremalnie trudne warunki oraz ciągłe napięcie. Organizatorzy „Canadian Patrol Concentration” zadbali o to, by żołnierze czuli się jak na prawdziwym polu walki.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Złożenia są proste. Drużyna ma pokonać trasę, na której wykonuje zadania, polegające przede wszystkim na pozostaniu w ukryciu i zbieraniu informacji o wroгим ugrupowaniu. Tyle teorii. W praktyce o powodzeniu misji decydują określone umiejętności połączone ze zdolnością do błyskawicznej adaptacji. Żeby to osiągnąć, dobry zwiadowca musi nie tylko mieć odpowiednią wiedzę, lecz także odznaczać się inteligencją i hartem ducha.

Rozumieją to Kanadyjczycy z Canadian Manoeuvre Training Centre (CMTC), którzy co dwa lata przygotowują międzynarodowe ćwiczenia

„Canadian Patrol Concentration”. W tym roku na poligon w prowincji Alberta zjechały 24 drużyny z siedmiu państw, w tym ze Stanów Zjednoczonych, z Wielkiej Brytanii oraz Łotwy. Wśród nich znaleźli się także Polacy z 16 Batalionu Powietrznodesantowego. „Naszym głównym celem było poprowadzenie patrolu i zbieranie w tym czasie informacji o przeciwniku, cechach terenu oraz kluczowych obiektach. Zarazem organizatorzy zadbali o to, by zarówno długość misji, jak i wszystkie zadania były dla nas zaskoczeniem. W trakcie ćwiczeń musieliśmy m.in. reagować na zasadzkę, ostrzał moździerzowy, udzielać pomo-



ĆWICZENIA „Canadian Patrol Concentration” przygotowuje co dwa lata Canadian Manoeuvre Training Centre (CMTC).

cy medycznej oraz pokonać przeprawę wodną”, wylicza plut. Bogdan Hrynkiewicz, dowódca drużyny zwiadowców, i zaznacza, że podczas marszu nawigacja odbywała się wyłącznie za pomocą mapy oraz kompasu.

Pokonanie ponad 50-kilometrowej trasy zajęło około 48 godzin. Oznaczało to dwie doby marszu w temperaturze sięgającej minus 22°C. Dodatkowym utrudnieniem były wrogie patrole, starające się wykryć śmiałków, oraz narastające zmęczenie. Żołnierze nie mieli nawet chwili na odpoczynek. „Według mnie, najbardziej wymagająca była przeprawa linowa przez rzekę. Robiliśmy to w środku nocy, na czterdziestym kilometrze trasy. Byliśmy już bardzo zmęczeni”, wspomina st. szer. Marcin Biga. „Rzeka miała około 25 m szerokości. Z jednej strony rozwieszono już linę. Naszym zadaniem było utworzenie stanowiska na drugim brzegu. Trochę się namęczyliśmy, ale daliśmy radę”.

Wcześniej zwiadowcy musieli wykazać się także umiejętnością prowadzenia otwartej walki. Ich konwój dostał się w zasadzkę. Okazało się, że w wyniku ataku ciężko rannych zostało trzech kanadyjskich żołnierzy. Spadochroniarze musieli nie tylko odeprzeć siły przeciwnika, lecz także uratować

swoich kolegów. Główny ciężar pomocy poszkodowanym wziął na siebie st. szer. Marcin Staszek, który w drużynie pełnił funkcję ratownika. „Zostaliśmy ostrzelani z granatnika przeciwpancernego, a następnie związani ogniem karabinu maszynowego. Okazało się, że człowiek obok mnie jest ranny w klatkę piersiową. Zająłem się nim zgodnie z procedurami TC3 [Tactical Combat Casualty Care] oraz MARCH [akronim od słów »massive bleeding, airway, respiratory distress, circulation, hypothermia/head, everything else«]”.

Kiedy drużyna uzyskała przewagę ogniową, ratownik mógł dotrzeć do pozostałych poszkodowanych. Po udzieleniu im pomocy dowódca drużyny złożył meldunek przez radio oraz wezwał ewakuację medyczną. To właśnie na te dwa elementy kładli nacisk rozjemcy oceniający przebieg zdarzenia. „To był scenariusz taktyczny, w którym medycyna była jedynie dodatkiem. Ćwiczenia medyczne przebiegają w inny sposób. Żeby móc zająć się rannym, muszę znać jego parametry życiowe, a w tym wypadku sprawdzam je przecież u zdrowego człowieka. Mimo to działaliśmy według wytycznych medycyny pola walki i zrobiliśmy wszystko tak, jak trzeba”, podsumowuje ratownik. →

POLSCY ŻOŁNIERZE BAR- DZO DOBRZE WY- PADLI W NAWIGA- CJI. NIE ZGUBILI SIĘ ANI NIE ZOSTA- LI WYKRYCI

16 BPD

PORYWISTY WIATR POTĘGOWAŁ UCZUCIE ZIMNA.

ZWIADOWCY PORUSZALI SIĘ PO NIEMAL CAŁKOWICIE PŁASKIM TERENIE. BRAK PUNKTÓW CHARAKTERYSTYCZNYCH UTRUDNIAŁ NAWIGACJĘ

Wszystkie zadania wystawiały zwiadowców na próbę, ale największa z nich nastąpiła na samym końcu. W miejscu, w którym mieli zostać podebrani, dowiedzieli się, że muszą przejść jeszcze kilkanaście kilometrów. „Ludzie pozbywali się jedzenia, wody, a tu niespodzianka. Trochę nas to zdemotywoowało, ale szliśmy dalej. Po drodze dostaliśmy się w jeszcze jedną zasadzkę, tym razem pieszo. Kolejny kontakt, kolejna ucieczka w las. Zagrywka trochę jak z selekcji sił specjalnych”, opowiada st. szer. Marcin Biga. Organizatorzy podkreślają, że nieprzewidywalność zadań była jednym z ich głównych założeń.

„Żołnierze nigdy nie mieli pewności, kiedy coś się wydarzy. Rozkazy były jasne, wiedzieli, w jakim kierunku mają się przemieszczać, ale kolej-

ne elementy scenariusza pozostawały dla nich niespodzianką. Dzięki temu udało nam się stworzyć bardzo realistyczne środowisko bliskie polu walki”, tłumaczy por. Matthew Howse z CMTC.

POD CIĄGLĄ PRESJA

Kolejnym elementem „Canadian Patrol Concentration”, którego nie należało lekceważyć, były warunki panujące na poligonie w Albercie. Zarówno ukształtowanie terenu, jak i zimowa aura wymagały od żołnierzy specjalnego przygotowania. Zwiadowcy poruszali się po niemal całkowicie płaskim terenie. Brak punktów charakterystycznych utrudniał nawigację. Jednocześnie porywisty wiatr potęgował uczucie zimna.



W tym roku w treningu wzięły udział 24 drużyny z siedmiu państw, m.in. żołnierze z Włoch.

CAMDEN SCOTT/CANADIAN ARMY

Według dowódcy drużyny, to właśnie takie warunki w połączeniu z ciągłą presją czasu podnosiły poziom trudności. „Odległość między kolejnymi punktami wynosiła od 8 do 10 km. Ciężko było bez przerwy pilnować ram czasowych i poruszać się w nieznanym terenie w taki sposób, żeby nie zostać wykrytym przez siły przeciwnika. Zarazem drużyna rozpoznawcza wykonuje postawione zadania samodzielnie, z dala od ugrupowań wojsk własnych. Wiąże się to z tym, że całe wyposażenie trzeba nosić na plecach”, opowiada plutonowy. Oznaczało to, że żołnierze zabrali ze sobą nie tylko niezbędny sprzęt, ale także zapas wody oraz jedzenia. Waga plecaków sięgała 40 kg. Do tego należało doliczyć broń, hełm oraz kamizelki taktyczne.

Spadochroniarze przyznają, że w tego typu misjach dobór sprzętu jest sztuką kompromisu. Trzeba wziąć pod uwagę charakter operacji. Ekwipunek skompletowany na patrol pieszy różni się od tego niezbędnego do prowadzenia obserwacji. Na nic zdałby się jednak nawet najbardziej nowoczesny sprzęt, gdyby nie przygotowanie fizyczne oraz psychiczne żołnierzy.

„Szkolimy się i nie jest to dla nas żadna nowość, raczej codzienność. Wiadomo, że odczuwaliśmy mróz i duże wahania temperatur, ale jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Prawdę powiedziawszy, spodziewaliśmy się, że będzie znacznie gorzej”, ratownik dodaje, że w odniesieniu do „Canadian Patrol Concentration” trzeba było brać pod uwagę nie tylko podstawowe zasady survivalu, ale także pamiętać o szczegółach. Na przykład, podczas marszu należało pić ogrzaną wodę, ponieważ w dłuższej perspektywie zimne płyny mogły powodować dodatkowe wychłodzenie organizmu. Błędem mogło okazać się także spożywanie zbyt obfitych posiłków. Proces ich trawienia spotęgowałby odwodnienie.

Niezależnie od stosowanych metod każdy organizm w końcu będzie miał dość. Dlatego prawdziwą siłą żołnierzy jest ich odporność psychiczna oraz zgranie drużyny. „W życiu nie zawsze jest tak, jak sobie życzymy. Ale jesteśmy żołnierzami i mamy do wykonania zadanie. Pomagamy sobie wzajemnie, żeby razem ukończyć misję. To nie jest tylko kwestia wsparcia psychicznego. Jako ratownik jestem przygotowany na to, żeby w razie konieczności móc zabezpieczyć swoich kolegów. Tak było i w tym wypadku, ale muszę przyznać, że nie miałem zbyt wiele do robienia”, śmieje się ratownik.

Aby zminimalizować ryzyko wystąpienia najbardziej ekstremalnych sytuacji, każdą operację należy dokładnie zaplanować. W czasie „Canadian Patrol Concentration” żołnierze dostali 12 godzin na analizę postawionych przed nimi zadań. Lokalni instruktorzy przygotowali także kompleksowe szkolenie obejmujące zasady przetrwania zimą. Dla polskich spadochroniarzy było to jedynie odświeżenie

posiadanej już wiedzy. W ramach służby każdy z nich został wyszkolony z zaawansowanych technik przeżycia w trudnych warunkach.

NIE ZOSTALI WYKRYCI

Osiągnięcie ostatniego punktu kontrolnego nie oznaczało końca zmagania. Po przetransportowaniu do bazy zwiadowcy musieli złożyć szczegółowy raport, a wszystkie ich decyzje były dokładnie analizowane. To właśnie ten moment zapadł w pamięć dowódcy polskiego pododdziału, plut. Bogdanowi Hrynkiewiczowi. „Po 48 godzinach bez snu zostaliśmy zaprowadzeni na salę odpraw, gdzie dostaliśmy dwie godziny na przygotowanie meldunku. Pytano nas o każdy szczegół, który zaobserwowaliśmy na misji. Wszystko to odbywało się po angielsku. W tym języku składaliśmy także meldunki z pola walki”, wspomina plutonowy. Takie działanie pozwoliło na gorąco wyciągnąć wnioski z przeprowadzonego patrolu. „»Canadian Patrol Concentration« to także okazja, żeby sprawdzić swoje umiejętności dowódcze. Uzyskane doświadczenie wykorzystamy w przyszłości podczas międzynarodowych ćwiczeń”, dodaje plutonowy.

Polscy żołnierze bardzo dobrze wypadli także w nawigacji. Nie zgubili się ani nie zostali wykryci, co odebrano jako duży plus. Poprawić można zaś działanie według kanadyjskich procedur. Są one tak samo skuteczne jak polskie, ale lokalni instruktorzy oceniali uczestników według własnych standardów. Jednocześnie sami organizatorzy przyznają, że to właśnie możliwość wymiany doświadczeń w międzynarodowym środowisku jest największym atutem ćwiczeń. „Uczestnicy mogą uczyć się od nas oraz od siebie wzajemnie. Już na początku zostali przeszkoleni z obsługi naszych karabinków C7A2 oraz karabinów maszynowych C9A2, z których korzystali podczas patrolu. Dodatkowo przez cały czas porozumiewają się po angielsku, według procedur obowiązujących w NATO. To winduje poziom trudności i przekłada się na interoperacyjność”, tłumaczy por. Matthew Howse.

Spadochroniarze z 6 Brygady Powietrznodesantowej dodają, że „odpłacili się” organizatorom. „Często byliśmy obserwowani przez rozjemców terenowych. Choć armia kanadyjska jest bardzo dobrze przygotowana do działania w warunkach zimowych, podpatrywała rozwiązania, które stosujemy w Polsce. Myślę, że spodobało im się wiele z naszych patentów”, śmieje się plutonowy.

Następna edycja „Canadian Patrol Concentration” odbędzie się dopiero za dwa lata, ale żołnierze z 6 Brygady Powietrznodesantowej ponownie polecą do Kanady jeszcze tej zimy. Tym razem polscy spadochroniarze dowiodą swoich umiejętności podczas międzynarodowych zawodów Iceman Challenge. ■



SLAVKO DOKMANOVIĆ był sądzony przez Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii w Hadze. Jego sprawę umorzono, po tym, jak w 1998 roku powiesił się w celi. Na zdjęciach obok: moment ujęcia Dokmanowicia przez żołnierzy GROM-u.



Na tropie rzeźnika z Vukovaru

Kiedy Jacques Paul Klein dowodził misją ONZ w Slawonii, osobiście wybrał żołnierzy GROM-u do udziału w niezwykle ważnej operacji.

EWA KORSĄK

Po raz pierwszy spotkaliśmy ambasadora Kleina, kiedy pojawiliśmy się we Wschodniej Slawonii jesienią 1996 roku. Przywitał nas postawny facet. Pamiętam, że miał na sobie skórzaną kurtkę pilota, ciemne okulary i palił cygaro. Biła od niego pewność siebie”, mówi płk rez. Piotr Gąstał, były dowódca GROM-u, który w Slawonii pełnił obowiązki oficera operacyjnego polskiego kontyngentu. „Był wielkim chłopem z Teksasu, ale jego siła biła również ze środka. Nie wahał się, miał plan, dokładnie wiedział, czego

chce. Tak sobie dziś myślę, że my od razu go polubiliśmy, bo bardzo nam kogoś przypominał... płk. Petelickiego, naszego pierwszego dowódcę”, wspomina płk rez. Tomasz Gede, były żołnierz GROM-u, w czasie misji zastępca dowódcy kontyngentu do spraw logistyki.

NIEZBĘDNI W SLAWONII

Kim był człowiek, który zrobił takie wrażenie na żołnierzach jednostki specjalnej? Jacques Paul Klein, emerytowany generał dywizji, wcześniej służył w US Air Force Reserve. Kierował mi-

sjami ONZ: we Wschodniej Slawonii, w Bośni i Hercegowinie oraz w Liberii.

„Po Kleinie widać było, że wiele chciał i mógł zrobić. Po kompromitacji ONZ i misji UNPROFOR [United Nations Protection Force], która nie zapobiegła m.in. masakrom w Srebrenicy, UNTAES [United Nations Transitional Administration for Eastern Slavonia], na którego czele stanął ambasador Klein, miał silny mandat ONZ i wsparcie Departamentu Stanu USA”, mówi Gąstał.

Taka osoba była potrzebna w Slawonii, rejonie z burzliwą historią, w którym



ARCH. PIOTRA GĄSTAŁA (3)

„NIE BYŁO OPCJI, ŻEBYŚMY W TO NIE WESZLI. DO TAKICH OPERACJI WŁAŚNIE TWORZY SIĘ JEDNOSTKI TAKIE JAK GROM”, WSPOMINA **PŁK REZ. PIOTR GĄSTAŁ**, KTÓRY W SLAWONII PEŁNIŁ OBOWIĄZKI OFICERA OPERACYJNEGO POLSKIEGO KONTYNGENTU

panowało wiele napięć wynikających z podpisanego 12 listopada 1995 roku porozumienia między rządem Republiki Chorwacji a lokalnymi władzami serbskimi. Wtedy Slawonia została przyłączona do Chorwacji. Nie był to łatwy proces, ze względu na wrogość obu narodów, dlatego ONZ miała zapewnić tam pokój. „Najważniejszym zadaniem Kleina było wycofanie sił serbskich i pokojowa reintegracja regionu z Chorwacją”, wyjaśnia były dowódca GROM-u. Na miejscu było około 6 tys. żołnierzy, m.in. Belgów, Ukraińców, Jordańczyków, Pakistańczyków, Argentyńczyków, Słowaków, Czechów i Indonezyjczyków. Mieli do dyspozycji czołgi i śmigłowce bojowe. Na wyraźne życzenie ambasadora Kleina pojawił się tam również GROM. „Niestety, czasem tak jest, że aby zapanować pokój, ktoś musi stanąć pośrodku walczących ze sobą narodów”, mówi Gąstał.

Polską Grupą Specjalną wydzieloną z GROM-u dowodził major K. Jej zadaniem była ochrona wracających na teren Slawonii Chorwatów oraz zapobieganie aktom terroru. Żołnierze stacjonowali w miejscowości Erdut, która leży przy samej granicy z Serbią. „Bazę musieliśmy sobie zbudować sami wokół opuszczonego domu, w którym niegdyś stacjonował oddział Tygrysów dowodzony przez jednego z serbskich watażków

Željka Ražnatovicia „Arkana”. Wywodził się on z silnego serbskiego ruchu nacjonalistycznego powiązanego z kibicami Crvene Zvezdy z Belgradu”, mówi Tomasz Gede.

Dom stał w pobliżu drogi przejazdowej między Slawonią a Serbią, a przemysł broni, paliwa, drewna był tam na porządku dziennym. GROM odpowiadał więc również za zatrzymywanie przemytników. „W tym czasie nie widywaliśmy ambasadora Kleina. On był szefem misji, a my zajmowaliśmy się swoją robotą”, mówi Gede. Zdarzało się jednak, że Klein pokazywał swoją siłę. W Boże Narodzenie 1996 roku wypędzeni na początku wojny ze swoich domów Chorwaci przyjechali do Slawonii, by wziąć udział w mszy odprawianej w klasztorze franciszkańskim w Iloku, miejscowości zamieszkałej wówczas przez serbskich uchodźców z Krainy. Chronili ich polscy żołnierze. Przed klasztorem zebrał się tłum wściekłych Serbów.

„Udało nam się wprowadzić Chorwatów do klasztoru bocznym wejściem”, wspomina Gąstał. To jednak jeszcze bardziej rozwścieczyło tłum. „W naszą stronę leciały kamienie. Nasi oraz wspierający nas ukraińscy żołnierze byli wciągani w tłum. To zmusiło nas do użycia granatów hukowych. Gdyby ktokolwiek wszedł wtedy z nami w kontakt ogniowy, prawdopodobnie zostałby zastrzelony”,

przyznaje były dowódca GROM-u. Kiedy poinformowano o rozruchach, na miejsce przyjechał Klein. „Stanął przed tym rozwścieczonym tłumem i stała się rzecz niezwykła. Przekonał Serbów, żeby odstąpili. Co im powiedział? Że to już nigdy więcej nie będzie Serbia, że takie są postanowienia również ich rządu”, opowiada Gąstał. „Stanowczość i spokój były jego siłą”.

ZBRODNIARZ NA CELOWNIKU

Tymczasem Klein szykował dla polskich żołnierzy zadanie specjalne. „Pewnego razu wezwał naszego dowódcę. Pojechałem z majorem K. jako tłumacz. Wchodzimy do Kleina, a on przedstawia nam kilku ludzi – byli to prokuratorzy z ICTY [International Criminal Tribunal for the former Yugoslavia], czyli Międzynarodowego Trybunału Karnego dla byłej Jugosławii”, wspomina Piotr Gąstał. Mówiono o tajnych aktach oskarżenia, o zbrodniach wojennych, aż w końcu padło nazwisko Dokmanović.

„Nie mieliśmy pojęcia, kto to jest. Dopiero potem przekazano nam niezbędne informacje”, przyznaje Gąstał. Slavko Dokmanović był jednym z odpowiedzialnych za masakrę we wsi Ovčara w Chorwacji. 19 listopada 1991 roku żołnierze Jugosłowiańskiej Armii Ludowej przywieźli tam kilkuset mężczyzn, których wcześniej siłą wyciągnęli ze





AS W RĘKAWIE

Operacja „Little Flower” miała olbrzymie znaczenie dla Polski. Osobiście dziękował za nią prezydent USA Bill Clinton. Była ona zielonym światłem dla sił międzynarodowych KFOR w Bośni, aby ścigać zbrodniarzy wojennych, a także jedną z kart, które polski rząd wyłożył na stół podczas starań o przyjęcie naszego kraju do NATO.

Dziennikarze Krzysztof Spiechowicz i Mariusz Łapiński zmontowali krótkie nagranie na temat tego, co zrobił GROM w Sławonii, które w 1998 roku wyświetlano w Senacie USA, by zdobyć wsparcie przeciwników naszego wstąpienia do Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego. ■

Jacques Paul Klein kierował trzema misjami ONZ: we Wschodniej Sławonii (1996–1997), Bośni i Hercegowinie (1999–2002) oraz Liberii (2003–2005). Na zdjęciu: Jacques Paul Klein wita przywódców religijnych Liberii, Camp Schieffelin, Liberia, 7 grudnia 2003 roku.

szpitala w Vukovarze. Uwięziono ich, poddano torturom, a następnie część z nich wywieziono do pobliskiego wozu. Tam żołnierze zastrzelili 260 osób, a ich ciała pogrzebali w masowej mogile. Prokuratorzy ICTY mieli dowody na to, że Slavko Dokmanović, ówczesny burmistrz Vukovaru, był winny masakry. Kiedy podczas spotkania Jacques P. Klein zapytał dowódcę gromowców, czy podejmą się zadania schwytania go, ten nie miał wątpliwości. „Nie było opcji, żebyśmy w to nie weszli. Wiedzieliśmy, dlaczego w tej misji się znaleźliśmy oraz jak ważne i delikatne politycznie jest to zadanie. Do takich operacji właśnie tworzy się jednostki takie jak GROM”, wspomina Gąstał.

CYGARO DLA ZWYCIĘZCÓW

Operacja otrzymała kryptonim „Little Flower”. Podobno Klein osobiście wybrał do tego zadania GROM, bo jednostka zyskała świetną opinię w ONZ po misji na Haiti. „Operacja »Little Flower« była owiana tajemnicą. Obawialiśmy się, że ktoś ostrzeże Dokmanovicia”, mówi Tomasz Gede. Żołnierze GROM-u przygotowali kilka wersji planu zatrzymania zbrodniarza. Klein wnikliwie je czytał. „Nie modyfikował, ale o wiele rzeczy pytał i dowódca polskiego oddziału mu-

siał swoje decyzje precyzyjnie argumentować”, mówi Gąstał.

Kluczowe było zwabienie do Vukovaru, mieszkającego wówczas w Serbii, Slavka Dokmanovicia. „Serbia [wtedy jeszcze Jugosławia] była niezależnym państwem, prawo międzynarodowe nie pozwalało nam na przeprowadzenie tam operacji”, wyjaśnia płk Gąstał. Chociaż Dokmanović nie wiedział nic o akcie oskarżenia, nie zamierzał wracać tam, gdzie popełnił zbrodnię. Wiosną 1997 roku prokuratorzy z ICTY rozpoczęli więc pewnego rodzaju grę: wezwali go, by był świadkiem przeciwko Chorwatom, którzy mordowali Serbów.

GROM liczył na to, że Dokmanović przyjedzie, więc opracowywali plany zatrzymania go. Wytypowali trzy miejsca, w których mogło do tego dojść. Wszyscy czekali w gotowości. „Rzeźnik z Vukovaru” jednak nie dotarł. Omysłono więc kolejny plan. Zakładał on, że siły ONZ aresztują go, gdy przyjedzie na obrady komisji, która analizowała informacje na temat zbrodni popełnionych na Serbach. Dokmanović jednak znowu się nie pojawił. Okazało się, że jedyną rzeczą, która interesowała go we wschodniej Sławonii, była jego posiadłość. Zgodził się zostać reprezentantem wszystkich Serbów, którzy

stracili nieruchomości i starali się o odškodowania.

„Opracowaliśmy kolejny plan. Prokuratorzy z ICTY mieli dotrzeć do serbskiego Somboru, gdzie mieszkał Dokmanović, i razem z nim, pod pretekstem odwiezienia go na negocjacje w sprawie posiadłości, przejechać przez Dunaj. My mieliśmy przygotować zasadzkę”, mówi były dowódca GROM-u. Kierowcą samochodu, którym miał jechać Dokmanović, został jeden z żołnierzy, późniejszy dowódca GROM-u. Plan zakładał, że gdy auto ze zbrodniarzem będzie przejeżdżało koło bazy gromowców, z naprzeciwka wyjedzie ciężarówka. Wówczas – aby uniknąć czołowego zderzenia – kierowca samochodu z Dokmanoviciem gwałtownie skręci, wjedzie do wyznaczonego miejsca i nagle zahamuje. Żołnierze wyciągną wówczas poszukiwanego listem gończym zbrodniarza i go aresztują. Aby zachować operację w jak największej tajemnicy i nie zdradzać sił, które ją wykonały, połowa polskiego kontyngentu w tym czasie brała udział w zawodach sportowych. W ten sposób skutecznie odwrócono od akcji uwagę nie tylko lokalnej społeczności, lecz także personelu ONZ.

27 czerwca 1997 roku „rzeźnik” wjechał na teren wschodniej Sławonii



i wsiadł do samochodu, który prowadził Polak. Z Dokmanovićem był jeden ochroniarz. Przez cały czas auto obserwowali ukryci przy trasie przejazdu snajperzy. Przekazywali informacje nie tylko o tym, gdzie znajduje się samochód, ale także, po której stronie siedzi Dokmanović i jak się zachowuje. Liczył się najmniejszy szczegół. Wszystko szło zgodnie z planem. Gdy auto mijalo bazę, zza rogu wyjechała ciężarówka. Samochód z Serbem skręcił i gwałtownie zahamował. Wówczas czekający w bazie operatorzy GROM-u wyciągnęli zbrodniarza, postawili pod ścianą jednego z kontenerów i skuli. „Gorzej było z jego ochroniarzem, byłym bokserem. Jego dłonie były tak wielkie, że przeguby rąk nie mieściły się w zwykłych kajdankach. Musieliśmy użyć plastikowych. Miał też przy sobie naładowaną broń”, opowiada Tomasz Gede. Jeden z prokuratorów odczytał akt oskarżenia. Dokmanović był bardzo spokojny. Powtarzał, że jest niewinny.

Żołnierze przewieźli go na stronę chorwacką. Miał zostać przetransportowany do Hagi z tamtejszego lotniska położonego pod Osijekiem. Sprawy jednak zaczęły się komplikować. Medyk z GROM-u stwierdził, że zatrzymanemu trzeba podać leki stabilizujące pracę serca. Wylot się opóźniał i Chorwaci zain-

KIEDY PREZYDENT ANDRZEJ DUDA WRĘCZYŁ W GRUDNIU 2018 ROKU W WASZYNGTONIE KRZYŻ OFICERSKI ORDERU ZASŁUGI RP JACQUESOWI PAULOWI KLEINOWI, UCZESTNICY OPERACJI „LITTLE FLOWER” POCZULI WIELKĄ SATYSFAKCJĘ

teresowali się tym, co dzieje się na ich lotnisku. Doszło do przepychanek i groźenia użyciem broni. Pilot samolotu nie dostał zgody na start. Dopiero Klein uruchomił kanały dyplomatyczne i przekonał Chorwatów, żeby ją wydali.

W końcu „rzeźnik z Vukovaru” znalazł się w Hadze, gdzie miał odbyć się jego proces. Nie doczekał jednak wyroku, powiesił się w celi w 1998 roku.

Pojmanie Slavka Dokmanovicia odbiło się szerokim echem w międzynarodowej prasie. Oto po 16 latach od masakry w Ovčarze pojawiła się szansa, że „rzeźnik z Vukovaru” odpowie za swoje zbrodnie.

„Wykonaliśmy zadanie. Razem z dowódcą naszej grupy mjr. K. pojechaliśmy do Vukovaru, by zameldować o wszystkim ambasadorowi Kleinowi. Poczęstował nas cygarem, whisky i podziękował. Nie było jednak czuć rozluźnienia. Dla nas operacja skończyła się dopiero po kilku tygodniach, kiedy napięcie w regionie opadło i ustały groźby w stosunku do personelu ONZ”, wspomina Gąstał.

PRZYJACIEL POLAKÓW

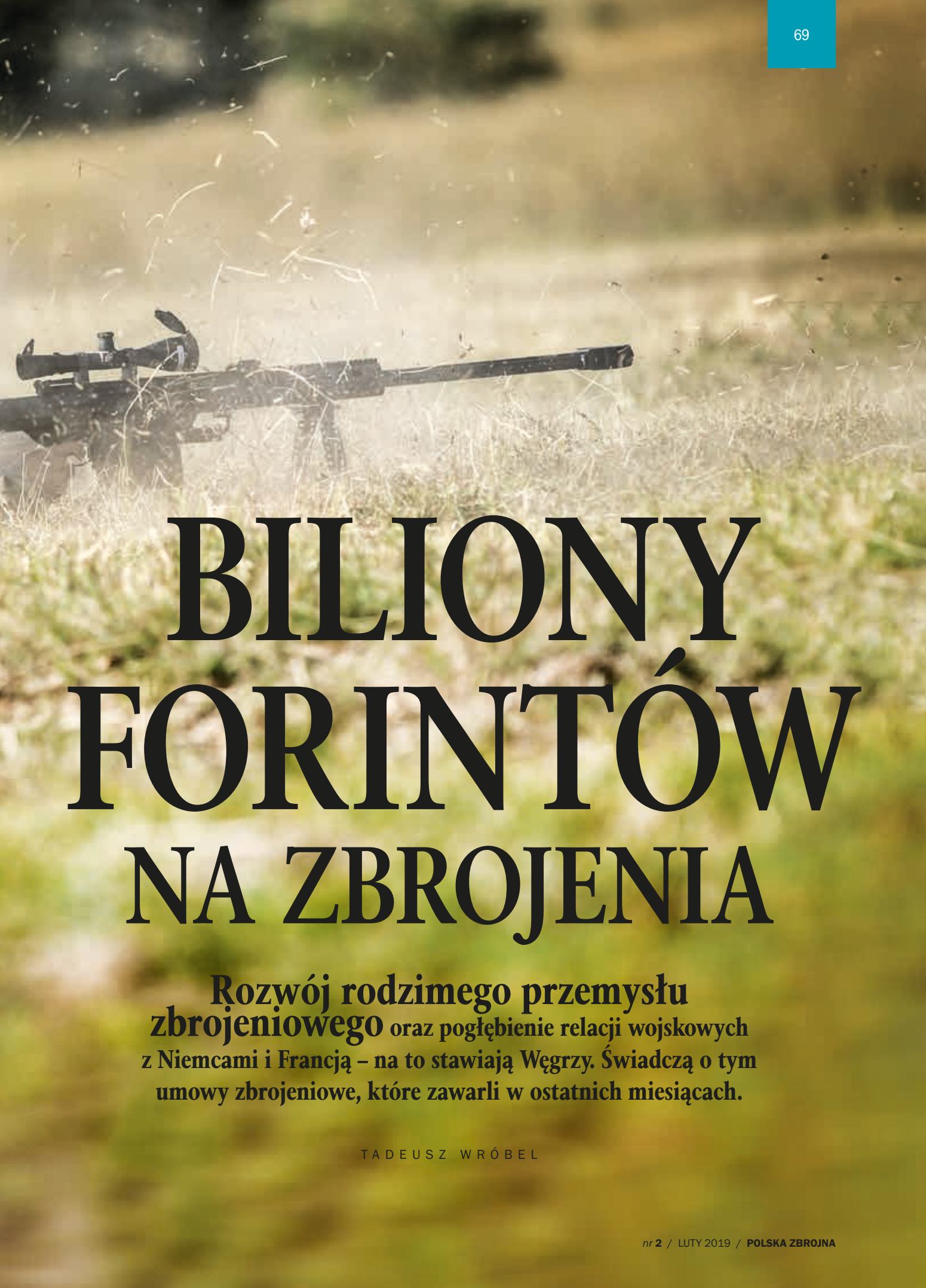
Od tego momentu Jacques P. Klein stał się wielkim przyjacielem Polski i ambasadorem GROM-u na międzynarodowej arenie. „Często mówił o Polsce, Polakach i GROM-ie bardzo dobrze. Zawszad docierały do nas informacje, że wysoko nas ceni”, mówi Piotr Gąstał. Kilku żołnierzy GROM-u po odejściu ze służby przez wiele lat ochraniało ambasadora. Kiedy prezydent RP Andrzej Duda wręczył w grudniu 2018 roku w Waszyngtonie Krzyż Oficerski Orderu Zasługi RP Jacquesowi Paulowi Kleinowi, uczestnicy operacji sprzed 20 lat poczuli wielką satysfakcję. „Dla nas to symboliczne zamknięcie misji UNTAES i operacji »Little Flower«, ukłon w kierunku osoby, która zawsze była wielkim przyjacielem Polski”, mówi płk Piotr Gąstał. ■

MILITARIA

/ PRZEGLĄD



KÁROLY ÁRVAI / KORMANY.HU



BILIONY FORINTÓW NA ZBROJENIA

**Rozwój rodzimego przemysłu
zbrojeniowego** oraz pogłębienie relacji wojskowych
z Niemcami i Francją – na to stawiają Węgrzy. Świadczą o tym
umowy zbrojeniowe, które zawarli w ostatnich miesiącach.

T A D E U S Z W R Ó B E L

W

ęgrzy od zakończenia zimnej wojny nie wydawali zbyt dużo pieniędzy na wojsko. Przez ostatnich kilka lat budżet obrony stanowił tam mniej niż 1% produktu krajowego brutto, podczas gdy członkowie NATO uzgodnili w 2006 roku, że powinno to być co najmniej 2%. Dopiero w 2012 roku rząd węgierski przyjął uchwałę, zgodnie z którą wydatki na cele obronne będą zwiększane o 0,1% PKB rocznie, począwszy od 2016 roku. I faktycznie w ostatnich latach budżet resortu obrony wzrastał i w 2019 roku wynosi równowartość 1,16% PKB.

Zwiększone nakłady finansowe są konieczne, ponieważ potrzeba bilionów forintów, aby zlikwidować negatywne skutki kilkudziesięcioletniego zastoju. Tym bardziej że Węgrzy rozpoczęli największą od ponad 40 lat inicjatywę w kierunku wzmocnienia ich systemu obronnego – dziesięcioletni program rozwoju i modernizacji technicznej „Zriny 2026”. Dokument ten zawiera zapis o zwiększeniu liczby żołnierzy w czynnej służbie i rezerwistów oraz wyposażeniu ich w nowoczesną broń.

ROZWIĄZANIA KRYZYSOWE

Bardzo trudna sytuacja panuje w węgierskich siłach powietrznych. Najważniejszą inwestycją w statki powietrzne w ostatnim ćwierćwieczu była podpisana w 2006 roku umowa ze Szwecją na leasing 14 myśliwców Gripen C/D. Na początku 2012 roku przedłużono ją do marca 2026 roku. Po wprowadzeniu tych maszyn Węgrzy wycofali w 2010 roku z użycia 28 MiG-29, które otrzymali w 1993 roku od Rosji w ramach spłaty posowieckich długów.

W lotnictwie transportowym było gorzej. Gdy program „Zriny 2026” się rozpoczynał, czyli w styczniu 2017 roku, Węgrzy mieli tylko pięć An-26. Przy czym większość tych maszyn kupiono jeszcze w latach siedemdziesiątych XX wieku. Potrzebne były zatem szybko nowe samoloty, ale w tym czasie resort obrony miał jeszcze bardzo ograniczone środki finansowe. Znalazł jednak rozwiązanie – kupiono dwa używane samoloty

pasażerskie Airbus A319-100 po przewoźniku Air Berlin, który zbankrutował. Jak podał wówczas minister István Simicskó, mające osiem czy dziewięć lat maszyny kosztowały o ponad połowę mniej niż nowe (kwota rzędu 70–80 mln euro). Ostatecznie trafiły one do sił powietrznych w lutym 2018 roku, a już pod koniec roku Tibor Benkő, następca Simicskó na stanowisku ministra obrony, zapowiedział kupno trzeciego A319.

W 2018 roku Węgrzy kupili też z drugiej ręki dwa trzysilnikowe odrzutowce Falcon 7X francuskiego producenta Dassault Aviation. Pierwszy z business jetów wylądował 3 sierpnia 2018 roku w bazie lotniczej w Kecskemét. Drugi ma tam trafić w 2019 roku. Mogące zabrać do 150 pasażerów A319 zapewnią Węgrom zdolność do przewozu żołnierzy wysyłanych na misje zagraniczne i z nich powracających, a także ewakuację rannych i chorych. Airbasy i falcony będą mogły też służyć do przewożenia VIP-ów, w tym delegacji państwowych.

Niemniej jednak Węgrzy potrzebują jeszcze typowych średnich transportowców z tylną rampą, służących do przewożenia różnego rodzaju ładunków, pojazdów i przeprowadzania desantów spadochronowych. Minister Tibor Benkő podał, że w planach jest zakup trzech takich maszyn. Przy czym Węgrzy postawili warunek, że transportowiec musi być latającą cysterną dla gripenów, co zawężyło wybór do samolotów Airbus C-295M i Lockheed Martin C-130 Hercules.

PROBLEMY ZE ŚMIGŁOWCAMI

W nie najlepszej kondycji jest węgierska flota śmigłowców. Przez lata sytuację ratowano doraźnymi działaniami, takimi jak darowizny używanych maszyn. W ten sposób do tamtejszego lotnictwa trafiło 20 poenerdowskich śmigłowców szturmowych Mi-24D/W i dwa Mi-8T z Finlandii. W 2014 roku wojsko kupiło w Rosji trzy zmodernizowane Mi-8T, a dwa lata później przejęło dwa



Budżet resortu
obrony w 2019
roku wynosi
równowartość
1,16%
PKB.



WĘGRZY ROZPOCZĘLI NAJWIĘKSZĄ OD PONAD 40 LAT INICJatywę W KIERUNKU WZMOCNIENIA ICH SYSTEMU OBRONNEGO

zostaną wyposażone w system uzbrojenia HForce, w którego skład wchodzi komputer centralny, głowica optoelektroniczna, napełniony system celowniczy i pulpity do sterowania uzbrojeniem, mogący się składać z wyrzutni pocisków przeciwpancernych, przeciwlotniczych, rakiet kalibru 70 mm oraz zasobników strzeleckich (karabiny maszynowe, działka).

OCZKO W GŁOWIE

Naziemna obrona powietrzna po zakończeniu zimnej wojny nie była traktowana po macoszemu. Już w 1997 roku zamówiono we francuskiej firmie Matra Defense 45 wyrzutni Atlas-2 Mistral wraz z dziewięcioma stanowiskami dowodzenia i ponad 150 pociskami raketowymi. Sprzęt ten dostarczono Węgrom w latach 1998–2001, a ostatnio został zmodernizowany przez MBDA.

Dzięki znaczącemu wsparciu NATO powstały trzy stanowiska z włoskimi trójwspółrzednymi radarami dalekiego zasięgu RAT-31DL.

W grudniu 2018 roku Węgrzy podpisali z Airbus Defense and Space umowę na centrum operacyjne raketowej obrony powietrznej (Surface-to-Air Missile Operations Center – SAMOC). Kolejnym krokiem będzie wybór następcy systemu raketowego 2K12 Kub, który był zmodernizowany w latach 2002–2003 we współpracy z Polską. W grę wchodzi zakup trzech, czterech baterii z 12–16 wyrzutniami.

NIE TYLKO LEOPARDY

Również węgierskie wojska lądowe, których trzonem są dwie brygady ogólnowojskowe, ciężka i średnia, potrzebują nowego uzbrojenia i sprzętu. Podstawowym pojazdem bojowym tamtejszych pięciu batalionów piechoty są kołowe pojazdy opancerzone produkcji rosyjskiej. Dostawami tych wozów Moskwa spłaciła odziedziczone po Związku Sowieckim długi. W latach 1996–1999 Rosjanie przekazali Węgrom 437 kołowych transporterów opancerzonych BTR-80 i 170 bojowych wozów piechoty BTR-80A z armatą kalibru 30 mm (kilka dziesiąt z nich przekazano policji i straży granicznej).

W pierwszej dekadzie XXI wieku BTR-y przeszły modernizację. Zamontowano w nich m.in. polski system łączności wewnętrznej Fonet C2. Część wozów przebudowano na pozbawione wieżyczek pojazdy specjalistyczne: rozpoznania skażeń BTR-80 VSF, zabezpieczenia technicznego BTR-80 MVJ, ewakuacji medycznej BTR-80 SKJ, rozpoznania

Przez dziesięć lat na Węgrzech ma zostać wyprodukowanych 200 tys. sztuk różnego typu broni strzeleckiej, m.in. Ścorpion EVO 3.

trzydziestoletnie śmigłowce AS350 Écuereuil, wycofane z lotniczego pogotowia ratunkowego. Liczba maszyn jednak malała, a część przez lata była uziemiona.

Rząd premiera Viktora Orbána, utrzymujący dobre stosunki z Rosją, zamierzał w 2016 roku kupić od niej 30 Mi-17 za około 500 mln dolarów, ale pod presją sojuszników ostatecznie z tego zrezygnował. Jednak w latach 2016–2017 węgierski resort obrony podpisał z Rosjanami umowy na remonty pięciu Mi-17 oraz tuzina Mi-24P/W. Według danych z sierpnia 2018 roku poza Mi-17 udało się przywrócić do użytku sześć Mi-24W i dwa Mi-24P. Węgierskie lotnictwo wojskowe dysponuje zatem 18 śmigłowcami – ośmioma Mi-24, pięcioma Mi-17, trzema Mi-8 i dwoma AS350.

Sytuacja w tej dziedzinie poprawi się za kilka lat, gdyż 29 czerwca i 14 grudnia 2018 roku podpisano dwie umowy z Airbusem Helicopters na dostawę 36 nowych maszyn wielozadaniowych – 20 H145M i 16 H225M Caracal. Oba typy

KLUCZOWE ZAMÓWIENIA W 2018 ROKU TRAFIŁY DO FIRM ZWIĄZANYCH Z FRANCJĄ I NIEMCAMI, A WIADOMO, ŻE TRANSAKCJE ZBROJENIOWE MAJĄ PRZEŁOŻENIE NA RELACJE POLITYCZNE



K M W

19 grudnia 2018 roku węgierskie ministerstwo obrony podpisało kontrakt z firmą Krauss-Maffei Wegmann na dostawę 44 czołgów Leopard 2A7+.

inżynierskiego BTR-80 MPFJ i wsparcia inżynierskiego BTR-80 MPAEJ. Nie ma zatem pilnej potrzeby ich wymiany. Koniecznie trzeba natomiast znaleźć następców dla BRDM-2. Pojawiła się szansa, że będą to pojazdy pancerne rodzimej konstrukcji, bo po czterdziestoletniej przerwie podjęto na Węgrzech pracę nad rodziną wozów bojowych Komondor na podwoziach cztero- i sześciokołowych.

W programie modernizacji przewidziano też zakup nowych czołgów, które zastąpią T-72M1. W tej dziedzinie jednak potrzeby nie są zbyt duże, bo węgierskie siły zbrojne mają tylko jeden batalion czołgów (w 25 Brygadzie Piechoty), który dysponuje zaledwie 15 wozami T-72M1 (dwie słabe kompanie). W całej armii jest około 40 tych wozów. Znany jest już ich następca, bo 19 grudnia 2018 roku węgierskie ministerstwo obrony podpisało kontrakt z firmą Krauss-Maffei Wegmann na dostawę 44 czołgów Leopard 2A7+. Wystarczy ich, aby ukompletować trzykompanijny batalion, taki jak w armii niemieckiej. Dodatkowo kupiono tuzin używanych leopardów 2A4 do celów szkoleniowych.

Inną niezbędną inwestycją był zakup nowego systemu artyleryjskiego dla dywizjonu z 25 BP, jedynego w armii uzbrojonego w sowieckie holowane haubiccoarmaty D-20 kalibru 152 mm. Dlatego razem z leopardami Węgrzy kupili 24 samobieżne haubice PZH 2000 kalibru 155 mm. Czołgi nowej generacji i samobieżne działa zwiększą znacząco potencjał bojowy wojsk węgierskich. Donośność D-20 z użyciem pocisków z dodatkowym napędem raketowym wynosi 24 km, a PZH 2000, przy takim samym rodzaju amunicji, 40 km. Minister Tibor Benkő stwierdził, że podpisanie tej umowy będzie miało pozytywny wpływ na współpracę sił zbrojnych Węgier i Niemiec.

NA CELOWNIKU

Konieczne są również znaczące inwestycje w broń strzelecką. Podstawowym karabinkiem w siłach zbrojnych Węgier jest AK-63, czyli produkowana w kraju zmodyfikowana wersja sowiec-

kiego AKM. Potrzebny jest nowy karabinek, na amunicję zgodną z wymogami NATO. W tej dziedzinie władze w Budapeszcie postawiły na współpracę z sąsiadem, Czechami.

W marcu 2018 roku podpisali umowę o wartości 100 mln euro na licencyjną produkcję czeskiej broni strzeleckiej, której stronami są Česká Zbrojovka i należąca do węgierskiego resortu obrony spółka HM Arzenál Zrt. Porozumienie dotyczy pistoletów P-07 i P-09 oraz maszynowych Šcorpion EVO 3, a także karabinków automatycznych Bren 2. Przez dziesięć lat na Węgrzech ma zostać wyprodukowanych 200 tys. sztuk różnego typu broni strzeleckiej.

STAWIAJĄ NA SWOJE

Program „Zrinyi 2026” jest realizowany w warunkach mało komfortowych dla ministerstwa obrony i sił zbrojnych. Choć nakłady na obronę rosną, to większe pieniądze pojawiają się dopiero za kilka lat. Dlatego Węgrzy nie wzbraniają się przed zakupami z drugiej ręki. Ministerstwo obrony stara się również, by z modernizacji armii korzyści miał krajowy przemysł. Dlatego oprócz broni strzeleckiej w kraju zamawiana jest większość samochodów – ciężarówki w Rába Vehicle i autobusy w Ikarus Járműtechnika Kft. Podobnie było z kupnem w 2018 roku 250 suwów Suzuki Vitara (docelowo do wojska trafi 550 egzemplarzy). Od 1991 roku w Esztergom działa bowiem firma Magyar Suzuki Zrt.

Węgry zyskują też profity z licznych w ostatnim czasie transakcji z Airbusem. Zaowocowały one porozumieniem o długoterminowym partnerstwie przemysłowym. Narodowa agencja prasowa MTI podała, że Airbus Helicopters do 2021 roku zbuduje na Węgrzech fabrykę produkującą części do śmigłowców.

Nie sposób nie zauważyć, że kluczowe zamówienia w 2018 roku trafiły do firm związanych z Francją i Niemcami, największymi członkami Unii Europejskiej. A nie od dziś wiadomo, że transakcje zbrojeniowe mają przełożenie na relacje polityczne. ■



Węgrzy kupili

24

samobieżne
haubice
PZH 2000
kalibru
155 mm.

Kiedy wczesną jesienią 2015 roku Federacja Rosyjska otwarcie i oficjalnie zaangażowała się militarnie w konflikt syryjski po stronie władz w Damaszku, chyba nawet najwięksi optymiści na Kremlu nie spodziewali się, jak wiele korzyści wyniknie z tego dla rosyjskich sił zbrojnych. Korzyści przede wszystkim w postaci trudnych do przecenienia doświadczeń z walki i działań w trudnym geograficznie, strategicznie i operacyjnie środowisku jednego z największych współczesnych konfliktów asymetrycznych, z silnie zaznaczonymi akcentami hybrydowymi.

Dzisiaj, po ponad trzech latach udziału w krwawych zapasach na syryjskiej arenie, nie ulega już wątpliwości, że dla Sił Zbrojnych FR ta wojna to unikatowy poligon doświadczalny, dający sposobność rozwijania zdolności i umiejętności w ramach już wdrożonych rozwiązań, a także testowania nowych taktyk, środków walki i uzbrojenia oraz ich projektów modernizacyjnych. Rosyjskie „lessons learned” z Syrii obejmują więc nie tylko przebogate doświadczenia z zakresu działań lotnictwa bojowego (zwłaszcza samolotów szturmowych) oraz śmigłowców uderzeniowych, m.in. w warunkach walk toczonych w gęsto zaludnionych terenach zurbanizowanych, lecz także różnego typu operacje z udziałem sił lądowych, zarówno specjalnych, jak i regularnych.

Liczne pożyteczne dla siebie wnioski Rosjanie wyciągają także z doświadczeń bojowych ich formacji paramilitarnych działających w Syrii, takich jak Kompania Wagnera. Wszystko to już od ponad dwóch lat w istotny sposób wpływa na kierunek przemian i modernizacji wielu komponentów armii Federacji Rosyjskiej.

MASZYNY Z BIEDAWOJEN

Jedną z ciekawszych spośród nich wydaje się rosyjska odpowiedź na kultową broń formacji nieregularnych i terrorystycznych Trzeciego Świata – osławione „technicalsy”. Gdy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku wykorzystano te maszyny po raz pierwszy na dużą skalę – na saharijskich bezdrożach Mauretanii oraz na pograniczu Libii, Czadu i Sudanu – chyba nikt nie przypuszczał, jak zawrotną karierę

zrobią w następnych dekadach i w kolejnych konfliktach. Wozy tego typu, począwszy od konfliktu w Somalii w latach dziewięćdziesiątych XX wieku, szybko stały się istnymi końmi roboczymi niezliczonych „armii” zwykłych watażków, a także paramilitarnych formacji wielu państw.

Jeszcze kilkanaście lat temu „technicalsy” stanowiły element pola walki charakterystyczny wyłącznie dla biedawojen toczonych gdzieś w Afryce i Azji. Obecnie nie ma już

chyba jednak na świecie konfliktu zbrojnego, w którym nie wykorzystuje się takich maszyn. „Technicalsy” stały się już zatem symbolem współczesnych wojen, i to nie tylko tych asymetrycznych lub hybrydowych. I nie ma w tym nic dziwnego, od kilku bowiem lat idea prowadzenia działań bojowych z użyciem floty lekkich, mobilnych pojazdów, dysponujących najróżniejszym uzbrojeniem i działających w roli wsparcia piechoty w terenie trudno dostępnym dla ciężkiego sprzętu bojowego – po-

woli przebija się także do oficjalnych koncepcji działań regularnych sił zbrojnych. Armie wielu państw świata zaczynają rozważać wdrożenie – lub już wdrażać – do służby rozwiązania do złudzenia przypominające „technicalsy”.

Prym wiodą tu właśnie Rosjanie, którzy w ramach reformy i modernizacji – opracowanych m.in. na podstawie doświadczeń z Lewantu – swych wojsk lądowych przystąpili już dwa lata temu do tworzenia wydzielonych brygad superlekkiej piechoty. Formacje te różnią się od klasycznych jednostek lekkich (takich jak formacje aeromobilne czy piechoty górskiej) zdecydowanie

mniejszą liczbą ciężkiego sprzętu w ich wyposażeniu lub wręcz jego brak. Do chwili obecnej Rosjanie sformowali już jedną taką jednostkę – 30 Samodzielną Brygadę Strzelców Zmotoryzowanych z Samary (podporządkowaną operacyjnie Centralnemu Okręgowi Wojskowemu SZFR, odpowiedzialnemu za działania podejmowane przez armię rosyjską za granicą).

Samarska brygada osiągnęła gotowość operacyjną na jesieni 2016 roku i faktycznie stanowi nową jakość w siłach lądowych Federacji Rosyjskiej. Jednostki w ogóle nie wyposażono w czołgi, a wszystkie jej wozy i pojazdy mają wyłącznie trakcję kołową. Dotyczy to zarówno transporterów opancerzonych

U schyłku drugiej dekady XXI wieku „technicalsy” i ich wojskowe wersje na dobre zadomowiły się na polach bitew współczesnych wojen.



SZARŻA SUPERLEKKIEJ BRYGADY

TOMASZ OTŁOWSKI



(typu BTR-82A), jak i artylerii, którą stanowią przede wszystkim działa holowane (nieco już muzealne haubice D-30A i przeciwpancerne armaty MT-12) oraz jedna bateria samobieżnych wieloprowadnicowych wyrzutni raketowych BM-21 Grad na podwoziu samochodu Ural-375D (6x6). Siłę ognia pododdziałów Trzydziestej wzmocniają mobilne (transportowane na samochodach GAZ-66/4x4) baterie kalibru 82 mm moździerzy typu 2B14-1 Podnos oraz ciągnionych armatomoździerzy 2B9M Wasilok.

Zastosowanie tych typów moździerzy w ramach jednej formacji to dobre rozwiązanie, wykorzystuje się w nich bowiem tę samą amunicję, co znacznie usprawnia logistykę. Ta zaś ma fundamentalne znaczenie w przypadku wysoce mobilnej brygady, przeznaczonej do działań rajdowych na głębokich tyłach przeciwnika. Transport zaopatrzenia i zapasów Trzydziestej spoczywa „na osiach” dużej floty (około 80 sztuk) najnowszych wersji samochodów ciężarowych Ural, w specjalnej wersji o podwyższonym podwoziu. Z kolei dowództwo jednostki ma do dyspozycji około 20 opancerzonych wozów dowodzenia R-149MA1 (nowość w swej klasie w siłach zbrojnych FR).

Jednak tym, co czyni 30 Brygadę wyjątkową w skali nie tylko rosyjskich sił zbrojnych, jest rola, jaką odgrywają w niej lekkie, wojskowe wersje uzbrojonych samochodów terenowych marki UAZ-3163 Patriot, będących wiernymi kopiami „technicalsów”, tak dobrze znanych z asymetrycznych wojen z Afryki, Bliskiego Wschodu czy Azji. Jeden z dwóch batalionów strzelców samarskiej brygady używa wyłącznie tych pojazdów, co zapewnia mu wyjątkową, jak na warunki działania armii regularnej, mobilność i elastyczność operacyjną.

NIEOFICJALNY PATRIOTA

UAZ Patriot to rosyjski SUV, wprowadzony na rynek w 2005 roku jako modyfikacja kultowej w Rosji wersji UAZ Simbir. Początkowo przeznaczony wyłącznie na rynek cywilny, szybko wzbudził zainteresowanie rosyjskich resortów siłowych, co tylko wzmocniło image tej marki w Rosji (a także za granicą, głównie w Niemczech, gdzie od ponad dekady produkuje się licencyjną wersję tego samochodu pod marką Bajaj Automotive). Obecna, odnowiona i zmodernizowana wersja samochodu produkowana jest w Rosji od 2015 roku, już głównie z myślą o odbiorcach w siłach zbrojnych, Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i służbach specjalnych FR.

Podstawowa wersja patriota ma klasyczne, całkowicie zabudowane pięciordzwiowe nadwozie (długość 4,7 m, szerokość 2,1 m, wysokość 1,9 m) z miejscami dla czterech pasażerów i kierowcy oraz ładownością do 200 kg, przy masie własnej pojazdu nieco ponad 2 t. Dostępne są jednak wersje osobowe mieszczące siedmiu pasażerów i kierowcę, a także wersja cargo (bagażowa – ładowność do 1 t) oraz pikap (w wariantach dwu- i czterordzwiowym), z ładownością 500–800 kg.

To właśnie UAZ Patriot w wersji pikap wzbudził szczególne zainteresowanie „minobrony” (Ministerstwo Obrony) Federacji Rosyjskiej, która w latach 2016–2017 zamówiła w zakładach UAZ w Uljanowsku partię kilkuset maszyn w tej konfiguracji. Nieoficjalnie wiadomo, że kolejne duże zamówienia zło-

żono w 2018 roku. W swej podstawowej wersji patrioty są napędzane rosyjskim silnikiem benzynowym ZMZ-409.10 o pojemności 2,7 l, osiągającym moc 128 KM i pozwalającym rozwinąć prędkość maksymalną (drogową) 140 km/h. Dwa 40-litrowe zbiorniki paliwa dają maszynie zasięg 600–800 km bez konieczności tankowania. Wszystkie konfiguracje UAZ-3163 mają selektywny napęd na cztery koła, a osiągi pojazdu w terenie są powszechnie (także w źródłach zachodnich) uznawane za zadowalające.

Choć nie jest to potwierdzone w żadnych oficjalnych specyfikacjach pojazdu, militarne wersje patriotów używane przez rosyjskie służby i formacje specjalne mają mieć kilka dodatkowych funkcji i rozwiązań technicznych, zarówno wzmocniających konstrukcję samochodu, jak i pozwalających na pełniejsze wykorzystanie jego zalet w warunkach bojowych. Należą do nich dodatkowe opancerzenie przedniej klapy i komory silnika oraz boków pojazdu (na linii zbiorników paliwa), kuloodporne szyby, lane opony i szereg udogodnień we wnętrzu wozu (np. specjalne uchwyty w kabinie na broń i oporządzenie żołnierzy). Podwozie UAZ-a Patriot ma dodatkowe uszczelnienie, zabezpieczające przed wodą, co wraz z odpowiednią konstrukcją przedziału silnikowego pozwala forsować z marszu cieką wodną o głębokości do 80 cm. Zadbano także (rzecz rzadka w realiach rosyjskich) o komfort załogi (pasażerów) pojazdu – został on wyposażony w klimatyzację manualną, dodatkowe filtry przeciwpyłowe kabiny oraz wzmocnioną ochronę przeciwpyłową najbardziej wrażliwych elementów silnika i elektroniki pokładowej.

Patriot w bojowej wersji pikap ma także fabrycznie zamontowane na pace specjalne uchwyty i stojaki na broń pokładową, którą może być zarówno WKM Kord (kalibru 12,7 mm), jak i automatyczny granatnik AGS-17. Warto zwrócić uwagę na tę – podstawową jak się wydaje – konfigurację uzbrojenia pokładowego rosyjskich „technicalsów”. Kord to broń o specyficznych parametrach, szczególnie intensywnie wykorzystywana w walkach w Syrii (także w Libii, Jemenie i Donbasie) i popularna głównie ze względu na dużą siłę rażenia w realiach operacji w terenie zurbanizowanym (zdolność przestrzeliwania ścian budynków i rażenia lekkoopancerzonych pojazdów wroga). Z tego zapewne względu wybrano ten typ broni, a nie klasyczne PK/PKS (kalibru 7,62). Podobnie AGS-17 okazał się w Syrii niezastąpionym orężem bezpośredniego wsparcia piechoty na krótkich dystansach, zwłaszcza w starciach w warunkach miejskich.

W razie potrzeby patrioty mogą też mieć zamontowane na pokładzie wyrzutnie kierowanych pocisków przeciwpancernych (ATGM) typu Konkurs lub Kornet. Doniesienia z Syrii – gdzie UAZ-3163 Patriot jest testowany już od jesieni 2016 roku, zastąpiwszy tam wysłużone lekkie pojazdy wojskowe typu UAZ-3132 Huzar – wskazują, że wozy te mogą też wykorzystywać



jako pokładową broń ciężkie 120-mm moździerz oraz działa bezodrzutowe. Oficjalnych danych na ten temat brak, ale różne źródła potwierdzają przypadki zastosowania w boju w Syrii patriotów właśnie w takich konfiguracjach sprzętowych. Świadczy to o dużej elastyczności tego projektu i jego modułowym charakterze, z dostępnymi wieloma rozwiązaniami i konfiguracjami, dobieranymi zależnie od uwarunkowań operacyjnych, w jakich mają być użyte te pojazdy.

WSPÓŁCZESNE TACZANKI

Rosjanie nie ukrywają, że rolą 30 Samarskiej Brygady ma być działanie na rozległych nizinach Europy Centralnej i Wschodniej, stepach Azji Centralnej, a także, jeśli będzie taka konieczność, na misjach zagranicznych w regionach pustynnych i półpustynnych (Północna Afryka, Bliski Wschód). „Lekkość” tej formacji ma umożliwiać jej szybkie i płynne przenikanie głęboko na tyły przeciwnika. Jednostka szkoli się zatem w działaniach bojowych prowadzonych bez wsparcia powietrznego i raketowego (np. w postaci uderzeń rakiet manewrujących odpalanych z okrętów marynarki wojennej FR), bazujących wyłącznie na wsparciu ogniowym zapewnianym przez własne zasoby artyleryjskie. Ćwiczone są także forsowne przemarsze po bezdrożach całości sił brygady (pododdziałów bojowych oraz zaopatrzenia i wsparcia technicznego) na duże odległości, do kilkuset kilometrów naraz.

Nic więc dziwnego, że wielu komentatorów rosyjskich przyrównuje tę formację do współczesnych sukcesorów osławionej Konarmii – sowieckiej 1 Armii Konnej atamana Siemiona

„TECHNICALSY” TO ROSYJSKA ODPOWIEDŹ NA KULTOWĄ BROŃ FORMACJI NIEREGULARNYCH I TERRORYSTYCZNYCH TRZECIEGO ŚWIATA

Budionnego, siejącej popłoch w szeregach „wrogów rewolucji” na równinach Europy Wschodniej i Środkowej w latach 1919–1921. Idąc dalej tropem tego porównania, można zatem stwierdzić, że samochody UAZ Patriot byłyby współczesnym wcieleniem taczanek – owych słynnych XX-wiecznych „bojowych rydwanów”, dających Konarmii siłę ognia pozwalającą na przełamanie z marszu oporu przeciwnika.

Historia przemija, zmieniają się kierowane prawami rozwoju cywilizacyjnego i postępu technologicznego reguły oraz formy aktywności ludzi na najróżniejszych polach, także w dziedzinie sztuki wojennej. Pewne rozwiązania i pomysły pozostają jednak co do zasady działania niezmiennie, pojawiając się w kolejnych epokach historycznych w nowych wcieleniach. U schyłku drugiej dekady XXI wieku „technicalsy” i ich wojskowe, „profesjonalne” wersje na dobre zadomowiły się na polach bitew współczesnych wojen. Odzwierciedlając zmiany w charakterze i sposobie prowadzenia kampanii militarnych, są wyznacznikiem nowych trendów w stylu wojowania i w samym sposobie myślenia o taktyce prowadzenia działań bojowych. Szczególnie w konfliktach hybrydowych i nieregularnych, toczących się równocześnie na wielu różnych płaszczyznach (propagandowej,

psychologicznej, wirtualnej/cyfrowej, militarnej itd.) oraz w skomplikowanym środowisku operacyjnym (np. ośrodkach urbanistycznych). Jak na razie, domeną „technicalsów” i ich odpowiedników z regularnych armii pozostaną jednak chyba przede wszystkim rozległe, płaskie przestrzenie nizin, równin i pustyń, na których maszyny te mogą w pełni ukazać swą operacyjną wyższość nad innymi środkami walki. ■



9M133 KORNET

Wyrzutnia kierowanych pocisków przeciwpancernych może być zamontowana na samochodzie Patriot.

WYPŁYWAMY NA PROSTĄ

Z Konradem Konefałem

o testach końcowych patrolowca ORP „Ślęzak” oraz o tym, jak budowa nowego okrętu, który będzie w służbie wojsk NATO, pomoże stoczni w pozyskiwaniu kontraktów nie tylko w Polsce, lecz także za granicą, rozmawia Łukasz Zalesiński.

ADAM WARŻAWA / PAP

Z pewnością 14 listopada strzeliły u was korki od szampanów?

Okazja była wyjątkowa. Pierwsze wyjście w morze patrolowca ORP „Ślęzak” to niewątpliwie sukces, choć na razie mały. Przed nami sporo pracy.

Wielu zdążyło zapewne zwątpić, że doczekamy tej chwili...

Trudno zaprzeczyć. Budowa okrętu na skutek wielu zawirowań trwa już przecież 17 lat. Ale Polska Grupa Zbrojeniowa przejęła stocznio m.in. właśnie po to, by tę inwestycję sfinalizować. Postawiliśmy to sobie za punkt honoru. I jak dotąd, z obietnicy się wywiązujemy.

Pozostaje pytanie o wartość bojową okrętu. Przez 17 lat świat poszedł przecież mocno do przodu.

Ale nie jeśli chodzi o kwestie konstrukcyjne. Tutaj śmiało można powiedzieć, że „Ślęzak” spełnia aktualne standardy. Został wyposażony w dwa silniki, turbinę, napęd może pracować w blisko 30 trybach. Okręt ma bardzo rozbudowany IPMS [Intelligent Patch Management System], czyli zintegrowany system zarządzania platformą. Pozwala on na pełną kontrolę siłowni i systemów okrętowych. Bardzo funkcjonalne są też wnętrza jednostki.

A uzbrojenie?

Jak na tak dużą platformę, jest ono rzeczywiście dość skromne. „Ślęzak” wielkością odpowiada korwecie, a nie został wyposażony ani w torpedy, ani w broń rakietową. Takie decyzje, wynikające w dużej mierze z ograniczeń budżetowych, zapadły w przeszłości. Luki te w każdej chwili jednak



można uzupełnić. Bojowe centrum informacyjne czy wyposażenie software'owe zostały przystosowane do obsługi tego typu uzbrojenia. Ale to już wykracza daleko poza nasze kompetencje. Takie decyzje może podjąć tylko resort obrony. Stocznia jest odpowiedzialna jedynie za budowę okrętu jako platformy. Uzbrojeniem zajmuje się Thales, zaś radarami, nawigacją i łącznością wewnętrzną na okręcie spółka Enamor.

Wróćmy jednak do prób morskich, które rozpoczęły się 14 listopada. Na jakim etapie jesteście?

Jeśli chodzi o samą platformę, to przetestowaliśmy właściwie wszystko: od różnych trybów pracy układu napędowego, przez działanie systemów przeciwpożarowego i walki ze skażeniami chemicznymi, aż po tak proste sprawy jak wentylacja i działanie toalet.

I jakie wnioski?

Okręt jest szybki. Potrafi rozwinąć zapisaną w kontrakcie prędkość 31 węzłów, co uczyni go najszybszą jednostką polskiej marynarki wojennej. Do tego dochodzą dobra stateczność, zachowanie podczas manewrów i naprawdę niskie drgania wywołane przez pracę układu napędowego. Komfort pływania jest zatem duży.

Podczas prób morskich zanotowaliśmy usterkę związaną z łożyskiem przekładni. Ale, paradoksalnie, była to dla nas korzystna okoliczność, bo mogliśmy w realnej sytuacji sprawdzić działanie systemu IPMS. Zadziałał prawidłowo: odstawił, czyli wyłączył całą linię wału i okręt przeszedł w tryb pracy na jednym silniku. Sama usterka okazała się wadą fabryczną. Producent wymienił łożysko. Więcej problemów nie mieliśmy.



A testy uzbrojenia, łączności?

Staraliśmy się tak rozpiąć harmonogram wyjść okrętów w morze, by mogły się one odbywać mniej więcej w tym samym czasie. Wkrótce zostaną przeprowadzone próbne strzelania artyleryjskie, nawiązanie łączności z samolotem F-16 czy test systemu identyfikacji „swój-obcy”. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, kolejnym etapem są próby zdawczo-odbiorcze przed komisją powołaną przez wojsko.

Kiedy zatem okręt ostatecznie zostanie przekazany marynarce? Niedawno była mowa o końcu marca...

Do końca marca mamy zakończyć próby zdawcze platformy okrętu i robimy wszystko, by tak się stało. Trzeba jednak pamiętać, że procedury wojskowe są skomplikowane, a zakończenie odbiorów nie oznacza jeszcze automatycznego wejścia okrętu do służby. Pewne czynności można na przykład wykonać tylko wówczas, gdy stan morza nie przekracza trzech [stopni w dziesięciostopniowej skali Douglasa]. Jeśli pogoda okaże się nieodpowiednia, trzeba będzie czekać. Nie można też wykluczyć pewnych usterek. Ich prawdopodobieństwo wydaje się małe, ale pamiętajmy, że „Ślązak” to okręt jedyny w swoim rodzaju, prototyp...

Pewnie wszyscy już odliczacie dni, by ten projekt zakończyć i otworzyć nowy rozdział.

Tak, bo to projekt niezwykle ważny z różnych względów. Wizerunkowych, czysto praktycznych, marynarka przecież pilnie potrzebuje nowych jednostek, ale też biznesowych. Przy ubieganiu się o kolejne zlecenia, czy to w Polsce, czy poza jej granicami, posiadanie w portfolio okrętu, który właśnie wszedł do służby w wojskach NATO, może okazać się kwestią kluczową. A my musimy iść do przodu.

Polska Grupa Zbrojeniowa przejęła stocznę rok temu. W jakiej sytuacji było wówczas przedsiębiorstwo?

Sama procedura przejmowania Stoczni Marynarki Wojennej rozpoczęła się jeszcze w 2016 roku – od gromadzenia funduszy niezbędnych do przeprowadzenia tej operacji. W lutym 2017 roku pani syndyk ogłosiła przetarg, który został rozstrzygnięty po myśli Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Był to zresztą jedyny podmiot zainteresowany przejęciem przedsiębiorstwa. Kolejne miesiące upłynęły pod znakiem dopełniania skomplikowanych formalności. Faktycznie więc właścicielem stoczni stała się PGZ w początkach ubiegłego roku. A co zastaliśmy w przedsiębiorstwie? Na pewno plusem okazała



RA DOSŁAW P I O C H / 3 F O

**PRZETESTOWALIŚMY
WŁAŚCIWIE WSZYSTKO:
OD RÓŻNYCH TRYBÓW
PRACY UKŁADU NAPEŃ-
DOWEGO, PRZEZ SYSTE-
MY PRZECIWPOŻAROWY
I WALKI ZE SKAŻENIAMI
CHEMICZNYMI, AŻ PO
TAK PROSTE SPRAWY
JAK WENTYLACJA I DZIA-
ŁANIE TOALET**

się doświadczona kadra. Pomimo że stocznia funkcjonowała w upadłości, wynagrodzenia nie były wysokie, a pracownicy przez długi czas nie otrzymywali podwyżek, bo zabrania tego prawo upadłościowe, na stanowiskach pozostało sporo fachowców, którzy czuli sentyment do tego miejsca, do okrętów wojennych. Ci ludzie mają naprawdę wysokie kwalifikacje. Oczywiście kiedyś takich specjalistów było jeszcze więcej. Pani

syndyk dwa razy przeprowadzała zwolnienia grupowe, część ludzi odeszła sama, bo jednak konkurencja na rynku jest spora. Aby jej sprostać, musieliśmy szybko podnieść płace na produkcji, pozyskać kilkudziesięciu pracowników, przede wszystkim do biura projektowo-konstrukcyjnego, i znacząco zmienić strukturę zatrudnienia.

Zwalnialiście pracowników?

Niestety tak. W pierwszym kwartale 2018 roku zredukowaliśmy zatrudnienie o jedną piątą. Odeszło około stu pracowników. To był bolesny moment również dla stoczni, ale musieliśmy zdecydować się na ten krok. Mieliśmy zbyt wiele osób w administracji, a zbyt mało na produkcji i we wspomnianym biurze projektowo-konstrukcyjnym. Tam nadal zresztą prowadzimy nabór.

A co z infrastrukturą, wyposażeniem, maszynami?

To właśnie największa bolączka stoczni. Duża część infrastruktury jest leciwa i zdekapitalizowana. Na dzień dobry musieliśmy przeprowadzić kilka absolutnie podstawowych inwestycji. Oświetlenie w halach produkcyjnych zostało wymienione na ledowe, zainwestowaliśmy w uszczelnianie sieci przesyłowej, wyłączyliśmy część budynków z eksploatacji, remontowaliśmy dachy. Wszystko po to, by opłaty za media były jak najmniejsze, ale też aby na szybko poprawić komfort pracy.

Ale to, jak sądzę, zaledwie wierzchołek góry lodowej?

Dokładnie tak. Opracowaliśmy kompleksowy program, który ma poprawić moce produkcyjne stoczni. Jego realizację rozpoczniemy w tym roku. Chcemy sukcesywnie rozbudowywać park maszynowy, ale też wybudować hale produkcyjną i magazynową. Zaplanowaliśmy wydatki na około 90 mln zł, z czego prace za około 10 mln są już zaawansowane. Planujemy ograniczyć też teren, na którym funkcjonuje przedsiębiorstwo. Kiedyś pracowało tutaj 4 tys. osób, dziś jest ich 500. A nawet jeśli nasze plany się powiodą, ich liczba wzrośnie do 700. Dlatego część budynków i terenów do nas należących zamierzamy sprzedać, a pozyskane w ten sposób pieniądze przeznaczyć na kolejne inwestycje.

Czy oprócz budowy „Ślązaka” otrzymaliście w spadku jeszcze jakiś projekt?

Prowadzimy modernizację okrętu ratowniczego ORP „Piast”. To przedsięwzięcie może nie tak medialne jak budowa „Ślązaka”, ale wartość obu kontraktów jest podobna. Chodzi o modernizację napędu, silników, montaż nowych urządzeń ratowniczych, w tym dzwonu nurkowego. Wymieniliśmy część elementów kadłuba, prace objęły też wnętrza nadbudówki, łącznie z mostkiem. Właściwie to nawet nie modernizacja, ale odbudowa okrętu, po której ma on służyć w marynarce jeszcze przez co najmniej kilka lat, jeśli nie dłużej. Prace planujemy zakończyć w połowie marca, ale przedsięwzięcie jest niezwykle skomplikowane. Może nawet trudniejsze niż budowa „Ślązaka”.

Z tego, co wiem, udało wam się również pozyskać nowe kontrakty.

Zgadza się. Udało nam się pozyskać dwa zlecenia od kontrahentów zagranicznych. Wspólnie ze Stoczną Remontową Nauta w Gdyni budujemy okręt rozpoznania dla szwedzkiej marynarki wojennej, przy czym głównym wykonawcą są nasi partnerzy. Sami pracujemy nad jednostką dla armatora z Norwegii. Jest duża szansa, że wkrótce zamówi on u nas kolejny tego typu statek. Mamy akceptację oferty, przygotowujemy kontrakt. Jesteśmy świadomi, że stocznia nie jest w stanie utrzymać się wyłącznie z zamówień dla polskiej marynarki. Choć oczywiście to one stanowią dla nas priorytet.

Macie swój udział w programie „Ratownik”, który – jak sama nazwa wskazuje – zakłada budowę nowoczesnej jednostki ratowniczej z myślą o naszych siłach morskich. Na jakim etapie jesteście?

Tutaj pełniimy funkcję głównego wykonawcy i lidera technicznego. Jesteśmy w fazie projektowania okrętu. Dokumentacja techniczna powinna być gotowa do końca marca. Potem rozpocznie się proces jej zatwierdzania przez zamawiającego i towarzystwo klasyfikacyjne [państwowa instytucja zajmująca się nadzorem nad budowanymi jednostkami, a potem ich okresowymi przeglądami]. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, na przełomie trzeciego i czwartego kwartału powinniśmy rozpocząć budowę.

A inne programy modernizacyjne?

Interesuje nas przede wszystkim udział w projekcie „Miecznik”. Zakłada on budowę dla naszej marynarki serii nowoczesnych okrętów obrony Wybrzeża. Mam nadzieję, że zdobędziemy ten kontrakt. Gdyby udało się podpisać umowę, budowa pierwszej jednostki ruszyłaby prawdopodobnie pod koniec 2020 roku.

Czy można zatem stwierdzić, że powoli wychodzicie na prostą?

Jak mówiłem, mamy trochę zleceń. Udaje nam się dotrzymywać terminów ich realizacji. Wkrótce czekają nas dwa kolejne wyzwania – duże remonty okrętu dowodzenia ORP „Konradmirał Xawery Czernicki” oraz hydrograficznego ORP „Arctowski”. PGZ przegrupowuje siły w segmencie stoczni. Nauta powoli będzie odchodzić od budowy jednostek pływających, a koncentrować się na ich remontach. My skupimy się na budowaniu. Prowadzimy rozmowy handlowe w krajach azjatyckich i w Skandynawii. Rezultaty są obiecujące. Warto, aby polskie stocznie na dobre zrekonstruowały swój potencjał, tak by mogły samodzielnie realizować swoje programy, a nie występować w roli podwykonawców firm skandynawskich. Tak, myślę, że powoli wychodzimy na prostą, choć zważywszy na to, jak trudny jest rynek, przed nami jeszcze bardzo długa droga. ■

KONRAD KONEFAŁ jest prezesem PGZ Stoczni Wojennej w Gdyni.

A close-up photograph of a soldier's hands holding a compass. The soldier is wearing a camouflage uniform and a helmet. The background is a plain, light-colored wall.

Ścieżka szybkich zakupów

D W O T

Terytorialsi muszą mieć broń lekką i prostą w obsłudze. Aby pozyskać ją jak najszybciej, dostali uprawnienia do kupowania wyposażenia innym trybem niż robią to jednostki operacyjne.

KRZYSZTOF WILEWSKI

Pięty rodzaj sił zbrojnych jest wsparciem dla wojsk lądowych i specjalnych. Wyposażenie i uzbrojenie terytorialsów musi być jednak dostosowane nie tylko do stawianych im zadań, lecz także do ochotniczego charakteru formacji. „Chodzi o wyposażenie standardowe dla nowoczesnej, lekkiej piechoty, bez sprzętu ciężkiego oraz zaawansowanego technologicznie. To mają być proste, efektywne rozwiązania”, deklarował wielokrotnie podczas tworzenia

pierwszych brygad dowódca WOT-u gen. dyw. Wiesław Kukuła.

Jak podkreśla jego zastępca, gen. bryg. Artur Dębczak, w kwestii uzbrojenia strzeleckiego oraz broni wsparcia ogniowego, czyli m.in. moździerzy, przyjęto pewną wartość graniczną. „Możemy mieć broń strzelecką od 9-milimetrowych pistoletów, przez karabinki o kalibrze 5,56 mm, UKM o kalibrze 7,62 mm i karabiny wyborowe kalibru 7,62 mm, aż po

wielkokalibrowe karabiny wyborowe 12,7 mm. Jeśli natomiast chodzi o broń wsparcia, to zdecydowaliśmy się ograniczyć do kalibru 60 mm”. Zatem terytorialsi, w przeciwieństwie do jednostek powietrznodesantowych, do których często są porównywani, w najbliższym czasie nie będą dysponowali moździerzami holowanymi kalibru 98 mm albo większymi konstrukcjami, np. 120-milimetrowymi.

TRYB SPECJALNY

Wojska obrony terytorialnej potrzebowały konkretnego uzbrojenia i sprzętu wojskowego jak najszybciej, bo zgodnie z planem Ministerstwa Obrony Narodowej już w 2021 roku ta formacja będzie liczyła 53 tys. żołnierzy. Resort zdecydował się więc dać dowództwu WOT-u wyjątkowe uprawnienia. Na podstawie decyzji nr 92/MON ministra obrony narodowej z 28 kwietnia 2017 roku WOT może kupować broń i wyposażenie, których jest gestorem, w trybie innym niż robią to jednostki operacyjne (te stosują się do decyzji nr 72/MON ministra obrony narodowej z 25 marca 2013 roku w sprawie pozyskiwania sprzętu wojskowego i usług dla Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej). Głównie chodzi tutaj o znaczące skrócenie procesów decyzyjnych. Zatem to WOT identyfikują potrzeby sprzętowe (a nie Sztab Generalny Wojska Polskiego), inicjują pozyskanie broni czy specjalistycznego wyposażenia w ramach pilnej potrzeby operacyjnej (a nie Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych) oraz mogą rozpocząć procedurę zakupu pomimo negatywnych opinii innych instytucji (np. SGWP i Inspektoratu Uzbrojenia MON), jeśli taką decyzję podejmie minister obrony.

PIERWSZE KOTY ZA PŁOTY

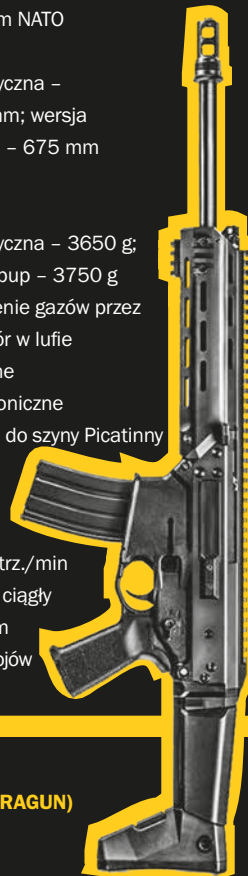
Na podstawie takich uprawnień w pierwszej kolejności podpisano kontrakt (o wartości ponad 500 mln zł) na dostawę karabinków modułowego systemu broni strzeleckiej Grot kalibru 5,56 mm. Zgodnie z umową z 5 września 2017 roku polska armia otrzyma do 2020 roku ponad 53 tys. sztuk tej broni. „Do końca 2018 roku brygady WOT-u dostały 10 650 gro-tów”, informuje ppłk Marek Pietrzak, rzecznik piątego rodzaju sił zbrojnych. Dowództwo jest bardzo zadowolone z tych pierwszych po II wojnie światowej w 100% nowych polskich karabinków. „Groty się sprawdziły. Żołnierze, którzy nigdy nie mieli broni w rękę, uzyskują nadszpodziewanie dobre efekty na strzelnicy”, podkreśla gen. Dębczak. „U tych, którzy posługiwali się kiedyś kbk AK lub berylem, trzeba z kolei wykorzystać pewne nawyki, aby mogli właściwie wykorzystywać nowy karabinek”, dodaje. Uzyskano zatem znakomity efekt szkoleniowy. „Zaangażowanie w szkolenie żołnierzy mających dobry, nowoczesny sprzęt, jest nawet o 50% większe, niż gdybyśmy ich wyposażyli w pozostałości z lat poprzednich”, generał podaje jeden z powodów tego sukcesu.

Przedstawiciele WOT-u podkreślają, że w czasie używania karabinków nie wykryli wad konstrukcyjnych, a jedynie zauważyli takie, które można określić jako eksploatacyjne. Zbyt ostre krawędzie w kilku miejscach, mało ergonomiczne mocowanie pasa nośnego, łatwo uszkadzające się gniazda mocowania

Broń osobista WOT-u

Modułowy system broni strzeleckiej (MSBS) Grot

Amunicja:	5.56x45 mm NATO
Długość z kolbą wysuniętą/złożoną:	wersja klasyczna – 900/843 mm; wersja bezkolbowa – 675 mm
Długość lufy:	406 mm
Masa broni bez magazynka:	wersja klasyczna – 3650 g; wersja bull-pup – 3750 g
Zasada działania:	odprowadzenie gazów przez boczny otwór w lufie
Przyrządy celownicze:	mechaniczne i optoelektroniczne przylączone do szyny Picatinny
Prędkość wylotowa:	890 m/s
Energia wylotowa:	1600 J
Szybkostrzelność teoretyczna:	700–900 strz./min
Rodzaj ognia:	pojedynczy, ciągły
Zasięg:	około 500 m
Pojemność magazynka:	30–60 nabojęw



VIS 100 (DAWNIEJ PR-15 RAGUN)

Kaliber:	9x19 mm
Wysokość:	136 mm bez magazynka; 142 mm z magazynkiem
Długość:	197 mm
Szerokość:	32 mm
Długość lufy:	110 mm
Długość linii celowania:	156 mm
Masa pistoletu bez magazynka:	695 g
Masa magazynka pustego:	90 g
Prędkość wylotowa pocisku:	około 360 m/s
Energia wylotowa pocisku:	około 518 J
Taktyczny zasięg rażenia:	około 150 m
Zasada działania:	krótki odrzut lufy ryglowanej przez przekoszenie lufy
Przyrządy celownicze:	otwarte, szczerbinkowe, wyregulowane na 25 m, kontrastowe/trytowe
Pojemność magazynka:	15 nabojęw



kolby, za słabo zamontowane odbijające łuski. Na podstawie wniosków zebranych podczas szkoleń już opracowano pakiet poprawek do grotów, które znajdują odzwierciedlenie w modelu seryjnym A1 (obecny karabinek ma oznaczenie A0), a Fabryka Broni „Łucznik” w Radomiu już przymierza się do kolejnej wersji, oznaczonej jako A2.

W trybie przyspieszonym zawarto też kontrakt na dostawę systemu amunicji krążącej Warmate. Na podstawie umowy z 20 listopada 2017 roku terytorialsi mieli otrzymać do końca 2018 roku nieokreśloną liczbę dronów. Warmate to niewielki bezałogowiec, który jest uzbrojony w ważącą około kilograma głowicę bojową, np. odłamkowo-burzącą, termobaryczną i kumulacyjną. Dron atakuje cel na zasadzie kamikadze, rozbijając się o niego. W powietrzu aparat może spędzić kilkadziesiąt minut, latając na wysokości około 500 m. Te bezałogowce w grudniu 2018 roku przeszły badania eksploatacyjno-wojskowe. Teraz procedowana jest decyzja o ich wprowadzeniu do służby w brygadach WOT-u, a potem być może w jednostkach wojsk lądowych i sił specjalnych.

WIELKA KUMULACJA

Bardzo intensywny pod względem zakupów dla wojsk obrony terytorialnej był grudzień 2018 roku. W tydzień WOT wzbogaciły się nie tylko w nowe drony rozpoznawcze FlyEye, lecz także nowe pistolety kalibru 9 mm oraz lekkie moździerze LMP-2017 kalibru 60 mm. Umowę o wartości 10 mln zł na dostawę trzech zestawów (opcja na dodatkowe dziewięć) bezałogowych statków powietrznych FlyEye podpisano 3 grudnia. Kontrakt wart 49 mln zł na dostarczenie 20 tys. pistoletów Vis 100 (PR-15 Ragun) – dzień później, a 780 moździerzy LMP-2017 (za 31 mln zł) zamówiono 12 grudnia. „Można oczywiście powiedzieć, że to imponujące tempo, ale to był po prostu efekt wielomiesięcznej pracy. Nie tylko naszej, ale także całego pionu zakupowego MON-u, Sztabu Generalnego WP i rodzajów wojsk”, wskazuje gen. Dębczak.

Jak podkreślali w grudniu minister Mariusz Błaszczak i dowódca WOT-u gen. Kukuła, zarówno pistolety Vis 100, jak i moździerze LMP-2017 kalibru 60 mm, choć kupowane na mocy decyzji nr 92, mają trafić także do jednostek operacyjnych. Bo mimo że nikt z decydentów nie powiedział tego wprost, najmłodszy z rodzajów sił zbrojnych stał się bramą umożliwiającą szybsze niż do tej pory wprowadzenie do wyposażenia armii innowacyjnych, nowych systemów uzbrojenia.

KONTRAKTY WIELKIEJ WAGI

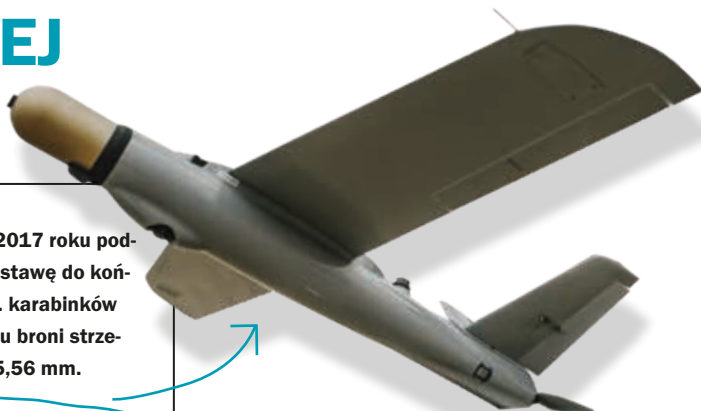
5 września 2017 roku podpisano umowę na dostawę do końca 2020 roku 53 tys. karabinków modułowego systemu broni strzeleckiej Grot kalibru 5,56 mm.

20 listopada 2017 roku podpisano umowę na dostawę amunicji krążącej Warmate.

3 grudnia 2018 roku podpisano umowę na dostawę trzech zestawów (opcja na dodatkowe dziewięć) bezałogowych statków powietrznych FlyEye.

4 grudnia 2018 roku podpisano kontrakt na dostawę w latach 2019–2022 20 tys. sztuk pistoletów Vis 100 kalibru 9 mm (PR-15 Ragun).

12 grudnia 2018 roku zawarto kontrakt na dostawę w latach 2019–2022 780 sztuk lekkich moździerzy LMP-2017 kalibru 60 mm.



APETYT NA WIĘCEJ

Zakup karabinków Grot, pistoletów Vis 100, moździerzy LMP-2017 oraz dronów Warmate i FlyEye nie wyczerpuje zapotrzebowania na sprzęt dla WOT-u. Żeby terytorialsi stali się w pełni wymiarową lekką piechotą, muszą w najbliższym czasie dostać dostosowaną do ich potrzeb i możliwości broń przeciwpancerną. Na razie używają granatników RPG-7, a potrzebują broni lepszej i skuteczniejszej, najlepiej przeciwpancernych pocisków kierowanych, prostych w szkoleniu i działaniu, o zasięgu około 1,5–2 km (spike ma 4 km zasięgu). Choć Inspektorat Uzbrojenia MON przeprowadził już w tej sprawie w 2017 roku dialog techniczny z producentami (program „Pustelnik”), na razie nie wiadomo, kiedy zostanie ogłoszony przetarg.

Podobny problem jest z tzw. inteligentnymi minami przeciwpancernymi, takimi jak np. system Tulipan produkowany przez należące do Polskiej Grupy Zbrojeniowej Bydgoskie Zakłady Elektromechaniczne „Belma”.

Nieco lepiej wygląda sprawa z karabinami wyborowymi oraz maszynowymi kalibru 7,62 mm. W kwietniu 2017 roku MON zamówiło w Zakładach Mechanicznych „Tarnów” prawie 2500 UKM-2000P (kontrakt wart 165 mln zł), z których większość trafi do jednostek wojsk obrony terytorialnej. A we wrześniu ubiegłego roku IU MON podpisał z tą samą firmą kontrakt na dostawę ponad 650 karabinów wyborowych Bor kalibru 7,62 mm, z których też spora liczba jest przeznaczona dla piątego rodzaju wojsk. Dowództwo obrony terytorialnej nie ukrywa jednak, że chciałoby wyposażać swoich żołnierzy w wyborową odmianę grotów (ze zmienionym kalibrem na 7,62 mm). To jednak kwestia przyszłości, bo ta konstrukcja dopiero niedawno została zaprezentowana publicznie (na ubiegłorocznym kieleckim MSPO).

Okrety za rope

Brazylijskiemu ministerstwu obrony brakuje pieniędzy na nowe, duże jednostki wojenne.

T A D E U S Z W R Ó B E L

Przestawiciele zagranicznych firm stocznioowych liczą na to, że rząd nowego prezydenta, Jaira Bolsonaro, wesprze programy okrętowe pieniędzmi z opłat za przybrzeżne odwierty ropy naftowej i gazu. Taka możliwość istnieje od dawna, ale dopiero za poprzedniego prezydenta, Michela Temera, zasilono związaną z marynarką wojenną państwową spółkę Empresa Gerencial de Projetos Navais (EMGEPRON) kwotą będącą równowartością 650 mln dolarów.

KONSORCJA Z EUROPY

Brazylijska marynarka wojenna chce okrętów wielozadaniowych, dysponujących uzbrojeniem artyleryjskim, raketowym i torpedowym, które miałyby bronić m.in. infrastruktury wydobywczej. Takie mają być cztery korwety typu Tamandaré. Od 19 grudnia 2017 roku zaczęto wysyłać zaproszenia do złożenia ofert do 20 firm stocznioowych z całego świata. Czas na to wyznaczono do 18 maja 2018 roku, shortlista miała być ogłoszona 27 lipca 2018 roku, a już 28 września planowano wskazać zwycięzcę. Marynarka wojenna chciałaby bowiem przejąć pierwszą z korwet w latach 2021–2022, a ostatnią w 2024 roku. Jednak niebawem nastąpiło odstępstwo od tego harmonogramu – termin przyjmowania ofert i ogłoszenia shortlisty przesunięto o miesiąc.

Zainteresowanie przetargiem wykazały firmy z Niemiec, Francji, Włoch, Holandii, Szwecji, Wielkiej Brytanii, Ukrainy, Turcji i Indii. Oferty złożyło dziewięć konsorcjów z udziałem podmiotów zagranicznych i miejscowych, gdyż jednym z podstawowych warunków była budowa jednostek w Brazylii. Ostatecznie dopiero w połowie października ogłoszono, że dalej będą rozpatrywane cztery propozycje. Brazylijscy decydenci nie eksperymentowali i zakwalifiko-

wali do następnej fazy przetargu te z udziałem dużych firm zachodnioeuropejskich.

Konsorcjum FLV, w którego skład wchodzi włoskie zakłady Fincantieri i Leonardo (Vard?), startuje w przetargu z projektem korwety wielozadaniowej, na którego podstawie rozpoczęto niedawno budowę pierwszej z czterech jednostek typu Doha dla Kataru. Villegagnon z francuską firmą Naval Group (dawna Direction des Constructions Navales Services) oferuje Brazylijczykom jednostkę opartą na projekcie Gowind, wybranym już przez Egipt i Malezję. Konsorcjum Aguas Azuis z niemieckim ThyssenKrupp Marine Systems GmbH proponuje korwetę projektu MEKO. Z kolei Damen SAAB Tamandaré na czele z holenderskim Damen Schelde Naval Shipbuilding i szwedzkim SAAB AB oferują okręt wywodzący się z projektu Sigma 10514, który zamówiły Indonezja, Maroko i Meksyk. Z gry odpadły zatem firmy z Wielkiej Brytanii, Turcji, Ukrainy oraz Indii.

Przy okazji ogłoszenia shortlisty brazylijska marynarka wojenna podała nowy termin wyłonienia zwycięzcy przetargu – grudzień 2018 roku. Ten też nie został jednak dotrzymany, zatem konsorcja dostały czas do 8 marca 2019 roku na przygotowanie ostatecznych ofert. Zwycięzca zostanie ogłoszony prawdopodobnie podczas wystawy zbrojeniowej LAAD 2–5 kwietnia 2019 roku w Rio de Janeiro. Jednym z powodów opóźnień programu są pieniądze. Koszt budowy czterech jednostek oszacowano na 1,6 mld dolarów, czyli według kursu z początku stycznia tego roku, na około 6 mld brazylijskich reali.

BUDŻET PRZETRZANIA

Problemy z finansowaniem programów modernizacyjnych mają też inne rodzaje brazylijskich sił zbrojnych, choć

WYMAGANIA DLA KORWETY TYPU TAMANDARÉ

Wyporność maksymalna – 2790 t
Długość całkowita – 103,4 m
Długość w linii wodnej – 94,2 m
Szerokość maksymalna – 12,9 m
Szerokość w linii wodnej – 12,06 m
Zanurzenie – 4,25 m
Prędkość maksymalna – 25 w.



budżet resortu obrony tego państwa należy do największych na świecie. W 2018 roku było to 92,6 mld reali, czyli 26,9 mld dolarów, niemniej jednak z powodów ekonomicznych nastąpił spadek w stosunku do 2017 roku aż o 3 mld reali.

Sytuacja wydaje się katastrofalna, bo większość budżetu obronnego od lat jest „przejadana”. Wydatki na personel i sprawy socjalne pochłonęły w 2018 roku 74,7 mld reali, czyli 80,6% budżetu. Rok wcześniej było to 73,8%. Resort obrony musi bowiem finansować nie tylko 347-tysięczne siły zbrojne, w tym 154 tys. żołnierzy zawodowych, lecz także gigantyczną „armię” 387 tys. emerytów i rencistów.

Jakie były konsekwencje ubiegłorocznych cięć? Na wydatki kapitałowe, w tym zakupy sprzętu wojskowego, przewidziano zaledwie 1,9% budżetu, podczas gdy rok wcześniej ponad 10%. Jedyne pocieszenie dla brazylijskich wojskowych są zapowiedzi, że w najbliższych latach budżet ma wzrastać o 3,9% rocznie, do 112 mld reali w 2023 roku. Niestety nie wiadomo, czy owego wzrostu nie zje inflacja.

W sytuacji, gdy znacząca część środków finansowych marynarki wojennej jest przeznaczana na realizowany już od kilku lat program budowy czterech konwencjonalnych okrętów podwodnych opartych na francuskim projekcie Scorpène, a w perspektywie do 2029 roku jest planowana jednostka o napędzie atomowym, trudno o pieniądze na następne duże projekty okrętowe. Brazylia potrzebuje zaś silnej floty, by chronić akwen morski, który obejmuje 200-milową wyłączną strefę ekonomiczną o powierzchni 3,5 mln km². Pod jego dnem odkryto bogate złoża surowców energetycznych. Brazylijscy politycy liczą na to, że ich eksploatacja pozwoli nie tylko zaspokoić krajowe potrzeby, jeśli chodzi o paliwa, ale też dzięki eksportowi zostaną pozyskane pieniądze na rozwój gospodarczy. Problemy ekonomiczne Brazylii powodują, że siły zbrojne, w tym marynarka wojenna, odczuwają stały niedostatek środków finansowych na zakupy uzbrojenia. O tym, że kwestie obronności będą silniej powiązane z przemysłem wydobywczym, świadczą decyzje personalne Bolsonaro. Na ministra górnictwa i energetyki został wyznaczony przez prezydenta (który zresztą sam jest emerytowanym komandorem) adm. Bento Costa Lima Leite.

Środki z eksploatacji surowców energetycznych mogą przynieść obronności dodatkowe kilkaset

PETROLEOS BRASILEIROS



milionów dolarów rocznie. Brazylia zajmuje niewątpliwie miejsce w świecie, jeśli chodzi o wydobycie ropy naftowej, wyprzedzając Kuwejt. Większość z wydobywanych dziennie 3,4 mln baryłek przypada na państwowy koncern Petrobras, który do 1997 roku był monopolistą. Firma zapowiada, że w tym roku zwiększy dzienne wydobycie z 2 mln do 2,4 mln baryłek.

Ważnym atutem Brazylii są potężne złoża ropy znajdujące się na dużych głębokościach na terenie jej wyłącznej strefy ekonomicznej – zasoby te szacowane są na około 20,5 mld baryłek. Na przykład pole Tupi jest oddalone o ponad 300 km od wybrzeża stanu Rio de Janeiro, gdzie Atlantyk ma głębokość 2188 m, a ropa znajduje



WAŻNYM ATUTEM BRAZYLII SĄ POTEŻNE ZŁOŻA ROPY ZNAJDUJĄCE SIĘ NA DUŻYCH GŁĘBOKOŚCIACH NA TERENIE JEJ WYŁĄCZNEJ STREFY EKONOMICZNEJ – ZASOBY TE SZACOWANE SĄ NA OKOŁO **20,5 MLD** BARYŁEK

się na ponad 5000 m w głąb ziemi. Jej wydobycie jest kosztowne, co powoduje, że poniżej pewnej ceny za baryłkę staje się nieopłacalne.

NIEDOINWESTOWANA FLOTA

Brazylijska marynarka wojenna jest największa na kontynencie, ale ma mniejszy potencjał bojowy niż floty wojenne wielu państw Azji i Europy. Większość jej dużych okrętów wojennych, desantowców i fregat, stanowią jednostki mające 40–50 lat, wiele z nich zostało odkupionych od innych krajów. Najmłodsza, czyli będący flagowym okrętem śmigłowcowiec desantowy „Atlântico”, który wszedł do służby w ubiegłym roku, wcześniej, jako „Ocean”, przez 20 lat należała do Royal Navy. Jednostki Tamandaré będą następcą korwet typu Inhaúma. W 1981 roku brazylijski rząd

przyjął plan budowy 16 okrętów tej klasy, który – w dużej mierze z powodu braku funduszy – pozostał na papierze. Ostatecznie w latach 1986–1994 udało się zbudować i włączyć do marynarki wojennej tylko cztery korwety. Dwie z nich wycofano zaledwie po kilkunastu latach służby. W 1994 roku rozpoczęto budowę piątej, większej korwety „Barroso”. Problemy z pieniędzmi spowodowały, że weszła ona do służby dopiero w 2008 roku.

Z braku funduszy Brazylijczycy zdecydowali się na budowę znacznie tańszych patrolowców. W latach 1994–2009 wcielono do służby tuzin małych, 217-tonowych jednostek typu Port of Grajaú. W 2006 roku uruchomiono, wykorzystując francuski projekt, program budowy 500-tonowych okrętów typu Macaé; dwa patrolowce są w służbie, a cztery w budowie. Docelowo ma ich powstać 27. Brazylijczycy skorzystali też z okazji i w 2012 roku kupili u Brytyjczyków trzy duże patrolowce typu River, z których zrezygnował Trynidad i Tobago. Wcześniej, w latach dziewięćdziesiątych, nabyli siedem 864-tonowych trałowców wycofanych z Royal Navy, które przekształcili w patrolowce. Cztery z nich są nadal w służbie jako typ Bracui. Jednak w związku z ograniczoną autonomią działania i słabym uzbrojeniem patrolowce nie zapewnią pełnego bezpieczeństwa platformom wydobywczym. Potrzebne są nowe korwety i fregaty. ■

KRZYSZTOF WILEWSKI

**Zasady gry
w podwodnym wyścigu
zbrojeń są proste.
Ja – okręt podwodny –
się chowam, ty –
wszystkie okręty
nawodne i lotnictwo –
mnie szukasz. Dlatego
największym wyzwaniem
konstruktorów jednostek
podwodnych jest
sprawienie, aby były
one niewidzialne.**

WYCISZYĆ DRAPIEŻNIKI

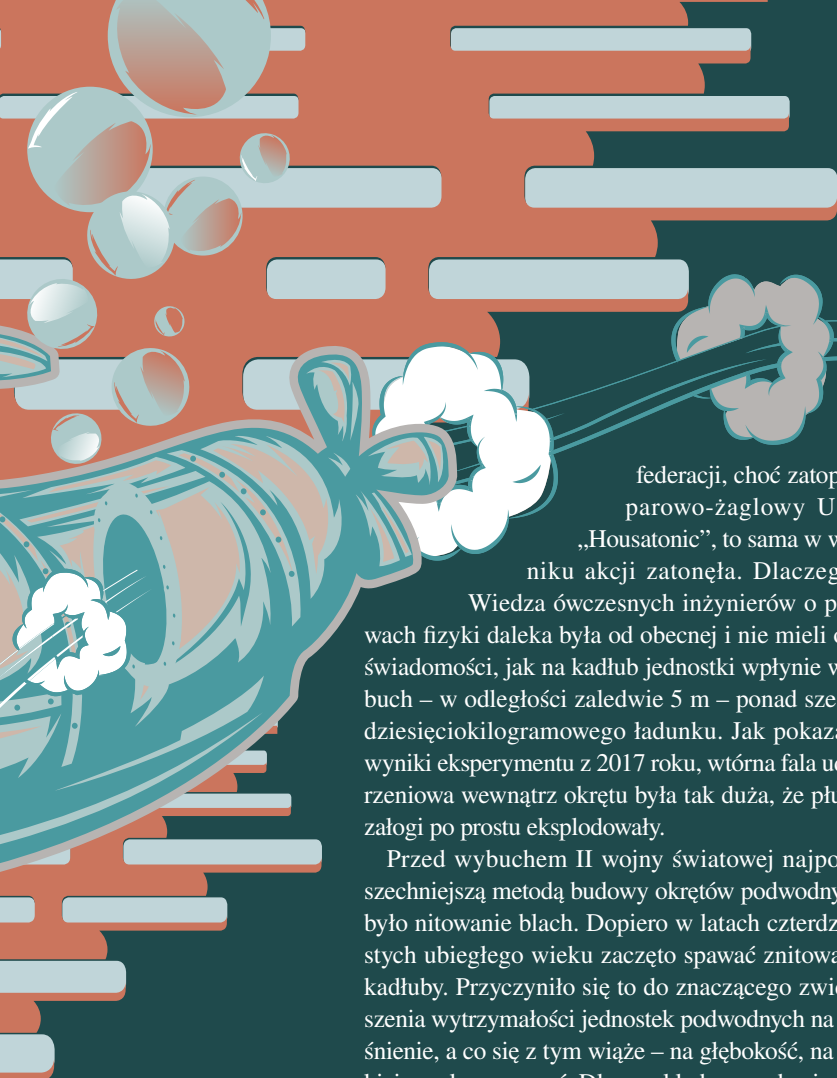


Dla wojskowych strategów okręty podwodne (OP) to broń doskonała. Jedna, przyczajona w morskich głębinach jednostka, w każdej chwili może zaskoczenia zaatakować niczego niespodziewającego się przeciwnika i potem znów zniknąć z pola widzenia. Straty, jakie zadawały niemieckie U-Booty flocie aliantów w początkowej fazie bitwy o Atlantyk, to modelowy przykład takiej walki. Owszem, z czasem okazało się, że oceaniczna toń wcale nie jest dla OP taka bezpieczna, gdyż człowiek zbudował sonar – urządzenie, które może „zajrzeć” w morskie głębin. Ale okręty podwodne nie zostały z tego powodu odesłane na emeryturę. Zmieniło się jedynie ich znaczenie. Dziś, uzbrojone w pociski dalekiego zasięgu, są symbolem mocarstw mogących szachować inne państwa błyskawicznym, w niektórych wypadkach nuklearnym, kontruderzeniem.

Okrętom podwodnym od początku towarzyszył technologiczny wyścig. Na przełomie XVII i XVIII wieku sukcesem było,

gdy udało się tym jednostkom bezpiecznie przepłynąć pod wodą większy dystans. Potem, w XIX wieku, największym wyzwaniem dla konstruktorów OP było uczynienie z nich funkcjonalnych maszyn wojennych. Złotym wiekiem okazało się dla nich XX stulecie i II wojna światowa. Od tego czasu aż do dziś twórcom tych okrętów przyświeca jeden zasadniczy cel: uczynić je niewidzialnymi dla przeciwnika. A kluczem do tego jest materiał, z jakiego buduje się te jednostki.

Na początku, w XVII i XVIII wieku, do ich budowy używano jedynie drewna, które uszczelniano smołą i sznurami. W połowie XIX wieku, gdy stal zastąpiła drewno, przepłynięcie pod wodą z punktu A do punktu B stało się czymś oczywistym. Wówczas to zaczęło się zbrojenie OP. Atak na statek lub okręt przeciwnika polegał na przyczepieniu do „ofiary” min i ucieczce w te pędy. Jak karkołomna była to sztuka, najlepiej pokazuje los pierwszego okrętu podwodnego, który z sukcesem zakończył misję bojową – H.L. „Hunley”. Jednostka Kon-



federacji, choć zatopila parowo-żaglowy USS „Housatonic”, to sama w wyniku akcji zatонуła. Dlaczego?

Wiedza ówczesnych inżynierów o prawach fizyki daleka była od obecnej i nie mieli oni świadomości, jak na kadłub jednostki wpłynie wybuch – w odległości zaledwie 5 m – ponad sześćdziesięciokilogramowego ładunku. Jak pokazały wyniki eksperymentu z 2017 roku, wtórna fala uderzeniowa wewnątrz okrętu była tak duża, że płuca załogi po prostu eksplodowały.

Przed wybuchem II wojny światowej najpowszechniejszą metodą budowy okrętów podwodnych było nitowanie blach. Dopiero w latach czterdziestych ubiegłego wieku zaczęto spawać znitowane kadłuby. Przyczyniło się to do znaczącego zwiększenia wytrzymałości jednostek podwodnych na ciśnienie, a co się z tym wiąże – na głębokość, na jakiej mogły operować. Dla przykładu, przedwojenne amerykańskie okręty podwodne typu S mogły operować na głębokości około 60 m. Podstawowe okręty z czasu wojny, typu Gato, już na 90 m (a w razie ataku mogły zejść na krótko na głębokość około 130 m). A pierwsze powojenne okręty typu Tang mogły operować aż na 215 m! Oczywiście zawdzięczano to nie tylko zmianie sposobu łączenia stali, z której je budowano, lecz przede wszystkim samemu metalu.

MOCNE JAK STAL

Amerykanie do budowy Tangów wykorzystywali stale wysokowytrzymałe typu high yield – HY, a konkretnie model HY-45. Stale HY, dzięki niskiej zawartości węgla (od 0,12 do 0,20%), dodatkowo nie tylko niklu (od 2,0 do 3,5%), lecz także chromu, molibdenu, miedzi i manganu, charakteryzowały się dużą plastycznością, rozciągalnością i dobrą spawalnością przy zachowaniu wysokiej odporności na korozję atmosferyczną. Budowa nowych okrętów – o lepszych właściwościach (większej głębokości operacyjnej), była możliwa dzięki wynalazkom specjalistów od metalurgii. Wytrzymałość na nacisk stali HY-80 (następczyni HY-45) pozwalała na operowanie już na głębokości 400 m, z kolei stali HY-100 – na ponad 500 m. Pierwszym okrętem podwodnym zbudowanym ze stali HY-80 był USS „Thresher” (SSN-593, zwodowany

w 1960 roku), jednocześnie był pierwszym amerykańskim OP napędzanym reaktorem atomowym. Z kolei pierwszym okrętem zbudowanym ze stali HY-100 jest USS „Seawolf” (SSN-21, zwodowany w 1995 roku), który może operować nawet na 600 m głębokości.

Rodzaj stali, z jakiej budowano okręty, oraz powłoki, jakimi je pokrywano, aby zmniejszyć wykrywalność przez systemy akustyczne, to obok napędów główne pole technologicznej rywalizacji producentów. O ile Amerykanie i Brytyjczycy postawili na wspomnianą już stal HY, o tyle Szwedzi (i np. Australijczycy w odniesieniu do okrętów typu Colinns) wybrali stal mikroskopową, która charakteryzuje się podwyższonym stężeniem manganu, niewielkimi ilościami tytanu, niobu i wanadu, a także zmniejszoną zawartością węgla, siarki i fosforu. Francuzi zaś do budowy okrętów podwodnych typu Le Triomphant użyli stali typu 100 HLES, która pozwalała kadłubom wytrzymywać ciśnienie 981 MPa (i operować na głębokości ponad 500 m). Podobne właściwości ma niemiecka stal austenityczna o podwyższonej wytrzymałości (stal 1.3964), z której obecnie budowane są m.in. okręty typu U-212.

GRA W CHOWANEGO

Jeśli zaś chodzi o powłoki, jakimi pokrywane są okręty podwodne, aby „schować” je przed sonarami, to każde z państw je produkujących bardzo dba, aby na światło dzienne przedostało się jak najmniej informacji na ten temat. Wiadomo, że Rosjanie używali (i prawdopodobnie robią to nadal) do tego gumowych płyt, w których zostały zatopione pęcherzyki powietrza. Podobnym tropem niedawno poszli Francuzi. Opracowane przez nich pokrycie anechoiczne to również rodzaj materiału syntetycznego o grubości kilku milimetrów, w którym zatopiono pęcherzyki powietrza. Eksperci wojskowi spekulują, że Francuzom udało się uzyskać imponujące wyniki w technologii stealth. Inną drogą idą obecnie Amerykanie. Na zlecenie armii naukowcy z Massachusetts Institute of Technology (MIT) opracowali metapowłokę, która pochłania fale ultradźwiękowe sonarów. W jaki sposób? Materiał chroniący składa się z niezliczonej ilości niewielkich sześcianów, rozdzielonych między sobą systemem koncentrycznych kanalików. Taka budowa sprawia, że ultradźwięki nie odbijają się od okrętu, tylko rozchodzą w labiryncie kanalików. Bardzo ogólne wyniki badań nad metapowłoką, które ukazały się w prasie branżowej sześć lat temu, są ostatnimi oficjalnymi danymi na jej temat. Ciszka, która potem zapadła, jeśli chodzi o metapowłoki z MIT, jest najlepszym dowodem na to, że były one dla US Navy więcej niż dobre.

Przed wybuchem II wojny światowej najpowszechniejszą metodą budowy okrętów podwodnych było nitowanie blach. Dopiero w latach czterdziestych ubiegłego wieku zaczęto spawać znitowane kadłuby.

BTR - 152

Równolegle z BTR-40 opracowywano większy transporter, który wszedł do produkcji w 1950 roku. On również miał odkryty przedział desantowy. Dach pojawił się dopiero w 1957 roku. W latach 1952–1957 polskie wojsko otrzymało ich 400 w różnych wersjach.

- ❶ Masa (BTR-152) – 8,6 t
- ❷ Układ napędowy – 6×6
- ❸ Prędkość maksymalna – 75 km/h
- ❹ Załoga – 2+17
- ❺ Uzbrojenie – karabin maszynowy SG-43/SGMB kalibru 7,62 mm



ROSOMAK I RESZTA

Wojsko Polskie ma do dyspozycji kilkaset kołowych transporterów opancerzonych Rosomak. Wcześniej, począwszy od lat pięćdziesiątych XX wieku, w służbie były trzy inne typy tych wozów bojowych.



BTR - 40

- ❶ Masa (BTR-40) – 5,3 t
- ❷ Układ napędowy – 4×4
- ❸ Prędkość maksymalna – 80 km/h
- ❹ Załoga – 2+8
- ❺ Uzbrojenie – karabin maszynowy SG-43 kalibru 7,62 mm

W 1948 roku w Związku Sowieckim zaczęto produkcję KTO z odkrytym przedziałem desantowym. Zakryto go w wersji BTR-40B w 1956 roku. Do 1960 roku wyprodukowano 8,5 tys. BTR-40 różnych wersji. W latach 1952–1955 do Polski dostarczono 400 egz.



SKOT

- ❶ Masa – 12,9 t
- ❷ Układ napędowy – 8×8
- ❸ Prędkość maksymalna – 95 km/h
- ❹ Załoga – 2+10
- ❺ Uzbrojenie (SKOT-2AP) – wielkokalibrowy karabin maszynowy KPWT kalibru 14,5 mm i karabin maszynowy PKT kalibru 7,62 mm

Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Czechosłowacja i Polska wspólnie opracowały pływający średni kołowy transporter opancerzony, czyli SKOT. Do 1971 roku powstało 4,5 tys. SKOT-ów, w tym 2,5 tys. dla Wojska Polskiego.



**BTR-152 BYŁ
TRANSPORTEREM, KTÓRY
ZMOTORYZOWAŁ
PODODZIAŁY PIECHOTY.
PRZEBUDOWYWANO GO
PÓŹNIEJ W POJAZDY
SPECJALISTYCZNE.**

*W konstrukcji
BTR-152 wyko-
rzystano podze-
spoty terenowego
samochodu cięża-
rowego ZiS-151.*

OPRAC. TADEUSZ WRÓBEL
GRAF. MARCIN DMOŃSKI



Rosomak ma dwa pędniki
śrubowe napędzające pojazd
podczas pływania.



Wersja bojowa rosomaka jest wyposażona w dwuosobową
wieżę Hitfist 30P z armatą kalibru 30 mm.

W 2003 roku
podpisano umowę
z fińską Patrią na dostawę
690 transporterów AMV w wer-
sji pływającej. Licencyjną pro-
dukcję wozu nazwanego Roso-
mak rozpoczęło w Siemianowi-
cach Śląskich.

- ❶ Masa (wersja bojowa) – 22,5 t
- ❷ Układ napędowy – 8x8
- ❸ Prędkość maksymalna – 100 km/h
- ❹ Załoga (wersja bojowa) – 3+8
- ❺ Uzbrojenie (wersja bojowa) – armata
Bushmaster Mk 44 kalibru 30 mm
i karabin maszynowy UKM 2000C kalibru
7,62 mm

KTO Rosomak





Fundacja
Dorastaj z Nami



POMÓŻ

tata
~~strażak, żołnierz,~~
~~policjant~~ – zginął
na służbie

W podziękowaniu za ich służbę
PRZEKAŻ DAROWIZNĘ dla
osieroconych dzieci.

nr konta: 29 1030 1508 0000 0008 1545 4006

w tytule przelewu wpisz: polska zbrojna

więcej na: www.dorastajznami.org



PO

CHINY

Wynalazki dla specjalsów

Siły zbrojne Chin pracują nad całkowicie nowymi typami broni ręcznej dla jednostek specjalnych chińskiej armii. Według dziennika „Global Times” trafiło ono do testów w Brygadzie Operacji Specjalnych z 76 Grupy Armii, która stacjonuje w okręgu wojskowym Lanzhou, obejmującym m.in. obszary stwarzające władzom Chin problemy



polityczne – Sinciang i północno-zachodni Tybet.

„Łamany” pistolet maszynowy pozwala strzelcowi prowadzić ogień, gdy on sam pozostaje ukryty za ścianą. Cel widzi bo-

wiem na monitorze. To rozwiązanie ma zwiększyć bezpieczeństwo chińskich żołnierzy podczas starć w terenach zurbanizowanych. W nożu naboje zostały ukryte w rękojeści i można ich użyć podczas walki wręcz. Z kolei granatnik zintegrowany z karabinem automatycznym **QTS-11**, nazywany strategicznym karabinem, zwiększył siłę ognia. Podobne rozwiązania powstały już w USA i Korei Południowej, a w tym drugim państwie broń taka weszła do uzbrojenia. Jeśli nowe systemy sprawdzą się w wojskach specjalnych, z czasem trafią również do innych jednostek. W

USA

Kolorowa noktowizja

Wyposażenie noktowizyjne – gogle, celowniki czy kamery – jest już normalnością w nowoczesnych siłach zbrojnych.

Dzięki niemu żołnierze widzą więcej podczas działań w ciemnościach. Niemniej jednak monochromatyczny obraz z charakterystycznym odcieniem zieleni, jaki uzyskują przy użyciu wymienionych urządzeń, nie jest idealny. Nawet na krótkich dystansach trudno dostrzec wiele szczegółów, które mogą okazać się kluczowe w walce, lub odróżnić własnych żołnierzy od przeciwnika. Stąd wiele firm pracuje nad takim sprzętem, który zapewni obraz w kolorach. Taki warunek spełnia czujnik X27 Osprey, amerykańskiej firmy SPI Corporation, nawet przy bardzo słabym oświetleniu. W tym rozwiązaniu zrezygnowano z lampy wzmacniającej obraz na rzecz sensora w technologii CMOS, czyli układów scalonych składających się

z tranzystorów polowych z izolowaną bramką, o przeciwnym typie przewodnictwa i tak połączonych, że w ustalonym stanie logicznym przewodzi tylko jeden z nich. Taki sensor przetwarza fotony na elektrony, które algorytm dekoduje, i powstaje obraz cyfrowy. Według SPI jej urządze-



**GIT DOLENTO
CZUJNIK X27
OSPREY zapewni
obraz w kolorach
nawet przy bardzo
słabym oświetleniu.**

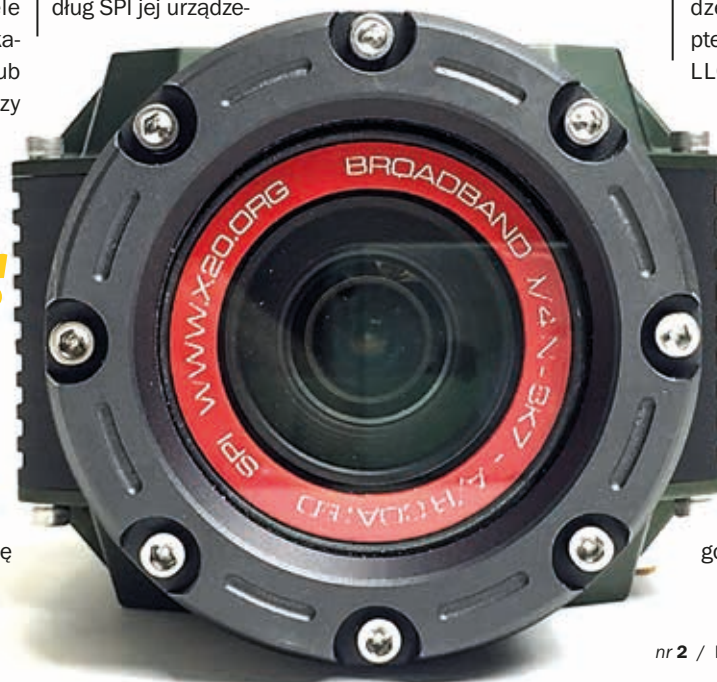


nie może wzmocnić naturalną jasność światła o 85 tys. razy.

Innym rozwiązaniem kolorowej noktowizji są specjalne filtry do tradycyjnych urządzeń. Przykładem jest adapter CVA-14 firmy Chromatix, LLC ColorTAC Color Night

Vision. Jest on przeznaczony do współpracy z monokulem noktowizyjnym AN/PVS-14, umieszczanym na broni lub hełmach. APV-14 to dwa filtry montowane z przodu i tyłu noktowizora. Armia USA pracuje już nad sposobami łączenia obrazów z celowników termowizyjnych z tymi, które żołnierze widzą przez gogle noktowizyjne. TW

SPI CORPORATION



STRATEGIE

/ PAKISTAN



TOMASZ OTŁOWSKI

SCENARIUSZ ZAPISANY W HADISACH

Komu zależy na
wywołaniu religijnego
fermentu i islamistycznej
rewolty w Pakistanie?

K. M. CHAUDHRY/AP/EAST NEWS

W

ybory parlamentarne w Pakistanie, które odbyły się 25 lipca 2018 roku, były już drugą z rzędu elekcją w tym kraju przeprowadzoną w konstytucyjnym terminie. Zakończone zwycięstwem ugrupowania Pakistan Tehrik-e-Insaf (Pakistański Ruch na rzecz Sprawiedliwości – PTI), kierowa-

nego przez dawną gwiazdę krykieta Imrana Khana, który w sierpniu 2018 roku objął stanowisko premiera kraju, ponownie zwróciły uwagę opinii międzynarodowej na sytuację w Pakistanie, a także w regionie Azji Południowej. W kraju, w którym przez zdecydowaną większość siedemdziesięcioletniej historii dyktatorską władzę sprawowali wojskowi, wolne i demokratyczne wybory do parlamentu, przeprowadzone po odbyciu kolejnej jego pełnej kadencji, faktycznie mogą być czymś godnym uwagi.

NA DRODZE DO RADYKALIZACJI

Nowy rząd Pakistanu będzie się zmagał z wieloma problemami, zarówno ze względu na sytuację międzynarodową, jak i różne aspekty polityki wewnętrznej. Jedną z największych bolączek Islamabadu staje się coraz wyraźniejsza alienacja ze strony Zachodu, szczególnie Stanów Zjednoczonych. Dwuznaczna rola Pakistanu w walce z islamskim ekstremizmem i terroryzmem doprowadziła do kryzysu w relacjach z USA, czego skutkiem jest zmniejszenie przez Waszyngton finansowego wsparcia. Pakistańczycy z niepokojem obserwują też postępujące zbliżenie strategiczne między USA a Indiami. Poza tym niekorzystnie na ich pozycję międzynarodową wpływają problemy Arabii Saudyjskiej, ich bliskiego sprzymierzeńca w świecie muzułmańskim.

Wszystko to sprawia, że Pakistan coraz bardziej zbliża się, m.in. w wymiarze ekonomicznym, do Chin, od lat będących jego największym sojusznikiem. Wyzwaniem będą zaś relacje z Afganistanem, gdzie w najbliższym czasie może dojść do przełomu politycznego związanego z negocjacjami z talibami. Ten kraj dla Islamabadu ma specjalne znaczenie geopolityczne, od lat jest bowiem trakto-

wany jako „strategiczny w kontekście zagrożenia indyjskiego”. Pakistan nigdy nie zaprzestanie więc mieszania się w sytuację w Afganistanie, a wojna w tym kraju nie zostanie zakończona bez woli i udziału Islamabadu.

Jeśli chodzi o politykę wewnętrzną, nowy rząd Islamskiej Republiki Pakistanu będzie musiał zmierzyć się przede wszystkim z problemami gospodarczymi, zwłaszcza z szybko powiększającym się deficytem budżetowym, rosnącym bezrobociem oraz wysoką inflacją. Kondycja ekonomiczna państwa ma zaś ścisły związek z kurczącymi się zasobami wody w regionie. Choć zakrawa to na paradoks, w kraju niemal co roku nękanym w porze monsunowej katastrofalnymi powodzią, statystycznie ilość wody dostępnej dla jednego mieszkańca jest w Pakistanie niemal dwukrotnie mniejsza niż w gębiej suszami równinowej Somalii.

Jeśli ta sytuacja nie ulegnie zmianie, to według ekspertów ONZ już za kilka lat problem dostępności wody dla Pakistańczyków osiągnie znamiona kryzysu humanitarnego na niespotykaną w historii skalę. Na inwestycje infrastrukturalne, które mogłyby zapobiec katastrofie, potrzebne są gigantyczne kwoty. Pakistanu na to nie stać. I nic dziwnego, skoro same tylko wydatki na bezpieczeństwo i obronę narodową tego kraju od dawna oscylują rokrocznie w granicach 20% budżetu federalnego, a w bieżącym roku budżetowym sięgnęły już nawet 26%.

Sporą część państwowych pieniędzy pochłaniają cele socjalne, wynikające z dużego przyrostu naturalnego. Pakistan należy do najszybciej zaludniających się państw Azji, ze współczynnikiem dzietności na poziomie 3,65. Liczba ludności kraju potroiła się od 1960 roku i wynosi już ponad 207 mln. Niemal dwie trzecie Pakistańczyków to ludzie młodzi – do 30. roku życia. Jeśli weźmie się też pod uwagę wysokie bezrobocie (oficjalne dane mówią o 13%, ale większość niezależnych ekspertów ocenia jego faktyczny poziom na 30%), to nie dziwi, że pojawia się w tym kraju tak wiele radykalnych postaw społeczno-politycznych i ideologicznych. Dotyczy to szczególnie młodych mężczyzn, którzy już na starcie w dorosłe życie pozbawieni są szans na założenie rodziny. Nie mają żadnych perspektyw zawodowych, przez co nie stać ich na tradycyjne w islamie



Tehrik-e-Taliban Pakistan, czyli Ruch Talibów Pakistanu (na zdjęciu jego lider Mufti Noor Wali Mehsud), wciąż uważany jest przez wielu decydentów za organizację zagrażającą interesom państwa.



AP/EAST NEWS

UBIEGŁOROCZNE WYBORY DO PARLAMENTU, W KTÓRYCH WYGRAŁA PARTIA KIEROWANA PRZEZ IMRANA KHANA, PONOWNIE ZWRÓCIŁY UWAGĘ OPINII MIĘDZYNARODOWEJ NA PAKISTAN

wiano (mahr) dla przyszłej żony. Młodzi Pakistańczycy masowo się radykalizują i zasilają szeregi którejś z islamistycznych organizacji, jakich dziesiątki działają w tym kraju.

Z roku na rok rośnie zatem poziom radykalizacji politycznej i religijnej społeczeństwa pakistańskiego, a wraz z nim przyzwolenie na najbardziej nawet brutalne działania wobec wszystkich wrogów islamu, szczególnie szytów, hinduistów oraz chrześcijan. Te nieliczne społeczności (np. chrześcijanie stanowią zaledwie 2% ludności) są celem nieustannych ataków i zamachów ze strony islamistów. Symbolem prześladowań chrześcijan w Pakistanie stała się Asia Bibi, która spędziła w więzieniu w niehumanitarnych warunkach niemal dekadę. Skazano ją na karę śmierci za rzekome zniesławienie islamu na pod-

stawie osławionej ustawy o bluźnierstwie. W październiku 2018 roku została ułaskawiona, ale wciąż musi się wraz z rodziną ukrywać przed ekstremistami, bo władze nie pozwalają jej opuścić kraju.

CIEMNE SIŁY ISLAMU

Wielu ekspertów uważa, że Pakistan jest dzisiaj znacznie bardziej zradykalizowany religijnie niż jakiegokolwiek inne muzułmańskie, sunnickie państwo świata (nie wyłączając wahhabickiej Arabii Saudyjskiej). Sytuacja taka nie powinna jednak dziwić, bo już u początków niepodległego bytu, jakim było to państwo przed siedmioma dekadami, jego twórcy świadomie wybrali islam jako czynnik, który ma trwale spajać i jednoczyć





W czerwcu 2009 roku pakistańska katoliczka Asia Bibi została skazana na śmierć za bluźnierstwo przeciwko islamowi. Kilka jej muzułmańskich koleżanek z pracy uznało, że woda ze studni, z której się napiła, stała się „nieczysta”. W październiku 2018 roku Asia Bibi została uwolniona od zarzutów i miesiąc później opuściła więzienie. Od tego czasu się ukrywa.

silnie zróżnicowane etnicznie i kulturowo społeczeństwo nowo powstałego kraju.

Twórcy tej idei nie uwzględnili jednak faktu, że ma ów czynnik w Pakistanie swe „ciemne siły” – tzw. deobandyzm, czyli ruch filozoficzno-teologiczny będący w istocie południowoazjatycką wersją saudyjskiego wahhabizmu. Konserwatywny i ultraortodoksyjny w sferze teologii i doktryny religijnej oraz radykalny w wymiarze politycznym, deobandyzm stał się zaczynem niekorzystnych procesów społecznych, które trawia tamtejsze społeczeństwo do dzisiaj. Islamiści szybko wybili się w tym kraju na liczącą się siłę polityczną, a ich rolę umacnia wykorzystywanie ich przez część instytucji państwa jako superbroni w nieustającej rywalizacji z Indiami.

Współczesna aktywność islamistów w Pakistanie to właśnie skutek wieloletniej strategii Islamabadu (bez względu na typ istniejących rządów), zakładającej tolerowanie, a nawet kreowanie i wspieranie struktur dżihadu. I choć już od kilku dekad wiadomo, że w dłuższej perspektywie jest ona zabójcza, Pakistan nie zdobył się na odwagę przeprowadzenia radykalnych zmian w swej polityce. Mniej więcej ćwierć wieku temu wśród pakistańskich decydentów pojawiło się za to osławione rozróżnienie na dobrych i złych islamistów. Ci pierwsi atakują głównie Indie (a także Zachód, jak np. Al-Kaida czy afgańscy talibowie), ale wobec Pakistanu są lojalni. Z kolei ci drudzy, jak część talibów z Tehrik-e-Taliban Pakistan (Ruch Talibów Pakistanu – TTP), zagrażają interesom państwa, a także otwarcie dążą do obalenia jego obecnych władz.



Doktryna zakładająca taki podział już wiele razy została skompromitowana, m.in. po zamachach w Mumbaju w 2008 roku czy po ujawnieniu faktu, że Osama bin Laden ukrywał się w pakistańskim mieście Abbottabad, zaledwie kilka przecznic od elitarnej akademii wojskowej.

Wszystko to nie wpłynęło jednak w istotny sposób na zmianę polityki Islamabadu – podział islamskich radykałów na dobrych i złych jest już bowiem zbyt głęboko zakorzeniony w sposobie myślenia elit pakistańskich. Wynika też z percepcji głównych zagrożeń dla bezpieczeństwa Pakistanu, wśród których na pierwszym miejscu znajdują się Indie, ale swoją rolę odgrywają tu też szeroko rozumiany Zachód oraz szyicki (a więc heretycki) Iran.

Nie powinno więc dziwić, że dobrzy islamiści wciąż stanowią perspektywiczne narzędzie polityki zagranicznej Islamabadu, którego w każdej chwili można użyć przeciwko wrogom. Dla uważnych obserwatorów rozwoju wydarzeń w Pakistanie nie może też być zaskoczeniem fakt, że nawet najbardziej prodemokratyczne i „liberalne” ugrupowania (przynajmniej w wymiarze ich programu politycznego i stosowanej retoryki) wciąż mają nadzieję na nawrócenie tych spośród pakistańskich islamistów,



Zwolennicy ekstremistycznej partii islamistycznej Tehrik-e-Labbaik próbują wyrzucić preś na sędziów wydających wyrok na Asię Bibi, którą oskarżono za bluźnierstwo. Afisz w centrum głosi: „Islamską karą za bluźnierstwo jest ścięcie”. Lahore, 19 października 2018 roku



AP / K. M. CHAUDARY / EAST NEWS

którzy zeszli na złą drogę. Dotyczy to także obecnego premiera kraju, Imrana Khana, który zyskał złośliwy przydomek „Taliban Khan”, ze względu na podnoszone w kampanii wyborczej hasło resetu polityki państwa wobec TTP.

U KOŃCA CZASÓW

Relacje władz w Islamabadzie z islamistami różnej maści znacznie skomplikowały się w 2014 roku, gdy powstała afgańsko-pakistańska prowincja (wilajet) Chorasán Państwa Islamskiego (IS). Nazwa tej struktury nie jest przypadkowa. Chorasán to dawna, historyczna kraina położona na części dzisiejszych terytoriów Afganistanu, Pakistanu, Iranu, Uzbekistanu i Turkmenistanu. Zgodnie z zapowiedziami Mahometa to stamtąd „u końca czasów” ma wyruszyć pod czarnymi sztandarami dżihadu ostateczna, zwycięska wyprawa wynawców Allaha na Jerozolimę.

Zarówno dla Al-Kaidy, jak i dla Państwa Islamskiego region afgańsko-pakistański ma więc olbrzymie znaczenie symboliczne, religijne i ideologiczne, wynikające z islamskiej eschatologii. Dla ludzi Zachodu to czyste fantazje, ale islamscy radykałowie traktują takie opowieści wyjątkowo poważnie – wystarczy przypomnieć, czym było dla IS małe miasteczko Dabik w północnej Syrii, gdzie miało dojść „u końca czasów” do głównej bitwy między muzułmanami a siłami zła. W efekcie teren Azji Południowej (a także Środkowej) przeistacza się

w kolejną po Lewancie (Syria), Afryce Północnej (Libia, Mali) i Półwyspie Arabskim (Jemen) arenę rywalizacji i zbrojnej konfrontacji obu islamistycznych ugrupowań.

Pojawienie się w regionie AfPak prowincji Państwa Islamskiego doprowadziło do poważnego zamieszania w szeregach wielu pakistańskich organizacji islamistycznych. Najbardziej dotknięte zostało jednak TTP – w strukturach ruchu talibów pakistańskich doszło do rozłamu, w którego wyniku część jego terenowych struktur przeszła na stronę IS. Wilajet Państwa Islamskiego w regionie AfPak stanowi jednak największe zagrożenie dla działań i interesów samej Al-Kaidy, dla której ten obszar już od trzech dekad jest prawdziwym „macecznikiem”.

Ulokowane tam jej ściśle kierownictwo nadzoruje działania wielu regionalnych komórek organizacji i sojusznicznych ugrupowań dżihadu w różnych częściach świata. Dążąc do ograniczenia pola działania nowej islamistycznej konkurencji, Al-Kaida już jesienią 2014 roku podjęła działania na rzecz zjednoczenia pod swym szyldem jak największej liczby organizacji i grup dżihadystycznych z Azji Południowej. Pierwszym krokiem stało się powołanie nowej organizacji – Al-Kaidy Subkontynentu Indyjskiego (Al-Qaeda in the Indian Subcontinent – AQIS) – odgrywającej nadrzędną rolę wobec licznych regionalnych ugrupowań powiązanych z Al-Kaidą.

Zreorganizowano też struktury i władze samego Ruchu Talibów Pakistanu. Od 2015 roku szerzej otworzył się on na inne tamtejsze grupy i organizacje dżihadystyczne, luźno powiązane z Al-Kaidą i aktywne dotychczas poza pusztuńskimi rejonami Pakistanu. Działania te sprawiły, że TTP przestał być ruchem zorientowanym wyłącznie na cele i interesy Pusztunów i stał się federacją radykalnych grup dżihadu pakistańskiego, podporządkowaną operacyjnie i strategicznie AQIS. Jeśli dodać do tego fakt, że w sojuszu z Al-Kaidą działają też m.in. talibowie afgańscy, islamiści z chińskiego Sinciangu, irańskiego Beludżystanu i państw środkowoazjatyckich – otrzymamy obraz niezwykle skomplikowanej i rozbudowanej sieci współzależności, interesów i synergicznej kooperacji między różnymi strukturami dżihadu w regionie Azji Południowej i Środkowej.

Jak na razie, celem tych działań jest przede wszystkim obrona przed agresywnymi poczynaniami islamistycznej konkurencji w postaci IS. Ale dalekosiężne plany Al-Kaidy i jej sieci w regionie subkontynentu indyjskiego są znacznie bardziej ambitne. Obecna strategia zakłada otwarte dążenie do przejęcia władzy w Pakistanie przez wywołanie w tym kraju religijnego fermentu i islamistycznej rewolty. Formalnie stawką w tej grze jest nie tylko pokaźny pakistański arsenał nuklearny (około 100–150 głowic) i raketowy, lecz także konwencjonalny potencjał militarny, należący do największych w regionie. W istocie chodzi jednak o kontrolę nad mitycznym Chorasaniem i realizację eschatologicznego scenariusza zapisanego przed wiekami w muzułmańskich hadisach. Wbrew pozorom taki niekorzystny przebieg wydarzeń w Pakistanie i jego otoczeniu nie jest całkowicie nierealny, co tylko podkreśla rangę i znaczenie tej części świata w kalkulacjach odnoszących się do globalnego bezpieczeństwa. Bez wątpienia Pakistan i jego otoczenie nie dadzą o sobie zapomnieć. ■

W Al-Falludży nie ma cywilów, tam każdy jest Daesh. Jak będzie trzeba, to zrównamy z ziemią to miasto”, te słowa brzmiały mi w uszach, gdy przejeżdżałem przez jego centrum w listopadzie 2018 roku. Usłyszałem je zaś wiosną 2015 roku od członków jednej z milicji szyickich, tworzących Al-Hashd al-Shaabi, znane też jako Siły Mobilizacji Ludowej (PMU). Specjalnie mnie nie zszokowały, bo dziesięć lat wcześniej Amerykanie również nie patyczkowali się w czasie pacyfikacji sympatyzującego z Al-Kaidą miasta po tym, jak tłum zlinczował tam czterech amerykańskich ochroniarzy firmy Blackwater, a ich zwłoki powiesił na estakadzie

w centrum. Szyici, z którymi wówczas rozmawiałem, mieli zaś świeżo w pamięci masakrę w Camp Speicher, gdzie w ciągu kilku dni tzw. Państwo Islamskie (IS) wymordowało co najmniej 1700 szyickich rekrutów. Nad brzegiem Tygrysu strzelali im w głowę i wrzucali zwłoki do rzeki.

„W Al-Falludży jest teraz normalnie”, zapewnił mnie Methaq, jeden z dziennikarzy Al-Alam al-Harbi, czyli oddziału medialnego PMU. Przejeżdżaliśmy przez ten sam wiadukt, z którego kilkanaście lat wcześniej zwiślały trupy Amerykanów. Rozglądałem się wokół w poszukiwaniu wojennych zniszczeń, ale miasto nie było zrujnowane, a już na pewno nie zrównane z zie-

WITOLD REPETOWICZ

Rok po ogłoszeniu w Iraku zwycięstwa nad Państwem Islamskim przedstawiciele tamtejszych sił zbrojnych zgodnie deklarują, że w wymiarze militarnym ta organizacja jest skończona. Znacznie bardziej zróżnicowane są jednak oceny potencjału jej ukrytych komórek.

POWRÓT DO

Siły irackie i członkowie Al-Hashd al-Shaabi (Sił Mobilizacji Ludowej) w pobliżu miasta Al-Kaim w czasie walk z ostatnimi grupami dżihadystów, listopad 2017 roku

mią. Rzeczywiście wydawało się, że życie toczy się normalnie. Wspomniałem Methaqowi, co słyszałem w 2015 roku. „To zasługa dobrych relacji między mieszkańcami a siłami bezpieczeństwa, dlatego jest spokojnie. Ale nigdy nie wiadomo, co tym ludziom siedzi w głowach”, wyjaśnił.

To w sunnickiej prowincji Anbar, w której leży Al-Falludża, zaczęła się burzliwa historia obecności tzw. Państwa Islamskiego w Iraku. Działo się to, zanim zdobyło ono w czerwcu 2014 roku Mosul. W grudniu 2012 roku zaczęły się demonstracje przeciwko coraz bardziej dyktatorskiemu, szyickiemu premierowi Nuriemu al-Malikiemu. Odpowiedź władz nie była pokojowa, a protestujący szybko zostali zinfiltrowani przez islamistów (wówczas jeszcze działających jako Państwo Islamskie Iraku i Lewantu). W grudniu 2013 roku terroryści opanowali Al-Falludżę, pobliską Ramę oraz znaczną część stolicy Al-Anbar – Ar-Ramadi. W czerwcu 2014 roku rozszerzyli swoją kontrolę na niemal całą prowincję, a ich ostatnim sukcesem było zdobycie Ar-Ramadi w maju 2015 roku. Była to ostatnia kompromitacja irackiej armii, a PMU wpadło we wściekłość i nie mogło się doczekać ofensywy na Al-Falludżę. „Rolą Al-Hashd al-Shaabi jest m.in. dbanie o morale wojska”, mówił mi wówczas jeden z czołowych szyickich polityków Ali al-Adeeb.

Odbijanie prowincji zaczęło się w sierpniu 2015 roku, a PMU wzniosło sztandar ukochanego imama Husajna i nazwało operację „Labaik ya Hussein”, czyli „Za tobą podążamy, Husajnie”. Chodziło oczywiście o wnuka Mahometa, zabitego

przez sunnickiego kalifa pod Karbalą w 680 roku. Władze Iraku szybko zmieniły jednak nazwę na „Labaik ya Irak”, by nie drażnić mieszkających w Al-Anbar sunnitów. Część z nich pozostała lojalna wobec irackich władz, co często wynikało z podziałów plemiennych. Al-Anbar to pustynna prowincja, tam tradycyjna władza klanowych szejków jest szczególnie silna. Niektórzy z nich udali się na emigrację wewnętrzną, często do irackiego Kurdystanu, gdzie mogli do woli psioczyć na Bagdad, PMU i Iran, obarczając ich winą za wszystko, co się stało. Jednym z nielicznych miejsc, które nigdy nie wpadły w ręce Państwa Islamskiego, było miasto Al-Hadisa, co okazało się zasługą nieprzejednanej postawy dominującego tam plemienia Dżegaife. Miało ono stare porachunki z tymi, którzy tworzyli teraz IS.

TYLKO POD FLAGAMI IRAKU

Zatrzymaliśmy się przed zachęcająco wyglądającym zajązdem otoczonym gęstym lasem palmowym, porastającym nadbrzeże Eufratu. Większość powierzchni Al-Anbar to pustynia, ale dolina życiodajnego Eufratu, który razem z bratnim Tygrysem umożliwił powstanie na tej mezopotamskiej ziemi pierwszej ludzkiej cywilizacji, uderza zielenią. Z Bagdadu ruszyliśmy skoro świt, więc trzeba było w końcu zjeść późne śniadanie. Nasz „konwój” składał się z terenówki i busika, bynajmniej nieopancerzonych. Nie zauważyłem też, by ktoś trzymał kałacha. Jedna, może dwie osoby miały tylko broń krótką. Za to było pełno kamer, bo nasza „wycieczka” składała się z kilku →

NORMALNOŚCI



irackich ekip telewizyjnych. Poza tym byłem ja i samotna, dwudziestoparoletnia Iranka. Cel podróży stanowiło Al-Kaim, ostatni bastion Państwa Islamskiego, który padł dopiero w listopadzie 2017 roku.

W zajeździe nie dało się odczuć żadnego napięcia, a towarzyszący mi Irakijczycy nie mieli nic przeciwko temu, bym sam pospacerował sobie po najbliższej okolicy. Oni, bez wyjątku sami szyici, zrelaksowani pałaszowali kebaby, otoczeni sunnitami z miejscowych plemion. Byliśmy właśnie na przedmieściach Hadisy, do której siły irackie przebiły się w maju 2016 roku, kończąc osiemnastomiesięczne oblężenie IS. Do tego miejsca ruch na drodze był spory. Widać było też dużo checkpointów, zarówno armii, jak i PMU. Ludzie związani z tą formacją protestują, gdy nazywa się ją milicjami szyickimi. „W listopadzie 2016 roku Al-Hashd al-Shaabi zostało włączone do irackich sił zbrojnych, a teraz dokonaliśmy pełnej unifikacji i żaden żołnierz nie ma prawa wywieszać proporców tej czy innej partii. PMU dzieli się na dywizje i brygady, a nie na milicje”, powiedział mi kilka dni później w Bagdadzie rzecznik tej formacji Mohanad al-Akabi. „Walczyliśmy wyłącznie pod flagami Iraku i PMU”, dodał. Wielu Irakijczyków jest sceptycznych wobec tych deklaracji. „Na zewnątrz może tak, ale w rzeczywistości oni nadal są wierni swoim liderom politycznym, tym, do których należały te milicje”, powiedział mi jeden młody Irakijczyk, zresztą szyita.

Poza flagami Iraku i PMU wszechobecne są jednak jeszcze szyickie proporce religijne, w tym te z wizerunkiem imama Husajna lub jego ojca kalifa Alego. Przed 2014 rokiem byłoby to nie do pomyślenia, ale przygoda Al-Anbar z Państwem Islamskim wiele zmieniła. Nie ulega wątpliwości, że większość tutejszych mieszkańców z otwartymi rękoma przyjmowała IS. Później jednak zaczął się terror, pojawili się cudzoziemscy bojownicy niszczący miejscowych tradycje. Przede wszystkim jednak poziom bezpieczeństwa pozostawiał wiele do życzenia. „Z jedzeniem nie było problemów, ale kazali nam nosić długie brody, zabronili wkładania T-shirtów i nawet nie pozwalali pić wody butelkowanej – mieliśmy korzystać tylko z rzeki. Ale najgorsze było to, że ciągle spadały na nas bomby”, powiedział mi Abu Ali, sklepikarz w Al-Kaim, z którym rozmawiałem wieczorem. „Teraz z bezpieczeństwem nie ma już żadnego problemu. Możemy w środku nocy pójść gdziekolwiek i nic się nie stanie”, dodał jego sąsiad Abu Anas. Tak naprawdę obaj tak się nie nazywają. Podali przydomki zwykle



Szyicki proporzec powiewający na linii frontu z Państwem Islamskim w Baghuz

TO W SUNNICKIEJ PROWINCJI ANBAR, W KTÓREJ LEŻY AL-FALLUDŻA, ZACZEŁA SIĘ BURZLIWA HISTORIA OBECNOŚCI TZW. PAŃSTWA ISLAMSKIEGO W IRAKU

oparte na imieniu najstarszego syna. Prawdziwej tożsamości nie chcieli ujawniać, choć rozmawiali chętnie, uśmiechali się i częstowali colą. Nie wydawali się skrepowani tym, że towarzyszył mi konwój Al-Hashd al-Shaabi, choć nie da się wykluczyć, że gdybym był tam sam, to rozmowa wyglądałaby inaczej. „Pamiętaj, żebyś się nie oddalał od konwoju”, przestrzegł mnie Methaq.

ZOSTALI TERRORYŚCI

Po przyjeździe do Al-Kaim nie poruszaliśmy się już tak swobodnie. W mieście na każdym kroku widać było posterunki oraz bazy wojska i PMU, a także ogromną ilość ciężkiego sprzętu wojskowego. Trudno się dziwić, bo to stutysięczne miasto jest niezwykle ważne ze względów strategicznych. Przebiegają tu granica z Syrią oraz jeden z trzech

szlaków lądowych łączących Bagdad z Damaszkiem, a co za tym idzie – również Iran z Morzem Śródziemnym. Co więcej, to jedyna spośród tych dróg, która w całości jest kontrolowana przez siły przyjazne Iranowi. O ile jednak po irackiej stronie sytuacja wydaje się opanowana, o tyle po syryjskiej daleko jej do stabilizacji.

Bliźniacze Abu Kamal, położone po syryjskiej stronie granicy, widać gołym okiem z Al-Kaim. Oba miasta leżą na prawym, południowym brzegu Eufratu. Na lewym znajduje się zaś enklawa Hadżin, która w listopadzie i grudniu 2018 roku wciąż była kontrolowana przez Państwo Islamskie. Ponadto ofensywę przeciwko IS prowadziły tam Syryjskie Siły Demokratyczne (SDF), wspierane przez USA. 14 grudnia SDF zajęły Hadżin, główne miasto tej enklawy i zarazem ostatnią stolicę kalifatu, ale nie był to jeszcze koniec wojny. Opanowana została też syryjska część wioski Baghuz, co spowodowało odcięcie IS od granicy z Irakiem. Sytuacja jest jednak wciąż dynamiczna. Pod koniec listopada, gdy stałem w irackiej części tej wioski, w odległości 200–300 m od wspólnej bazy armii i PMU wyrastały domy, w których wciąż kryli się terroryści IS.

„Snajperzy nas nie atakują. Nie mają szans zająć odpowiednich pozycji, bo ich od razu likwidujemy”, zapewnił mnie dowodzący tym odcinkiem granicy gen. Ammar Hasan Muhammad. Wyglądało na to, że mówił prawdę, bo swobodnie staliśmy, bez żadnych kamizelek kuloodpornych, na wale granicznym i spoglądaliśmy na te ostatnie terytoria kalifatu. W pewnym momencie żołnierz w pikapie zaczął strzelać z działka w stronę syryjskiego Baghuz, a dwóch innych przeszło przez granicę i oddało kilka serii z karabinów. Nie była to odpowiedź na jakieś zagrożenie, lecz bardziej tło dla materiału kręconego tam przez irackie telewizje.

„Baghuz zamieszkane jest po obu stronach przez członków tych samych rodzin, ale teraz po stronie syryjskiej wszyscy mieszkańcy uciekli, są tylko terroryści”, wyjaśnił mi Methaq. Wał graniczny znajdował się na zachód od nas, na północ wznosił się wysoki klif, osłaniający Eufrat na odcinku wielu dziesiątek kilometrów, a na południe płynęła sobie leniwie rzeka, zarośnięta szuwarami i poprzedzielana bagnami i wysepkami. Na rzeczonym odcinku granicy posterunki irackie, wyrastające spośród gęstych kęp trawy, były rozstawione znacznie częściej, maksymalnie co 50 m.

„W nocy terroryści starają się przedzierać przez granicę, zwłaszcza na rzece. Próbuje wykorzystać zarośla jako naturalną osłonę. Ale i tak im się to nie udaje, bo mamy bardzo dokładny monitoring”, zapewnił mnie gen. Ammar Hasan. Nagle z oddali usłyszeliśmy huk i daleko, daleko pojawiła się gęsta smuga czarnego dymu. „VBIED [Vehicle-Borne Improvised Explosive Device, samochód pułapka]?”, zapytałem. „Nie, naloty na As-Susę. To koalicja wspiera ofensywę SDF”, odparł iracki generał. „Współpracujecie z SDF?”, dopytywałem. „Bezpośrednio nie, tylko przez centrum dowodzenia”, usłysza-

łem w odpowiedzi. „A jak wam się układa współpraca z USA?”, kontynuowałem. „Normalnie, zresztą z nimi też nie mamy bezpośredniego kontaktu”, powiedział generał.

BOICIE SIĘ, ŻE IS WRÓCI?

Dwa dni później się dowiedziałem, że tego dnia nalotów w Syrii dokonywało irackie lotnictwo, więc być może czarny dym nad As-Susą był ich dziełem. Łatwo się jednak pomylić w ocenie, bo zarówno na lądzie, jak i w powietrzu jest tam gęsto. Na północ od Eufratu bombarduje międzynarodowa koalicja, na południu robią to Rosjanie i Syryjczycy, a po obu stronach Irakijczycy. „Irackie naloty w Syrii odbywają się za zgodą władz syryjskich, ale na lądzie granicy nie przekraczamy”, powiedział mi z kolei dowódca granicznych sił PMU Kasem Musleh, gdy wjechaliśmy na klif. Krajobraz się zmienił. Teraz otaczał nas pustyнный płaskowyż, na którym najbardziej rzucał się w oczy płot z drutu kolczastego, ciągnący się prosto, hen na północ. Co jakieś kilkaset metrów widoczne były betonowe wieże obserwacyjne. Słońce powoli zaczęło znikać po syryjskiej stronie, tworząc krwawą lunę nad tym ostatnim skrawkiem samozwańczego kalifatu. „Boicie się, że IS wróci?”, zapytałem godzinę później Abu Anasa i Abu Alego. Kiwnęli głowami, że tak. Nazajutrz gościłem na obiedzie u szejka Ralaha, przywódcy dominującego na tych terenach (po obu stronach granicy) plemienia al-Karbuli. Na stoły wniesiono wielkie tace z górami ryżu i wielkimi, pysznymi, aczkolwiek nieco twardawymi kawałkami baraniny. Szejk co chwila odrywał lepsze kąski i zwyczajem pustynnych plemion rzucał mi na talerz.

„Moje siły liczą 700 osób i wkraczaliśmy do Al-Kaim razem z szyitami z PMU. Państwo Islamskie przekonywało ludzi, że szyici będą ich mordować, grabić i gwałcić kobiety, ale nic takiego nie nastąpiło, więc ludzie teraz widzą, że to były kłamstwa”, stwierdził szejk, który dodał, że nie obawia się, iż terroryści zdołają przekroczyć granicę syryjską i zdobyć miasto. „Problemem jest zaś myślenie ludzi – IS miało ponad trzy lata na ich indoktrynację”, stwierdził szejk i dodał, że próbują z tym walczyć. Pokazują, że to, co mówili terroryści, opierało się na kłamstwach i było sprzeczne z islamem oraz miejscową tradycją. W Al-Kaim, podobnie jak w całym Al-Anbar, nie widać zbyt wielu zniszczeń, a tam, gdzie one są, często wręcz prace przy odbudowie. Ludzie nie narzekają na obecność szyickich oddziałów z południa Iraku, a żołnierze PMU twierdzą, że miejscowi odnoszą się do nich przyjaźnie, jak Irakijczyk do Irakijczyka. Ludzie narzekają jednak na problemy z infrastrukturą, której odbudowa idzie znacznie wolniej, na kłopoty z dostępem do służby zdrowia czy edukacji, a także na brak pracy. „Trochę pomagają nam organizacje międzynarodowe, ale boją się wjeżdżać do miasta”, westchnął Abu Anas. ■

WITOLD REPETOWICZ jest bliskowschodnim korespondentem Polskiej Agencji Prasowej.

Przegrane zwycięstwo

Wycofanie sił amerykańskich z Rożawy pozostawi Kurdów na łasce Ankary oraz Damaszku. Konsekwencje tej decyzji mogą być jednak znacznie poważniejsze i sięgać daleko poza granice Syrii.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

MICHAŁ ZIELIŃSKI (2)



Mimo że tzw. Państwo Islamskie zostało terytorialnie pokonane, w podziemiu wciąż przebywają tysiące dżihadystów. Pośpieszne wycofanie sił amerykańskich może doprowadzić do ich ponownej ekspansji.



Nawet dla najbliższego otoczenia Donalda Trumpa to był szok – w drugiej połowie grudnia prezydent Stanów Zjednoczonych zapowiedział wycofanie sił amerykańskich z Syrii. Około 2 tys. żołnierzy, w większości służących w siłach specjalnych, miałoby opuścić ten kraj jeszcze w pierwszym kwartale 2019 roku. Ruch ten nie był konsultowany z ludźmi odpowiedzialnymi za kampanię prowadzoną przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu. Co więcej, burzy dotychczasową strategię USA na Bliskim Wschodzie.

W kuluarach mówi się, że decyzja została podjęta w wyniku ustaleń z prezydentem Recepem Erdoğanem. Turcja miała zagwarantować przejęcie ciężaru walki z fundamentalistycznymi ugrupowaniami, w tym z Daesz. Nie jest jednak tajemnicą, że dla Turcji priorytetem jest zabezpieczenie granic państwa oraz osłabienie kurdyjskich Powszechnych Jednostek Ochrony, stanowiących trzon Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF), które Ankara uważa za terrorystyczne. Problem leży w tym, że dotychczas Kurdowie byli najbardziej wiarygodnymi sojusznikami Stanów Zjednoczonych w walce z terroryzmem i niejednokrotnie dowiedli swojej wartości. Po czteroletniej pełnej poświęceń kampanii zostaliby zostawieni sami sobie.

Kilka dni po ogłoszeniu decyzji do dymisji podali się sekretarz obrony James Mattis oraz przedstawiciel prezydenta USA w międzynarodowej koalicji walczącej z Daesz, Brett McGurk. Ruch Donalda Trumpa nie powinien jednak budzić zdziwienia, ponieważ już na początku swojej prezydentury

podkreślał, że będzie dążył do redukcji sił amerykańskich stacjonujących na Bliskim Wschodzie, a odpowiedzialność za jego stabilizację zrzuci na barki lokalnych graczy. Temat ten wrócił w kwietniu 2018 roku, ale generałowie ze środowiska prezydenta przekonali go, by doprowadził do końca kampanię prowadzoną przeciwko Daesz.

Teraz, kiedy wspierane przez międzynarodową koalicję Syryjskie Siły Demokratyczne zdobywają ostatnie przyczółki kontrolowane przez tzw. Państwo Islamskie, Trump wdraża w życie swoje zapowiedzi. Niestety, ruch ten pod wieloma względami przypomina wycofanie wojsk amerykańskich z Iraku w 2011

roku. Podobnie jak osiem lat temu, jego następstwa mogą okazać się tragiczne w skutkach.

MACKI IRANU

Mimo sukcesów koalicji tzw. Państwo Islamskie nie zostało ostatecznie pokonane. W podziemiu wciąż ukrywają się tysiące bojowników, którzy przypominają o sobie podczas



kolejnych zamachów. Jeden z ostatnich miał miejsce 16 stycznia 2019 roku w Manbidżu. W wyniku eksplozji zginęło czterech Amerykanów, którzy podczas patrolu zatrzymali się w lokalnej restauracji. Śmierć poniosło także pięciu bojowników SDF oraz dziesięciu cywilów, a kilkanaście osób (w tym kolejnych trzech Amerykanów) zostało rannych. To nie był pierwszy atak na siły koalicji w tym roku. Wcześniej w okolicach Dajr

az-Zaur ostrzał raketowy najprawdopodobniej ranił dwóch brytyjskich operatorów oraz pozbawił życia jednego bojownika SDF. Do podobnych zdarzeń dochodzi mimo pełnego zaangażowania Stanów Zjednoczonych w stabilizację regionu.

Rzecznik SDF Mustafa Bali zaznacza, że bez międzynarodowego wsparcia oddziały walczące z dżihadystami zostaną zmuszone do opuszczenia swoich pozycji i stawienia czoła nowym zagrożeniom. Kurdyjscy bojownicy nie będą także w stanie pilnować kilku tysięcy członków tzw. Państwa Islamskiego, którzy przebywają w aresztach na terytorium Rożawy. Sytuacja ta z pewnością zostanie wykorzystana wizerunkowo przez samowzniesiony kalifat, który ogłosi swoje zwycięstwo nad Zachodem, co z kolei przełoży się na rekrutację nowych bojowników i odbudowę struktur.

Dla Kurdów wycofanie Amerykanów z północnej Syrii oznacza nie tylko samotną walkę z bojownikami Daesz. Obecność zachodnich sił broniła ich przed atakiem Turcji oraz syryjskiego rządu. Po operacji „Tarcza Eufratu” z 2016 roku oraz zeszłorocznej ofensywie na Afrin jest niemal pewne, że Ankara wykona kolejny krok. Potwierdzają to słowa Recepja Erdoğan, który najpierw stwierdził, że „odroczy atak o kilka miesięcy”. Kilka dni później, kiedy prezydent Trump zaznaczył, że nie podał dokładnej daty wycofania amerykańskich sił i „może ono potrwać dłużej niż informują media”, Ankara przyjęła bardziej zdecydowaną postawę. Minister spraw zagranicznych Mevlüt Çavuşoğlu uznał, że Turcja może uderzyć pomimo obecności sił amerykańskich. W tym samym czasie doszło także do wydarzenia niespotykanego w świecie dyplomacji. Nie tylko Erdoğan, ale także przedstawiciele rządu niższego szczebla odmówili spotkania z Johnem Boltonem, amerykańskim doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa, który przyjechał do Ankary na negocjacje. Powodem tego afrontu były deklaracje dyplomaty, że Stany Zjednoczone nie wycofają się z Syrii bez gwarancji bezpieczeństwa dla Kurdów.

Sytuacja ta stworzyła idealną okazję dla Baszszara Al-Asada, który bez walki może odzyskać kontrolę nad utraconym terytorium. Syryjski rząd w przeszłości wyraźnie sugerował, że po uporaniu się z opozycją i fundamentalistami skieruje swój wzrok w stronę Rożawy. Kilkakrotnie dochodziło do prób wynegocjowania porozumienia między Damaszkiem a Kurdami, ale były one zrywane pod naciskiem Amerykanów. Tym razem Syryjskie Siły Demokratyczne postanowiły działać na własną rękę. W ostatnich dniach grudnia 2018 roku na prośbę Kurdów

ANKARA, POMIMO WOJENNEJ RETORYKI, MUSI LICZYĆ SIĘ ZE SWOIM PARTNEREM ZZA OCEANU, KTÓRY WSPIERA JĄ TECHNOLOGICZNIE

syryjska armia wkroczyła do Manbidżu, co uniemożliwiło turecką ofensywę z zachodu. Umowa ta niesie jednak ze sobą poważne konsekwencje. W dalszej perspektywie prezydent Baszszar Al-Asad najprawdopodobniej będzie dążył do pełnej kontroli nad Rożawą, w zamian oferując fasadową autonomię. W praktyce oznacza to kolejne zwycięstwo Iranu, blisko powiązanego z syryjskim rządem.

Dzięki temu Teheran będzie mógł urzeczywistnić jeden z największych swoich celów – lądowe połączenie z Morzem Śródziemnym.

NOWE ZAGROŻENIE DLA IZRAELA

Amerykanie powtarzają, że ich obecność w Syrii służy przede wszystkim pokonaniu tzw. Państwa Islamskiego. Nowe światło na ich stanowisko rzuca sytuacja niewielkiego miasta Al-Tanf, leżącego tuż przy granicy z Irakiem. Chociaż zajmujący je rebelianci nie stanowią żadnej realnej siły, miejsce to od kilku lat jest chronione przez kontyngent sił specjalnych, bo tamtędy przebiega szlak komunikacyjny łączący Damaszek z Bagdadem. Przy coraz większych wpływach irańskich w Iraku utrzymywanie tej bazy ma proste uzasadnienie – obecność Amerykanów służy blokowaniu jednego z najprostszych połączeń z Iranem.

Biorąc pod uwagę napięcie pomiędzy Waszyngtonem a Teheranem, Donald Trump podjął decyzję polegającą na blokowaniu lub chociaż ograniczaniu irańskich wpływów na Bliskim Wschodzie. Prezydent Stanów Zjednoczonych w jednym ze swoich tweetów stwierdził otwarcie, że Iran „może robić w Syrii, co mu się podoba”. Regionalnemu mocarstwu nie tylko daje to zielone światło do dalszej ekspansji, lecz także wzmacnia pozycję Rosji, która wyrasta na bardziej stabilnego oraz wiarygodnego partnera.

Słowa te wzbudziły także niepokój Izraela, który znalazł się w bardzo niekomfortowej sytuacji. Bliski sojusznik Stanów Zjednoczonych próbuje odsunąć od siebie groźbę irańskiego ataku. Aby to osiągnąć, od kilku lat umiejętnie stara się o względy zarówno Waszyngtonu, jak i Moskwy. Ostatnio pojawiły się jednak nieoficjalne informacje, że Tel Aviv rozważa poprawę stosunków także z prezydentem Baszszarem Al-Asadem. Nawet jeżeli okażą się one przesadzone (izraelskie lotnictwo niejednokrotnie niszczyło cele związane z syryjskim rządem), pokazuje to już bliskowschodnią tendencję.

W stronę Damaszku coraz częściej ręce wyciągają przedstawiciele państw sunnickich. W grudniu 2018 roku stolicę Syrii odwiedził prezydent Sudanu, a następnie Zjednoczone Emiraty Arabskie zdecydowały o ponownym otwarciu miejscowej ambasady. Liderzy świata arabskiego rozważają też zaproszenie Baszszara Al-Asada na marcowy szczyt Ligi Arabskiej, który odbędzie się w Tunisie.

Zaskoczenie budzi nie tylko prawdopodobne stanowisko Izraela wobec syryjskiego rządu, lecz także głosy płynące z Tel Awiwu dotyczące Turcji. Według raportu centrum informacyj-



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Pomimo ekstremalnie trudnych warunków do Ar-Rakki oraz innych kontrolowanych przez Syryjskie Siły Demokratyczne miast wracają cywile. Stabilność tych miejsc udaje się zachować przy wsparciu koalicjantów oraz międzynarodowych organizacji pozarządowych.

nego zajmującego się Bliskim Wschodem Middle East Eye, w ciągu ostatnich kilkunastu dni szef Mosadu Yossi Cohen spotkał się z przedstawicielami Egiptu, Zjednoczonych Emiratów Arabskich oraz Arabii Saudyjskiej. Podobno stwierdził wówczas, że największym zagrożeniem dla Izraela jest nie Iran, lecz Turcja. Doniesienia te dotychczas nie znalazły jednak oficjalnego potwierdzenia.

FRANCUZI ZOSTAJĄ

Zaniepokojenie oświadczeniem prezydenta Trumpa wyrazili również liderzy państw zachodnich, w tym Niemiec, Wielkiej Brytanii oraz Francji. Rozwój wydarzeń jest kluczowy zwłaszcza dla Paryża, który na terenie Rożawy utrzymuje oficjalny kontyngent wojskowy. Francuska minister obrony Florence Parly zaznaczyła, że „misja żołnierzy stacjonujących w Lewancie nie uległa zmianie”. Najprawdopodobniej oznacza to, że francuskie siły pozostaną tam po wycofaniu się Amerykanów. W ramach prowadzonej przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu operacji „Szamal” służy ponad 3 tys. francuskich żołnierzy, ale większość z nich znajduje się na terytorium Iraku. Ich działania wspierają samoloty stacjonujące w Jordanii i Arabii Saudyjskiej oraz marynarka wojenna. Francuzi nie ukrywają, że region ten jest dla nich ważny także pod względem ekonomicznym. Północna Syria przez dekady podlegała francuskiej strefie wpływów, a na jej terenie działały korporacje z tego kraju. Ich funkcjonowanie zostało zawieszone zaraz po wybuchu wojny, ale już w 2018 roku pojawiły się pla-

ny reaktywacji części przedsiębiorstw (np. cementowni). Tymczasem zaostroża się retoryka między Waszyngtonem a Ankarą. W połowie stycznia Donald Trump zaznaczył, że siły amerykańskie wycofają się do Iraku, ale w razie odrodzenia się Daesz będą gotowe do wznowienia walki. Jednocześnie zagroził, że zniszczy Turcję ekonomicznie, jeżeli ta uderzy w Kurdów. Rozwiązaniem miałyby być strefa bezpieczeństwa, sięgająca około 20 mil od granicy tureckiej w głąb Rożawy. Problem w tym, że utworzony bufor objąłby niemal wszystkie ważne dla Kurdów miasta, w tym stolicę regionu – Al-Kamisli. Wypowiedź spotkała się z niemal natychmiastową reakcją rzecznika prezydenta Erdoğan, İbrahima Kalina. Stwierdził on, że należy odróżniać Kurdów od terrorystów, których „nie można brać za partnerów i sojuszników”, a Turcja oczekuje „uhonorowania strategicznego partnerstwa i nie chce, by położył się na nim cień terrorystycznej propagandy”.

Wszystko wskazuje na to, że prezydent Trump dotrzyma obietnicy i wycofa amerykańskich żołnierzy z Syrii. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można także stwierdzić, że Turcja wykorzysta tę sytuację i zaatakuje Rożawę. Wielką niewiadomą jest jednak czas oraz zakres tych działań. Zwłaszcza że Ankara, pomimo wojennej retoryki, musi liczyć się ze swoim partnerem zza oceanu, który wspiera ją technologicznie. W grudniu Turcy otrzymali zgodę Departamentu Stanu USA na zakup rakiet Patriot. Rzeczywista wartość tego kontraktu może przekroczyć 3 mld dolarów. ■



Francuska minister obrony **FLORENCE PARLY**: „Misja żołnierzy stacjonujących w Lewancie nie uległa zmianie”.

PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH

ŹRÓDŁO WIEDZY O UZBROJENIU,
TAKTYCE POLA WALKI I SZKOLENIACH



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

| WOJSKO |
| POLSKIE |

Wasza siła – Nasze bezpieczeństwo

Polecam!

Krzysztof Wilewski, redaktor wydawniczy

Odwracanie sojuszy?



TRZY PYTANIA DO

*Karol
Chwiedczuk-Szulca*

Czy wycofanie się Amerykanów z Syrii to dobry pomysł?

Z perspektywy strategicznych interesów USA, państw Unii Europejskiej, Izraela, Kurdów – czyli szeroko rozumianego Zachodu i jego sojuszników – z pewnością jest to decyzja, która może przynieść negatywne konsekwencje. Polityka zagraniczna administracji Donalda Trumpa nadal zmierza w kierunku izolacjonizmu, co w wypadku Syrii oznacza oddanie pola Rosji i jej sojusznikom, czyli reżimowi Baszszara al-Asada oraz Iranowi. Najgroźniejsze dla Zachodu jednak jest to, że w ten sposób Trump popycha Turcję w stronę Rosji. Mimo historycznie rozbieżnych interesów Moskwy i Ankary państwa te podejmują współpracę. Dochodzi także do zbliżenia Turcji i Iranu, czyli odwiecznego jej oponenta w regionie. Jesteśmy zatem świadkami procesu odwracania sojuszy, o czym świadczą także plany tureckich władz zakupu od Rosjan systemu rakietowego S-400 zamiast amerykańskich patriotów. Wyrozumiałość amerykańskiego prezydenta wobec poczynąń Ankary, a także Moskwy, można tłumaczyć jego sympatią dla autokratycznych zachowań przywódców tych państw. Reasumując, decyzja Trumpa o wycofaniu się w Syrii nosi znamiona wielowymiarowej, strategicznej kapitulacji na Bliskim Wschodzie.

Kto na takim rozwiązaniu zyska, a kto straci?

Największym wygranym zdaje się być Władimir Putin, który nie dość, że ocalił swojego sojusznika, prezydenta Al-Asada, to jeszcze skutecznie przyciąga Turcję do strefy swoich wpływów. Stra-

cą zaś wszyscy pozostali, a najbardziej – żyjący tam ludzie, czyli przeciwnicy Al-Asada oraz Kurdowie. Jeśli decyzja o wycofaniu zostanie wprowadzona w życie, z pewnością ucierpi też Izrael, dla którego USA, główny sojusznik, są na Bliskim Wschodzie gwarantem bezpieczeństwa. Na końcu pozostają Kurdowie, którzy mają bodajże największe zasługi w walce na lądzie z Państwem Islamskim, a teraz mogą zostać pozostawieni sami sobie, niejako na pastwę Turcji, która określa ich mianem terrorystów. Stąd ostatnia deklaracja doradcy do spraw bezpieczeństwa prezydenta USA, Johna Boltona, że wojska USA wycofają się tylko po udzieleniu przez Turcję gwarancji bezpieczeństwa dla Kurdów.

A co stanie się z Syrią?

Scenariuszy tutaj może być wiele. Jednak kiedy się obserwuje obecną sytuację, wydaje się, że przeciwnicy prezydenta Al-Asada zostaną fizycznie zlikwidowani, a Rosja wyłoni się w tym regionie jako jeden z głównych rozgrywających. Interesujące będą losy Kurdów. Przy obecnym wzmocnieniu militarnym oraz wsparciu ze strony USA mogą się oni pokusić o wzmocnienie z kolei swojej quasi-państwowości, która jest sformalizowana w północnym Iraku w postaci autonomii. To niechybnie wywoła ostrą reakcję Turcji, a także być może władz irackich. ■

Dr KAROL CHWIEDCZUK-SZULCA jest pracownikiem Instytutu Politologii Uniwersytetu Wrocławskiego.

Rozmawiała Małgorzata Schwarzwgruber.

A close-up, high-resolution portrait of Michał Niwicz, an older man with light blue eyes and visible wrinkles on his face. He is wearing a dark blue sweater over a light blue collared shirt. The background is dark and out of focus.

LATA IZOLACJI ZROBIŁY SWOJE, KOLEJNE POKOLENIE PÓŁNOCNYCH KOREAŃCZY- KÓW NIE ZNA INNEGO ŚWIATA

MICHAŁ NIWICZ

Podwójne zamrożenie

Z Marcelim Burdelskim

*o tym, komu zależy na zjednoczeniu państw koreańskich
i czterech filarach stabilności w regionie,
rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.*

Nadal trwają dyskusje na temat harmonogramu likwidacji północnokoreańskiego programu zbrojeń jądrowych, chociaż mija już kilka miesięcy od spotkania Donalda Trumpa z Kim Dzong Unem. Czy to oznacza, że relacje Waszyngtonu z Pjongjangiem nie są tak dobre, jak twierdzi amerykański prezydent?

Stosunki Północy z Południem rozwijają się rewelacyjnie. Amerykanie stwierdzili wręcz, że za szybko. Osiągnięciem prezydenta Donalda Trumpa jest natomiast tzw. podwójne zamrożenie. Ostatni test rakietowy Korea Północna przeprowadziła w grudniu 2017 roku, a atomowy trzy miesiące wcześniej. Poza tym po obu stronach linii demarkacyjnej nie odbywają się manewry wojskowe. Amerykański sekretarz stanu Mike Pompeo stwierdził niedawno, że chociaż nadal istnieje zagrożenie ze strony Korei Północnej, bo ciągle ma ona arsenał atomowy, są duże szanse, aby stworzyć regionalny system bezpieczeństwa, który doprowadzi do denuklearyzacji Pjongjangu oraz wyeliminuje groźbę wojny w tym regionie.

Dlaczego więc Pjongjang grozi powrotem do prac nad bronią nuklearną? Czy to strategia negocjacyjna?

Spór Pjongjangu z Waszyngtonem dotyczy scenariusza działań denuklearyzacyjnych. Amerykanie uważają, że punktem wyjścia jest przedstawienie przez Kim Dzong Una listy atomowych urządzeń, instalacji, rakiet, bomb, ośrodków. Problem w tym, że on chce, by rozbrojenie nuklearne następowało

stopniowo. Waszyngton natomiast naciska, żeby stało się to szybko. Co ciekawe, przez lata Amerykanie twierdzili, że nigdy nie uznają Korei Północnej jako państwa atomowego. De facto jednak zrobili to, bo podjęli negocjacje.

Mówi pan o postępach w denuklearyzacji Korei Północnej, a z raportu amerykańskiego Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych wynika, że wciąż ma ona co najmniej 13 baz nuklearnych...

Narodowa Służba Wywiadu Republiki Korei Południowej oraz CIA oświadczyły, że ten raport to fikcja. Nie znaleziono żadnych dowodów na to, aby te ośrodki wzbogacania i produkcji uranu funkcjonowały. Analizy ekspertów bazują jednak na dokumentach jawnych, tymczasem w dyplomacji wiele spraw jest tajnych.

WIZYTÓWKA

DR MARCELI BURDELSKI

Jest emerytowanym wykładowcą Uniwersytetu Jagiellońskiego, a także wiceprezesem Towarzystwa Azji i Pacyfiku, wiceprzewodniczącym Komitetu Badawczego „Integracja-Zjednoczenie-Bezpieczeństwo” Światowego Towarzystwa Nauk Politycznych. Osiemnaście razy odwiedził Koreę Północną. Wielokrotnie składał wizyty studyjne w Korei Południowej i Chinach. ■

Załóżmy jednak optymistyczny scenariusz – dochodzi do denuklearyzacji Korei Północnej. Jak kraj, który dotychczas posługiwał się głównie argumentem siły, odnajdzie się w świecie dyplomacji?

Gdy we wrześniu 2017 roku wyłączałem w Korei Północnej, a było to dwa dni po próbie nuklearnej, kraj wyglądał tak, jakby się przygotowywał do wojny. Dziś po takiej atmosferze nie ma śladu. Kiedy w czasie moich ostatnich wizyt w tym kraju rozmawiałem z ekspertami z różnych państw, najczęściej słyszałem opinie, że podjęcie przez Kim Dzong Una negocjacji z Amerykanami na szczycie w Singapurze w czerwcu 2018 roku to

racjonalna strategia. Dyktator i jego doradcy chcą przetrwać w zmienionym świecie oraz zachować władzę dynastii, a także zdobyć środki na utrzymanie systemu. Nie brakuje jednak opinii, że wyjście Korei Północnej z izolacji jest ryzykowne, bo tamtejsze systemy ideologiczny, polityczny i gospodarczy mogą być efektywne tylko w warunkach izolacji.

Korea Północna ma potężnego sojusznika w regionie. Trump wręcz zarzuca Chinom, że udzielają Kim Dzong Unowi wsparcia, co nie pomaga w nakłonieniu go do rezygnacji z broni jądrowej.

Trump oczekiwał, że Pekin będzie realizował jego strategię. Tymczasem mamy tu konflikt interesów. Amerykanie chcą pozbawić Koreę Północną broni nuklearnej i włączyć ją w krąg współpracy międzynarodowej. Co prawda, również Chiny są zainteresowane tym, aby Korea Północna przestała być zagrożeniem dla świata. Ich strategia polega jednak na stworzeniu otoczenia sprzyjającego rozwojowi współpracy gospodarczej. Dziś 90% obrotów handlowych Korei Północnej pochodzi z kontaktów z Chinami, a rejon wokół Półwyspu Koreańskiego uważają one za obszar swoich interesów strategicznych. Niedawno miałem okazję obserwować most na rzece Yalu Jiang, łączący największe chińskie miasto przygraniczne Dandong oraz północnokoreańskie Sinuiju. Do KRLD wjeżdżało wiele ciężarówek, a w stronę przeciwną ruch był niewielki.

Waszyngton twierdzi jednak, że obstaje przy utrzymaniu sankcji.

Stany Zjednoczone wykluczają jakiekolwiek ustępstwa do czasu pełnej, możliwej do zweryfikowania i nieodwracalnej denuklearyzacji. Jest to istotne z tego też względu, że z powodu sankcji Korea Północna nie może korzystać z narzędzi bankowych. Na przykład obroty Polski i KRLD są symboliczne, nasz eksport to materiały i urządzenia dla polskiej ambasady, a import – mienie przesiedleńcze. Sankcje mocno uderzają w Koreę Północną. Najbardziej dotkliwe są zakaz eksportu węgla, głównie do Chin, a także ograniczenia importu ropy naftowej. Dlatego Pjongjang stara się, z pomocą Pekinu i Moskwy, o ich stopniowe zniesienie.

Jakie pan widzi wyjście z tej patowej sytuacji?

Jedyny sposób to denuklearyzacja Korei Północnej. Trzeba jednak brać pod uwagę inny scenariusz: wyczerpuje się cierpliwość Amerykanów, negocjacje zostają zerwane i dochodzi do powtórki wydarzeń z kwietnia 2017 roku. Przypomnę, że

NIEBEZPIECZNIE MOGŁOBY SIĘ ZROBIĆ, GDYBY ZNIECIERPLIWIONY TRUMP CHCIAŁ WRÓCIĆ DO POLITYKI KONFRONTACJI

prezydent Trump wysłał wówczas w pobliże Półwyspu Koreańskiego lotniskowiec i krążowniki. W odpowiedzi Korea Północna przeprowadziła test atomowy oraz wiele prób rakiet średniego i dalekiego zasięgu. Towarzyszyła im wojna propagandowa na użytek wewnętrzny i zewnętrzny.

Na razie nic nie wskazuje na to, aby doszło do podobnej sytuacji.

Sekretarz Pompeo przyznał, że toczą się tajne rozmowy ekspertów, którzy mają przygotować denuklearyzację oraz deklarację o zakończeniu wojny i traktacie pokojowym. Pod koniec lutego 2019 roku ma dojść do drugiego szczytu Trump – Kim Dzong Un. Tyle że może być problem z prawem międzynarodowym. Przypomnę, że gdy w 1950 roku Stany Zjednoczone i 15 innych państw wysłało na półwysep swoje wojska, ich dowódcą naczelnym został gen. Douglas MacArthur. Stał on na czele utworzonych po raz pierwszy w historii sił interwencyjnych Organizacji Narodów Zjednoczonych. I to ONZ było stroną rozejmu podpisanego 27 lipca 1953 roku. Kto zatem pozostaje w stanie wojny z Koreą Północną: ONZ czy USA? Drugą stroną traktatu o rozejmie są Koreańska Armia Ludowa i Chińscy Ochotnicy Ludowi. Na mocy traktatu utworzono Wojskowy Komitet Rozejmowy i Komisję Nadzorczą Państw Neutralnych, do której weszły Szwecja i Szwajcaria – na zaproszenie ONZ, oraz Polska i Czechosłowacja – na zaproszenie Koreańskiej Armii Ludowej i Chińskich Ochotników Ludowych.

Czyli kto podpisałby traktat pokojowy? W deklaracji singapurskiej z 12 czerwca 2018 roku znajduje się zapis o deklaracji kończącej stan wojny na Półwyspie Koreańskim.

Deklarację i późniejszy traktat pokojowy podpisałyby USA w imieniu ONZ, KRLD



Dziś 90% obrotów handlowych Korei Północnej pochodzi z kontaktów z Chinami, a rejon wokół Półwyspu Koreańskiego uważają one za obszar swoich interesów strategicznych.

w imieniu Koreańskiej Armii Ludowej oraz Armia Republiki Korei. Jest problem z Chińczykami, bo armia Chińskich Ochotników Ludowych zawiesiła swój udział w Wojskowym Komitecie Rozejmowym, ale nie oznacza to rezygnacji. Toczą się zatem negocjacje z Pekinem, aby traktat był czterostronny.

Wspomniał pan o wspólnym stanowisku Rosji i Chin, dążących do zniesienia sankcji wobec Korei. Putin nie spotkał się jednak dotychczas z Kim Dzong Unem. Dlaczego, skoro bardzo mu na tym zależy?

Korea Północna negocjuje dziś tylko z USA, Koreą Południową i Chinami. W czasie sympozjum na Uniwersytecie im. Kim Ir Sena prof. Artiom Łukin, specjalista w dziedzinie stosunków międzynarodowych, wykładowca Uniwersytetu Dalekowschodniego z Władywostoku, zaprezentował tezę, że w rozgrywce na Półwyspie Koreańskim Rosja i Japonia spadły do drugiej ligi. Co bowiem Moskwa może zaofiarować Pjongjangowi? Niewiele oprócz broni. Chciałaby jednak sprzedawać Korei Północnej ropę i gaz, a także uczestniczyć w modernizacji linii kolejowych prowadzących z Korei Południowej do Rosji przez KRLD. Chce też korzystać z niezamrażającego portu w Rason.

Kto jest dziś gwarantem stabilności w regionie?

Czworokąt bezpieczeństwa ma się opierać na współpracy Północy z Południem z gwarancjami amerykańsko-chińskimi. Na niej zyskują wszystkie strony. Konieczne jest jednak włączenie Japonii i Rosji do tego systemu.

Wtedy udałoby się spełnić marzenie Koreańczyków o zjednoczeniu?

Scenariusz optymistyczny zakłada połączenie obu państw koreańskich w ciągu 20 lat. W tym procesie mogą jednak wystąpić zawirowania, bo nie wiadomo, jaką politykę będą prowadzić następcy Mun Jae-in. Konserwatyści mogą chcieć wrócić do starej polityki, która zawiera się w hasło: wykończyć Północ głodem, aby się poddała. Uważam jednak, że powrót do niej jest już niemożliwy. Scenariusz umiarkowany natomiast to utrzymanie status quo. Niebezpiecznie mogłoby się zrobić, gdyby zniecierpliwiony Trump chciał wrócić do polityki konfrontacji, chociaż jest to dziś mało prawdopodobne.

Komu najbardziej zależy na zjednoczeniu? Korei Północnej czy Południowej?

Bez wątpienia Południowej. Przywódcy Korei Północnej też chcieliby zjednoczenia, ale obawiają się otwarcia politycznego i swobodnego przepływu kultury masowej z południa. Zjednoczenie jednak to proces, który musi potrwać. Szacuję, że co najmniej 20 lat. Poprzedni przywódcy Korei Południowej – prezydenci Lee Myung-bak i Park Geun-hye – liczyli na to, że Północ upadnie i zostanie przejęta przez Południe. Byłoby to bardzo kosztowne rozwiązanie, bo przypominałoby proces podobny do zjednoczenia Niemiec. Kon-

cepcja obecnego prezydenta Mun Jae-ina, będąca kontynuacją polityki „blasku słonecznego i zaangażowania” prezydentów Kim Dae-junga i Roh Moo-hyuna, polega natomiast na budowie mechanizmów współpracy międzykoreańskiej w różnych dziedzinach.

Czy Północ jest gotowa na takie zmiany?

Lata izolacji zrobiły swoje, więc kolejne pokolenie północnych Koreańczyków nie zna innego świata. Nie mają na przykład dostępu do internetu. Zaledwie około tysiąca osób korzysta z zakupów w amerykańskich i chińskich sklepach internetowych. W hotelu Uniwersytetu im. Kim Ir Sena, w telewizji mogłem obejrzeć tylko program Koreańskiej Centralnej Telewizji, choć trzeba przyznać, że już zaczynają pojawiać się południowokoreańskie seriale i muzyka, co nie bardzo podoba się władzy.

We wrześniu 2018 roku uczestniczył pan w obchodach siedemdziesięciolecia Korei Północnej. Czy według pana ostatnie wydarzenia zmieniły sytuację w tym kraju?

Zauważyłem, że system funkcjonuje znacznie lepiej niż wcześniej. Pamiętam moją pierwszą wizytę w Pjongjangu w 1986 roku. Miasto było zaciemnione, często wyły syreny obwieszczające alarm przeciwnocny. To był szok nawet dla kogoś, kto przyjechał z komunistycznej Polski. Dziś miasto jest oświetlone, chociaż w hotelu, w którym mieszkałem, zdarzały się przerwy w dostawie prądu. Na ulicach pojawiły się samochody, głównie chińskie marki, jeżdżą taksówki, tworzą się korki.

Jak ocenia pan międzykoreański dialog? Czy jest realizowane porozumienie wojskowe podpisane przez oba państwa koreańskie na wrześniowym szczycie w Pjongjangu?

We wrześniu 2018 roku zawarto nie tylko porozumienie o współpracy wojskowej. Północnokoreański przywódca zobowiązał się także do dalszych kroków w procesie denuklearyzacji. Ponadto Kim Dzong Un i Mun Jae-in odwiedzili wówczas górę Pektu, gdzie według legendy miał się urodzić pierwszy władca Korei – Tangun, a według północnokoreańskiej propagandy – także ojciec obecnego przywódcy, Kim Dzong Il.

W strefie przygranicznej po obu stronach niszczone są wojskowe posterunki, w Panmundżom zmniejszono liczbę strażników, nie noszą oni też już broni. Obie Koree chcą wspólnie zorganizować igrzyska olimpijskie w 2030 roku oraz mistrzostwa świata w piłce nożnej. W planach jest także udostępnienie strefy demarkacyjnej jako atrakcji turystycznej. Oprócz 240-kilometrowej strefy zdemilitaryzowanej, która przebiega przez Półwysep Koreański, są dwie linie delimitacyjne na Morzu Żółtym oraz na Morzu Japońskim. Dotychczas często w tym rejonie dochodziło do incydentów z użyciem okrętów wojennych. Teraz wytyczona jest tam strefa pokoju i współpracy ekonomicznej. ■



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Między wierszami

W nocy z 20 na 21 stycznia 2019 roku izraelskie lotnictwo zaatakowało irańskie cele znajdujące się na terytorium Syrii. Zniszczone zostały bazy oraz składnicy amunicji zajmowane przez elitarne oddziały Ghods (Al-Kuds), będące częścią Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. Była to odpowiedź na wystrzelenie dzień wcześniej przez Iran rakiety w kierunku Wzgórz Golan. Nie jest to pierwszy tego typu incydent, ale tym razem zaskakująca była niemal natychmiastowa reakcja Sił Obronnych Izraela. Nowością jest również przejrzystość przeprowadzonej operacji. Izrael nie tylko otwarcie przyznał się do nalotu, lecz także na bieżąco ujawniał jego szczegóły. Nie ukrywał także, że celem były siły irańskie.

Wydarzenie to otwiera nowy rozdział w relacjach między Izraelem a Iranem. Niektórzy zauważają, że zaostrzenie konfliktu jest związane z kwietniowymi wyborami i niekorzystnymi dla Beniamina Netanjahu sondażami. Bez wątpienia mają one wpływ na decyzje podejmowane przez izraelskiego premiera, ale dużo większe znaczenie ma rozwój sytuacji w regionie. Po tym, jak Donald Trump ogłosił wycofanie sił amerykańskich z Syrii oraz dał do zrozumienia, że nie zamierza ingerować w irańskie działania na jej terytorium, wzrosło strategiczne znaczenie północnej granicy Izraela. Teheran nie kryje swoich regionalnych ambicji, które może realizować za pomocą Hezbollahu oraz własnych sił ekspedycyjnych.

Iran to przeciwnik, którego nie należy lekceważyć. Państwo to dysponuje środkami do prowadzenia wojny oraz zaprawionymi w boju oddziałami. Izraelscy dowódcy wiedzą, że nie są w stanie wygrać ewentualnej konfrontacji wyłącznie za pomocą lotnictwa i zdają sobie sprawę z ryzyka pełnoskalowego konfliktu. Dlatego w interesie Izraela jest znalezienie politycznych rozwiązań oraz wpływowych sojuszników. Ciężko przewidzieć dalsze decyzje Stanów Zjednoczonych, które są nastawione na minimalizację swoich sił w regionie.

Pozostaje Rosja, która wspiera syryjski rząd i zarazem próbuje zachować dobre stosunki z Izraelem. Nie po raz pierwszy doprowadziło to do pewnego paradoksu. Zgodnie z wcześniejszymi uzgodnieniami Tel Awiw poinformował Moskwę i Damaszek o planowanym ataku. W odpowiedzi zostały wyłączone systemy S-300 oraz S-400, mające bronić syryjskiego nieba, a wyrzutnie Pancyr-1 działały w ograniczony sposób. Rosjanie dozbrajają siły Baszszara Al-Asada, ale nie pozwalają na konfrontację swojej myśli technicznej z zachodnim uzbrojeniem. W ten sposób nie tylko utrzymują w tajemnicy jej rzeczywistą skuteczność, ale także pokazują, że Iran nie może liczyć na ich wsparcie.

Dzień po ataku rosyjski minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow nawoływał do zaprzestania izraelskich nalotów na terytorium Syrii, a syryjski ambasador przy ONZ Baszszar Jaafari zagroził odwetem na lotnisko Ben Gurion. To nic innego jak polityczna retoryka. Realny wpływ na rozwój sytuacji może mieć za to spotkanie, do którego doszło w drugiej połowie stycznia, Władimira Putina z Recepem Erdoğanem. Na Kremlu dyskutowano przede wszystkim o sytuacji w syryjskiej prowincji Idlib, ale przywódcy zapowiedzieli, że w najbliższym czasie odbędzie się szczyt trzech państw – Rosji, Turcji oraz Iranu. To właśnie wtedy ma zostać ustalony podział wpływów w Syrii. W wypadku gwarancji suwerenności Damaszek może poprosić o wycofanie obcych sił. Prawdopodobnie Rosjanie będą dążyć do realizacji tego scenariusza, ponieważ pozwala on utrzymać stabilizację w regionie i kontynuować współpracę z Izraelem.

MICHAŁ ZIELIŃSKI jest dziennikarzem i korespondentem zajmującym się problematyką społeczną Bliskiego Wschodu oraz państw postsowieckich.

Wojna o armię

Kosowski parlament w grudniu 2018 podjął decyzję o przystąpieniu do budowy własnych sił zbrojnych. Proces ten nie będzie jednak ani łatwy, ani szybki, tym bardziej że sprawa ta jest przedmiotem międzynarodowego sporu.

ROBERT SENDEK

Pakiet ustaw dotyczących przekształcenia istniejących w republice sił reagowania we własne siły zbrojne parlament Kosowa przyjął 14 grudnia. Nowe prawo ustala „kompetencje, organizację i funkcjonowanie Kosowskich Sił Bezpieczeństwa jako wieloetnicznych, zawodowych sił zbrojnych, upoważnionych zgodnie z konstytucyjnym i prawnym mandatem do służby wewnątrz państwa i poza jego granicami, w obronie integralności terytorialnej kraju, obywateli, majątku i interesów Republiki Kosowa”, oraz to, że „podlegają demokratycznej kontroli cywilnej”.

Ustawy zostały przyjęte w bardzo uroczystej atmosferze. Ponieważ na sali parlamentarnej nie było przedstawicieli mniejszości serbskiej, bojkotujących proces formowania kosowskiej armii, ustawa została przyjęta przez aklamację. „Dzięki temu głosowaniu dla naszego państwa zaczyna się nowa era: od dziś Kosowo ma własne siły zbrojne. W sali parlamentu obecni są kadeci Kosowskich Sił Bezpieczeństwa, którzy od tej chwili stają się żołnierzami. Gratuluję im służby w armii Kosowa”, mówił tuż po przyjęciu prawa marszałek parlamentu, Kadri Veseli. Ustawy weszły w życie 28 grudnia, gdy podpisał je prezydent Kosowa, Hashim Thaçi.

BEZ ZGODY SERBÓW

Dla obserwatorów wydarzeń w Kosowie grudniowa proklamacja nie była zaskoczeniem. Ponieważ armia jest jednym z atrybutów niepodległego państwa, władze republiki praktycznie od chwili ogłoszenia niezależności kraju w lutym 2008 roku starały się o utworzenie własnych sił zbrojnych. Ostry sprzeciw wyraziła jednak wówczas Serbia, która nie może się pogo-

dzić z utratą południowych terytoriów, uważanych za historyczne jądro państwa serbskiego. Serbowie utrzymują, że kwestie odnoszące się do operujących na terenie republiki jednostek wojskowych reguluje rezolucja Rady Bezpieczeństwa ONZ nr 1244 z 1999 roku. Dokument ten, przyjęty po zakończeniu interwencji natowskiej na obszarze byłej Jugosławii, stanowi, że legalnymi siłami wojskowymi na terenie Kosowa są oddziały międzynarodowych sił pokojowych KFOR. Z tego właśnie względu, mimo starań kosowskich Albańczyków, w Kosowie mogły powstać tylko lekkie siły reagowania – Kosowskie Siły Bezpieczeństwa (KSB) – sformowane pod nadzorem wspólnoty międzynarodowej. Z tego też czasu pochodzą zapisy w konstytucji Kosowa (art. 126) odnoszące się do statusu i obowiązków KSB. Konstytucja definiuje tę formację jako „narodowe siły bezpieczeństwa”, mające służyć do obrony obywateli republiki oraz zamieszkujących ją wspólnot. Dotychczas KSB służyły głównie do zadań porządkowych oraz do reagowania kryzysowego, np. w czasie zamieszek czy klęsk żywiołowych.

Władze kosowskie często wracały do planów przekształcenia KSB w pełnowartościową armię. Starania te budziły żywą negatywną reakcję zarówno mieszkających w Kosowie Serbów, jak też oficjalną, Belgradu. Regularnie dochodziło z tego powodu do kryzysów we wzajemnych stosunkach kosowsko-serbskich. Głośno protestowali przeciwko tym zamiarom członkowie Serbskiej Listy (partia polityczna reprezentująca kosowskich Serbów). Argumentowali, że skoro status KSB reguluje konstytucja republiki, to niemożliwe jest utworzenie pełnowartościowych sił zbrojnych bez zmiany

PLANY PRZEKSZTAŁCENIA KSB W PEŁNOWARTOŚCIOWĄ ARMİĘ OD POCZĄTKU BUDZIŁY NEGATYWNĄ REAKCJĘ NIE TYLKO, KOSOWSKICH SERBÓW, LECZ TAKŻE SAMO BELGRADU



ustawy zasadniczej. Warunkiem zaś zmiany konstytucji jest uzyskanie poparcia także partii opozycyjnych, w tym właśnie Serbskiej Listy. Chcąc zatem zablokować cały proces, Serbowie przyjęli taktykę bojkotowania posiedzeń parlamentarnych, na których debatowano o zmianie statusu KSB. Na władze kosowskie naciskali również zachodni sojusznicy, próbując skłonić Albańczyków do porozumienia się z Serbami i wprowadzenia zmian do konstytucji przed powołaniem armii.

DLA CHCĄCEGO NIC TRUDNEGO

Ponieważ kosowscy Albańczycy nie zamierzali zrezygnować z utworzenia armii, z kolei kosowscy Serbowie za nic nie chcieli dopuścić do tego, żeby ona powstała, doszło do sytuacji patowej. Ktoś znalazł jednak rozwiązanie, dzięki któremu możliwe stało się uniknięcie kłopotliwych i trudnych do przeprowadzenia zmian w konstytucji. Zapis w ustawie zasadniczej głosi, iż „wewnętrzna organizację Kosowskich Sił Bezpieczeństwa reguluje ustawa” (art. 126, § 5), postanowiono więc z tego właśnie skorzystać. Na tej podstawie można było dopisać nowe obowiązki i zadania KSB nie w konstytucji, lecz w ustawie. A że nazwa całej formacji zapisana jest w konstytucji, której nie da się zmienić, nowa armia będzie funkcjonować pod starą nazwą, jako Kosowskie Siły Bezpieczeństwa.

Decyzja kosowskiego parlamentu komplikuje i bez tego niełatwe stosunki serbsko-kosowskie. Wynikają one w głównej mierze z mocno konfrontacyjnego podejścia do siebie obydwu stron. Serbia odrzuca państwowość Kosowa i konsekwentnie utrudnia władzom republiki przystępowanie do organizacji i instytucji międzynarodowych. Z kolei kosowscy Albańczycy zawsze znajdą sposób, by w sytuacji konfliktowej odpowiedzieć Belgradowi pięknym za nadobne. Pod koniec 2018 roku doszło właśnie do takiej bolesnej dla obu stron wymiany ciosów. W listopadzie Serbowie zablokowali możliwość przystąpienia Kosowa do Interpolu, ale odpowiedź władz kosowskich również była dotkliwa: wprowadzono bardzo wysokie (wynoszące nawet 100%) cła na towary importowane z Serbii oraz Bośni i Hercegowiny (przede wszystkim z Republiki Serbskiej), co uderza głównie w mieszkańców na północy kraju Serbów.

Grudniowa decyzja kosowskiego parlamentu wywołała burzliwe reakcje w Serbii. Prezydent te-

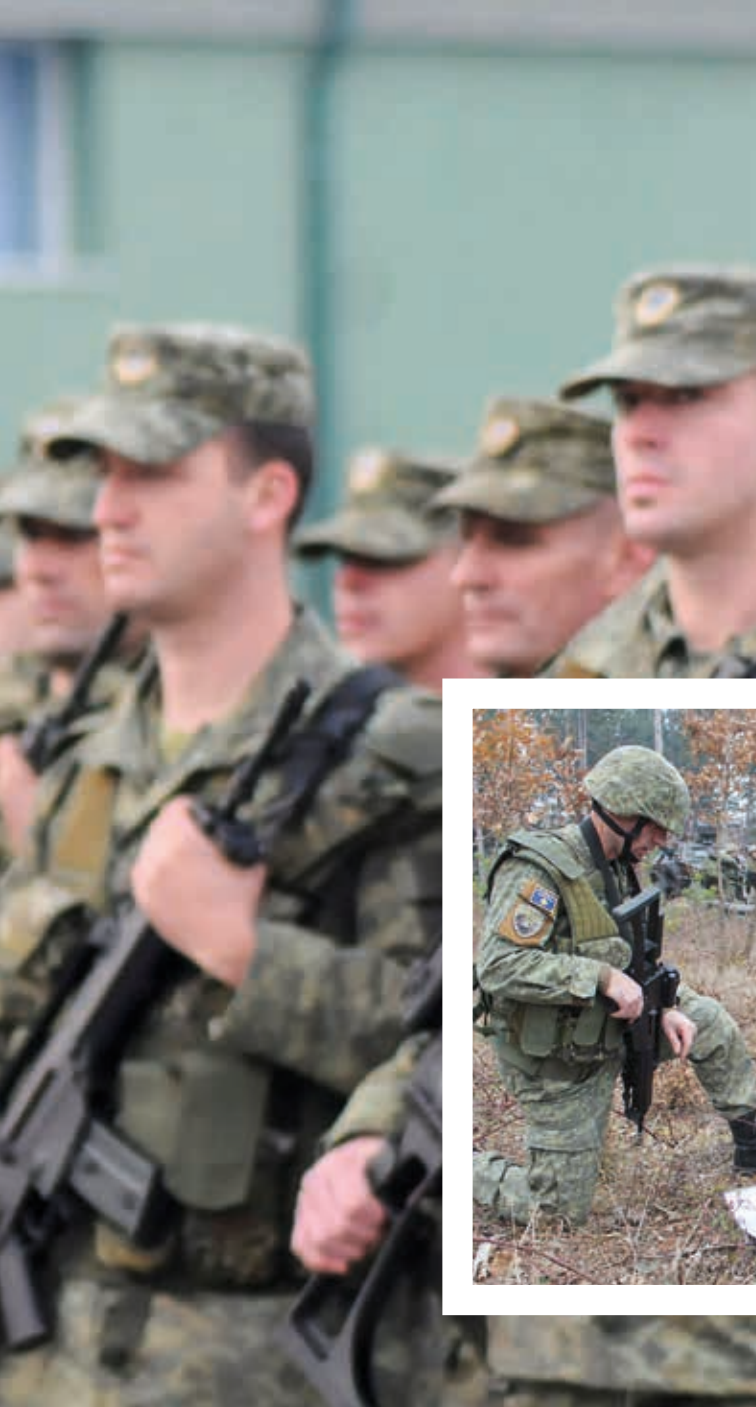


Prezydent Hashim Thaci odwiedza jednostkę Kosowskich Sił Bezpieczeństwa w przededniu podjęcia przez parlament decyzji o utworzeniu armii narodowej. Prisztina, 13 grudnia 2018 roku

go kraju Aleksandar Vučić nazwał ten krok skandalicznym. Mówił: „Dziś, po wielu latach grózb, oficjalnie zostały utworzone tak zwane wojska Kosowa. Dokonano tego w sposób nielegalny i bezprawny. To, co zrobili Albańczycy, jest wbrew prawu międzynarodowemu, ale także wbrew konstytucji, jak oni to nazywają, Republiki Kosowa. Zarówno oni, jak też ich mecenasi, pokazali w ten sposób, że nie zależy im na przestrzeganiu prawa, ale na stosowaniu siły, na atakowaniu Serbów i Serbii”.

Wydaje się oczywiste, że decyzja Prisztiny nie byłaby możliwa bez cichego przyzwolenia przynajmniej części sojuszników z Zachodu, w szczególności Stanów Zjednoczonych. O tym

LAURA HASANI / REUTERS FORUM



właśnie wspominał Vučić. Akceptacja decyzji władz kosowskich wynika jednak z przekonania, że Kosowo – jako niepodległe państwo – ma pełne prawo podejmować suwerenne decyzje dotyczące własnego bezpieczeństwa. Pogląd taki wyraził m.in. szef Sojuszniczego Dowództwa Sił Połączonych w Neapolu adm. James G. Foggo podczas swojej wizyty w Skopju kilka dni przed głosowaniem w prziśnięskim parlamencie.

NIEŁATWA DROGA

Zmiany prawne wcale nie oznaczają, że Kosowo już teraz ma pełnowartościowe siły zbrojne. Wręcz przeciwnie, to załedwie początek niełatwego procesu transformacji obecnych sił bezpieczeństwa w armię. Niezbędne jest stworzenie zaplecza lokalowego i terenowego, przygotowanie jednostek,

pozyskanie wyposażenia, wyszkolenie personelu, opracowanie właściwej struktury dowodzenia. Przewiduje się, że docelowo armia kosowska będzie liczyć 5 tys. żołnierzy w służbie stałej oraz 3 tys. rezerwistów. Na wszystko to trzeba czasu i środków. Rustem Berisha, nowy szef kosowskiego ministerstwa obrony, przewiduje, że cały proces transformacji może potrwać nawet dziesięć lat.

Plany zakładają, że wojska kosowskie będą wielonarodowościowe, co ma odzwierciedlać istniejące w republice różnicowanie pod tym względem. Przyjmuje się, że przedstawiciele mniejszości, w tym

Serbowie, będą stanowić 10% stanu osobowego nowej armii. Może to być próg niełatwy do osiągnięcia, ale chyba nie niemożliwy. Serbska prasa na przełomie roku ze zdumieniem donosiła, że zgłosili się pierwsi ochotnicy serbscy zainteresowani służbą w tworzonych siłach zbrojnych Kosowa. Minister Berisha chwalił się nawet, że do objęcia 70 wolnych miejsc przeznaczonych dla mniejszości zgłosiło się ponoć aż 300 Serbów. I to pomimo nawoływań polityków z Belgradu, aby Serbowie do „albańskiego” wojska nie

wstępowali. Być może to zaskakujące, jednak jeśli weźmie się pod uwagę warunki życia w Kosowie, wysokie bezrobocie i brak perspektyw, to służba z zagwarantowanymi dochodami może stanowić całkiem ciekawą propozycję dla wielu młodych Serbów. Zresztą, nie tylko Serbów.

Inna sprawa, że według badań statystycznych, spośród wszystkich instytucji działających w Kosowie to właśnie KSB cieszą się największym zaufaniem mieszkańców republiki. Pozytywnie postrzega tę instytucję aż 78% ankietowanych. Dla porównania: według tego samego badania, zaufanie wobec kosowskiego rządu ma 14% ankietowanych, do parlamentu zaś jeszcze mniej, bo załedwie 12%. Ciekawe, że niższym niż KSB zaufaniem mieszkańców Kosowa cieszą się nawet międzynarodowe siły KFOR (66% ankietowanych). W publikowanych badaniach brak jest, co prawda, informacji, czy ankietę uwzględnia głosy mniejszości narodowych, w tym Serbów, niemniej jednak takie wyniki pokazują, że wojsko jest postrzegane w Kosowie bardzo pozytywnie. Niewykluczone, iż może to mieć również przełożenie na decyzję młodych Serbów w sprawie podjęcia służby wojskowej. ■

USA

Amerykanie w Afryce

Plany USA zakładają, że w 2019 roku zostaną ukończone dwie nowe bazy lotnicze w Afryce: w Nigrze i Somalii.

Regionalne dowództwo Amerykańskich sił zbrojnych w Afryce (AFRICOM) przewiduje, iż w 2019 roku uda się sfinalizować projekt budowy dwóch nowych baz lotniczych na kontynencie afrykańskim. Pierwszą jest Baza Lotnicza nr 201 w mieście Agadez w środkowym Nigrze, przeznaczona na miejsce stacjonowania dronów uderzeniowych i samolotów. Baza miała osiągnąć stan operacyjny już w ubiegłym roku, jednak z powodu trudnych warunków terenowych oraz pogodowych przesunięto ten termin na połowę 2019 roku.



Druga amerykańska baza lotnicza powstaje w Somalii. Ulokowana jest ona wokół lotniska Baledogle w południowej części kraju, około 70 km na północ od Mogadyszu. Lotnisko zbudowane przez Rosjan, później użytkowane przez lotnictwo somalijskie, jest obecnie w fazie przebudowy. Z nowego lądowiska będą mogły korzystać samoloty pozostające w wyposażeniu amerykańskiego lotnictwa. Przewiduje się, iż bazy będą wykorzystywane do działań przeciwko bojownikom z lokalnych ugrupowań terrorystycznych Boko Haram i Asz-Szabab. ■



ZIMBABWE

Żołnierze Narodowej Armii Zimbabwe są oskarżani przez Komisję Praw Człowieka o stosowanie tortur wobec osób biorących udział w trwających od 14 stycznia antyrządowych protestach.



BUŁGARIA

Rząd bułgarski zdecydował się na zakup dla sił lotniczych nowych samolotów F-16. Rząd ma akceptację parlamentu w sprawie rozmów z producentem. Nowe myśliwce będą wprowadzone w miejsce wysłużonych MiG-29.

MEKSYK

PREZYDENT MEKSYKU ZAMIERZA UTWORZYĆ NOWĄ SŁUŻBĘ MUNDUROWĄ

Nowy, urzędujący od grudnia 2018 roku, prezydent Meksyku Andrés Manuel López Obrador zamierza do walki z przemocą na ulicach powołać oddziały gwardii narodowej. Jego zdaniem, najlepszym rozwiązaniem ma być przekazanie jej dużej części obowiązków należących dotychczas do skorumpowanej i nieefektywnej policji. Gwardia narodowa ma liczyć 50 tys. osób i stanowić główne siły bezpieczeństwa w kraju.

Zgodnie z oficjalnymi danymi, w 2018 roku w Meksyku zamordowano ponad 33 tys. mieszkańców, najwięcej od czasu, kiedy zaczęto prowadzić takie statystyki (1997 rok). Są to głównie ofiary karteli narkotykowych oraz gangów ulicznych. Wyzwaniem dla rządu jest również to, że liczba dokonanych morderstw szybko rośnie i z każdym rokiem jest coraz większa. Uliczne zabójstwa i porachunki gangów są w tym kraju ogromnym problemem społecznym. ■

NIEMCY

Na czele szpicy

Z początkiem 2019 roku Niemcy objęli dowodzenie nad połączonymi siłami zadaniowymi bardzo wysokiej gotowości, VJTF.

Wskład VJTF (Very High Readiness Joint Task Force) wchodzi wiodąca jednostka lądowa wraz z dodatkowymi komponentami: lotniczym, morskim, specjalnym i wsparcia. Zakres obowiązków oraz stopień gotowości poszczególnych jednostek zmienia-

ją się rotacyjnie co roku. Założenia przewidują, iż szpica w maksymalnie krótkim czasie (48–72 h) ma być gotowa do działania we wskazanym punkcie globu.

Wraz z przejęciem odpowiedzialności nad szpicą przez Niemcy, jądrem VJTF

stała się niemiecka 9 Brygada Pancerna (Panzerlehrbrigade 9) z Munsteru. Jej siły są wzmocnione przez komponent lotniczy oraz oddział piechoty zmechanizowanej wystawione przez Holandię i Norwegię. W tym roku w skład szpicy wejdą również żołnierze z Belgii,

FILIPINY

RAZEM CZY OSOBNO

Na filipińskiej wyspie Mindanao 21 stycznia odbyło się referendum, które ma położyć kres konfliktowi wewnętrznemu między ludnością muzułmańską a chrześcijanami. W regionie tym od niemal pół wieku trwa konflikt, podczas którego zginęło, jak się ocenia, nawet do 120 tys. osób. Filipiny są krajem w większości chrześcijańskim, jednak na południu kraju, na wyspie Mindanao mieszka mniejszość muzułmańska. Domaga się ona większej autonomii, a radykalne ugrupowania żądają nawet całkowitej secesji od Filipin i utworzenia niezależnego państwa muzułmańskiego.

W referendum mogło wziąć udział około 2,8 mln osób zamieszkujących problematyczne terytorium. Jeśli uczestnicy plebiscytu wyrażą taką opinię, zostanie utworzony autonomiczny obszar pod nazwą Bangsamoro, zamieszany przez narodowość Moro (filipińscy muzułmanie).

USA

NOWA BROŃ DLA F-35

Pentagon rozpatruje uzbrojenie samolotów F-35 w broń, która pozwoli na strącanie międzykontynentalnych pocisków balistycznych.

W najbliższym czasie Pentagon zamierza poddać analizie sensowność włączenia samolotów **Lockheed Martin F-35 Lightning II** do amerykańskiego systemu przeciwrakietowego. Samoloty F-35 są wyposażone w system, który po-

zwala na wykrycie w podczerwieni śladów silników rakiet balistycznych oraz precyzyjną lokalizację zagrożenia. Komputery pokładowe samolotów mogą również przekazywać informacje na temat celu do sił własnych i sprzymierzonych w ramach walki sieciocentrycznej. Rozpatrywana przez analityków koncepcja przewiduje uzbrojenie maszyn w pociski rakietowe, które będą w stanie niszczyć we wczesnych etapach lotu pociski balistyczne przeciwnika. W tym celu potrzebne będzie albo opraco-

wanie nowego pocisku rakietowego powietrze-powietrze średniego lub dalekiego zasięgu, albo też (co wydaje się mniej prawdopodobne) zmodyfikowanie z myślą o nowych zadaniach już istniejących konstrukcji. Użycie samolotów ma pozwolić na możliwie szybką reakcję w sytuacji zagrożenia, a także zwiększyć możliwości odparcia ataku.

Raport na temat ewentualnego włączenia F-35 do amerykańskiej tarczy antyrakietowej ma powstać do połowy 2019 roku.



Czech, Francji, Litwy, Luksemburga i Łotwy. Powstała w ten sposób wielonarodowa brygada licząca około 8 tys. żołnierzy gotowych do błyskawicznej reakcji w momencie zagrożenia.

Powstanie VJTF było jednym z punktów „Planu działań na rzecz gotowości” (Readiness Action Plan), przyjętego przez sojusz na szczycie w walijskim Newport w 2014 roku. Szpica jest jednostką szybkiego reagowania NATO w sytuacjach kryzysowych. Jej powołanie stanowi odpowiedź na rosnące zagrożenie na wschodniej i południowej flance sojuszu.

BUNDESWEHR

HISTORIA

/ XX WIEK

WIELKA UCIECZKA SKOŃCZYŁA SIĘ POWSTANIEM

KARTA PRACY
WYSTAWIONA DLA
JADWIGI PO UPADKU PO-
WSTANIA WARSZAWSKIEGO.
TRAFIŁA WÓWCZAS Z BRATEM
JERZYM DO WROCŁAWIA,
A NASTĘPNIE DO HALL.
PRZED WYWÓZKĄ DO AU-
SCHWITZ OCAŁIŁ ICH
KONIEC WOJNY.

Mówi się często o weteranach wojennych, że ich życie jest gotowym scenariuszem filmowym. Przejścia Jadwigi Bielskiej „Szarotki”, łączniczki i sanitariuszki powstańczego Batalionu AK „Bończa”, mogłyby się złożyć na kilka filmów sensacyjnych.

PIOTR KORCZYŃSKI

sche

Arbeitskränne

119

ouvernement

ngezahlte Lohnersparnisse

ertigungsnummer: A 2375



ARCH. JADWIGI BIELSKIEJ

ident Breslau
sungs-lager-

74 mm

Jadwiga Bielska mieszka w domu stojącym w samym centrum Zgierza, przy ulicy Sieradzkiej, czyli w tym samym miejscu, w którym w 1940 roku zaczęła się jej wojenna wędrówka. Jedną z wielu popłatanych polskich dróg. Bielska urodziła się 14 marca 1924 roku w Końskich i była najmłodszym dzieckiem Apolonii i Teofila Kliszków. W 1935 roku rodzina przeniosła się do Zgierza i tutaj zastał ją wybuch II wojny światowej. Pani Jadwiga dobrze pamięta wkroczenie Niemców do miasta i to, jak ustawiali swe wozy na ulicy Sieradzkiej, lecz jej okupacyjna gehenna na dobre rozpoczęła się w lipcu 1940 roku. Tak wspomina ten feralny dzień: „Padał deszcz, a ja po operacji wyrostka leżałam w łóżku. Nagle słyszymy z mamą walenie do okien i drzwi. Niemcy! Dali mi 15 minut na ubranie się, zabranie najpotrzebniejszych rzeczy i pożegnanie z rodziną. Włożyłam na siebie dwie sukienki, żeby mieć więcej rzeczy, zdążyłam zabrać jeszcze dres gimnastyczny z gimnazjum. Z domu pognano mnie do żydowskiej szkoły, gdzie przetrzymywano podobnych nieszczęśników, a następnie przez Arbeitsamt (urząd pracy) zostałam wywieziona w połowie sierpnia na przymusowe roboty do Austrii. Tam pracowałam w bardzo ciężkich warunkach przy karczowaniu lasu na granicy z Węgrami”.

POWRÓT Z WZCZASÓW

Szesnastoletnia Jadwiga trafiła do Mannersdorfu, z którego codziennie półtorej godziny musiała wraz z innymi robotnicami maszerować przez Alpy do miejsca pracy. Harówka ponad siły na wyrębie sprawiła, że dziewczyna zachorowała i w październiku 1940 roku przeniesiono ją do Ebenfurthu, gdzie pracowała w fabryce tkackiej do 1 listopada 1943 roku. Od tej daty zaczyna się sensacyjny wątek w życiu nastolatki. Starszej siostrze Jadwigi, Reginie, udało się za pośrednictwem dwóch koleżanek zatrudnionych w domach niemieckiego celnika i żandarma dostarczyć jej fałszywe papiery wyrobione przez brata, ks. Michała, wikariusza

katedry św. Jana Chrzciciela w Warszawie. Zopatrzona w te dokumenty dziewczyna oczekiwała dogodnego momentu do ucieczki. Okazja nadarzyła się, gdy Jadwiga przebywała na przepustce w Wiedniu i nad miasto nadleciały niespodziewanie alianckie bombowce. Po nalocie nie wróciła już do miejsca pracy, tylko wsiadła w pociąg jadący w kierunku Generalnego Gubernatorstwa. Posługując się kenkartą na nazwisko Barbara Gancarczyk, przeżywała ciężkie chwile w pociągach co rusz kontrolowanych przez niemiecką policję. „Pamiętam – wspomina pani Jadwiga – jak przed samym Krakowem wpadli do pociągu Niemcy, legitymując się jako funkcjonariusze policji kryminalnej. Kiedy poprosili mnie o dokumenty, powiedziałam, że wracam z wczasów. Po przekroczeniu granicy Generalnego Gubernatorstwa posługiwałam się kenkartą na nazwisko Janina Kołodzińska. Po przejrzeniu dokumentu jeden z policjantów zażądał otwarcia walizki, by ją zrewidować. A w walizce miałam kawał słoniny. Przezornie zawinęłam ją w ubrania. Tak nimi przewracałam przed Niemcem, że nic nie zauważył i dał mi spokój. Takich kontroli w czasie całej podróży przeżyłam kilka i szczęściem za każdym razem udawało mi się nie wzbudzać zbyt daleko idących podejrzeń żandarmów”.

POWSTAŃCZA SZAROTKA

Jadwiga Bielska wróciła do Warszawy, gdzie przy ulicy Dziekanej zamieszkała jej rodzina po wysiedleniu ze Zgierza. Bracia – wspomniany już ks. Michał „Michał”, Albin Maksymilian „Maks” i Jerzy „Jur” – byli od dłuższego czasu żołnierzami Armii Krajowej, a Jadwiga dołączyła do nich 20 listopada 1943 roku, przybierając w AK pseudonim „Szarotka”. Do powstania warszawskiego ruszyła jako żołnierz Batalionu „Bończa”, dowodzonego przez rtm. Edwarda Sobeskiego. Dobrze zapamiętała tamten okres: „Jechałam z bratem tramwajem z Koła w Warszawie, kiedy nagle konduktor krzyknął: »To już ostatnie chwile rządów niemieckich. Będziemy walczyć!«. To nas nie zdziwiło, bo już wiedzieliśmy o tej decyzji”. „Szarotka” jako łączniczka przenosiła meldunki kanałami ze Starego Miasta na Czerniaków.



Młodziutka Jadwiga Kliszko mieszkała z rodzicami w Końskich. W latach trzydziestych rodzina przeniosła się do Zgierza. Tam zastała ich wojna.



Falszywe dokumenty Jadwigi
wystawione na nazwisko
Maria Szyszkorska



SZESNASTOLETNIA
JADWIGA TRAFIŁA DO
MANNERSDORFU, Z KTÓRE-
GO CODZIENNIE PÓŁTOREJ
GODZINY MUSIAŁA WRAZ
Z INNYMI ROBOTNICAMI
MASZEROWAĆ PRZEZ
ALPY.



CZekała na dogodny moment do ucieczki. Gdy była na przepustce w Wiedniu, nad miasto nadleciały alianckie bombowce. Po nalocie nie wróciła już do miejsca pracy

Budowała barykady, a wreszcie została sanitariuszką, opatrywała rannych i organizowała prowizoryczne szpitale. W pamięci utkwiły jej zwłaszcza pełne grozy chwile niemieckiego bombardowania: „Samoloty latały niziutko, nad samymi dachami i, wyjął niemiłosiernie, zrzucały bomby. Na szczęście, nie wszystkie wybuchały. Po nalocie nasi chłopcy wybiegali z piwnic i od razu rozbrajali niewybuczone”.

Lecz nie tylko przenoszenie meldunków i opieka nad rannymi należały do zadań „Szarotki”. Swemu bratu, ks. Michałowi, który w stopniu kapitana był kapłanem Batalionu

„Bończa”, pomagała przenosić z kancelarii katedry św. Jana do jej podziemi bezcenne zbiory. Zapamiętała też, jak w czasie ciężkich walk na Starym Mieście kilka razy nocowała tam z rodzicami i braćmi, wśród krypt wielkich Polaków.

PRZYMUSOWA PRACA

Dla „Szarotki” i jej braci powstanie skończyło się 5 września 1944 roku: „Mimo że nie mieliśmy już co jeść i brakowało amunicji, walczyliśmy na Nowym Mieście dalej, ale jak zabrakło nam wody, nie mieliśmy już szans. Udało nam





Jadwiga Bielska została odznaczona Warszawskim Krzyżem Powstańczym i Krzyżem Armii Krajowej. Po wojnie wróciła do Zgierza na ulicę Sieradzką, gdzie mieszkała jako dziecko.

się wmieszać w ludność cywilną i tak nas Niemcy zagarnęli do niewoli”. „Szarotkę”, „Maksa” i „Jura” wysłano do obozu przejściowego na Woli, gdzie zamknięto ich w kościele i obrabowano.

Niemcy oddzielili kobiety od mężczyzn i pognali do obozu przejściowego w Pruszkowie. Tam Jadwiga szczęśliwie natknęła się na brata Jerzego „Jura”. Rodzeństwo, podające się za małżeństwo o nazwisku Szyszkorscy, wywieziono do obozu we Wrocławiu, a następnie do Hall. Większość mężczyzn jednak zostawiono we Wrocławiu i wtedy przydała się mistyfikacja z małżeństwem, którego nie rozdzielono i oboje Szyszkorscy wraz z innymi kobietami wrócili do wrocławskiego obozu. Stąd po dwóch tygodniach „Szarotkę” i „Jura” w grupie 25 więźniarek wywieziono do Czech. Bielska wspomina: „Brat pracował jako pomocnik maszynisty, a mnie skierowano do obsługi obrotnicy lokomotywowni kolejowej, dziwnym zrzędzeniem losu, w niewoli »poszliśmy w ślady« naszego ojca, który przed wojną był kolejjarzem. Po pewnym czasie kazali mnie i »mężowi« pakować się i oznajmili nam, że wysyłają nas do Auschwitz. Całe szczęście, że to już był koniec wojny, front się przybliżył i Niemcy zrezygnowali z tego transportu. Brat wrócił na stanowisko pomocnika maszynisty, a ja oliwiłam koła wagonów. Zaopiekował się wtedy mną starszy Niemiec, który pozwalał mi spać w czasie nocnych dyżurów i wówczas za mnie wykonywał pracę. Mówił mi, że on ma dzieci i rozumie, w jakiej jestem sytuacji. Wreszcie doczekaliśmy

„SZAROTKA” JAKO ŁĄCZNICZKA PRZENOSIŁA MELDUNKI KANAŁAMI ZE STAREGO MIASTA NA CZERNIAKÓW. BUDOWAŁA BARYKADY, A WRESZCIE ZOSTAŁA SANITARIUSZKĄ, OPATRYWAŁA RANNYCH I ORGANIZOWAŁA PROWIZORYCZNE SZPITALA

sowych robotach!«. A on na to: »A wy, Polaki, to takie same jak Giermany«. Na szczęście na tym się skończyło i z Opola wróciliśmy już do domu pociągiem”.

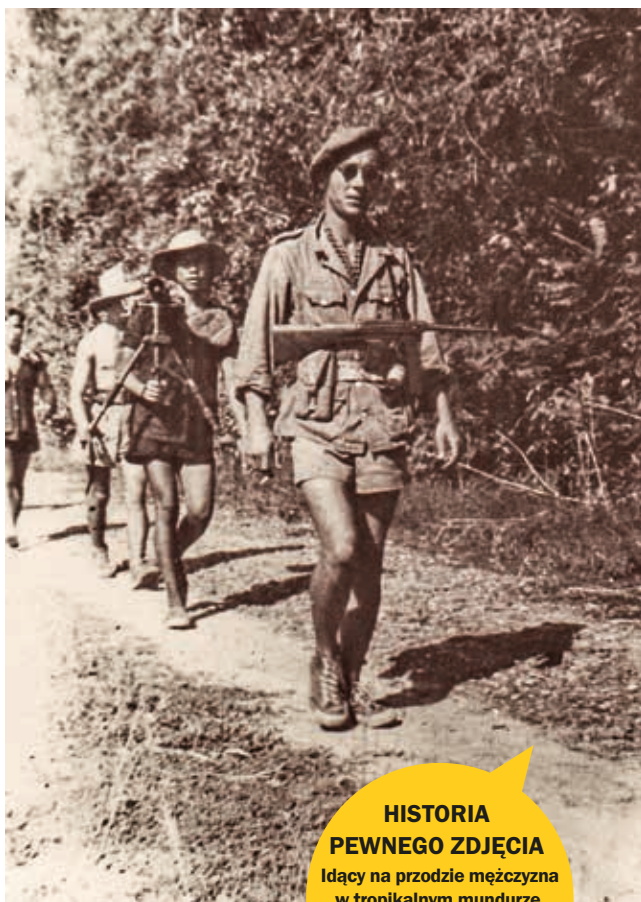
Po wojnie pani Jadwiga pracowała w łódzkich szpitalach jako kierowniczka stołówki. W 1954 roku wyszła za mąż za Tadeusza Bielskiego, który również był w AK i w powstaniu warszawskim walczył pod pseudonimem „Biały”. Jadwiga Bielska została odznaczona Krzyżem Armii Krajowej, Warszawskim Krzyżem Powstańczym, Medalem „Pro Patria” i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. ■



się wyzwolenia przez Rosjan, ale niedługo się z tego cieszyliśmy. Teraz trzeba było się strzec przed

»wyzwolicielem!«. Niemki prosiły nas, żebyśmy je bronili, ale my sami byliśmy w strachu, a tutaj trzeba było jeszcze wrócić do domu. Wyruszyliśmy w kierunku Opola, żywiąc się po drodze tym, co znaleźliśmy w opuszczonych niemieckich domach. Przed samym miastem natknęliśmy się na patrol sowiecki, który odebrał nam nasze zapasy jedzenia. Nie wiadomo, jakby się to skończyło, ale akurat szczęśliwym trafem nadjechali wtedy dwaj oficerowie – polski i rosyjski. Rosjanin rozkazał oddać nam połowę żywności i puścić wolno. Wtedy jeden z wyraźnie niezadowolonych żołdaków krzyknął: »A tę dziewczkę to do lasu!...«. Ja mu odpowiedziałam: »Ja z waszymi braćmi pracowałam razem na przymu-

ARCH. ZYGMUNTA JATCZAKA



**HISTORIA
PEWNEGO ZDJĘCIA**
Idący na przodzie mężczyzna
w tropikalnym mundurze
z „rozpylaczem”
przewieszonym przez pierś
to legionista Zygmunta
Jatczaka.

Warszawiak w Sajgonie

*Po każdym
przegrany
powstaniu* Polacy,
którzy uciekli przed
represjami, zasilali szeregi
emigracji na całym świecie.
Wielu z nich nie potrafiło
robić niczego poza wojaczką,
ratowali się wstąpieniem
do francuskiej Legii
Cudzoziemskiej.

Polacy walczyli i ginęli w egzotycznych wojnach kolonialnych prowadzonych w krajach Afryki Północnej, Meksyku i wreszcie Azji. Nie inaczej było również po ostatniej insurekcji – powstaniu warszawskim. Dowodem tego jest właśnie powyższe zdjęcie.

Zygmunta Jatczaka w powstaniu walczył jako żołnierz elitarnego Batalionu „Miotła”. Po kapitulacji został wywieziony do obozu na terenie Niemiec. Wyzwolony przez aliantów pozostał na Zachodzie i w 1947 roku wstąpił do Legii Cudzoziemskiej. Rok później był już w Sajgonie, w szeregach słynnej 13 Półbrygady

Legii Cudzoziemskiej, która w czasie II wojny światowej, razem z naszą Samodzielną Brygadą Strzelców Podhalańskich, wstąpiła się m.in. walkami pod Narwikiem. W ten sposób Zygmunta Jatczaka wziął udział w jednym z najkrwawszych konfliktów po 1945 roku – wojnie indochińskiej. Prezentowane zdjęcie przedstawia powrót z jednego z patroli w dżungli. Za Polakiem jeniec z Viêt Minhu dźwiga trójnog do moździerza.

Widać po minie Jatczaka, że to była udana akcja, ale większość tych patroli w Plan de Jonc (Dolinie Trzciny), maciechniku Viêt Minhu na północ od Sajgonu, była wyprawą do jądra ciemności.

Właściwie za każdym razem dochodziło do potyczek i okrażenia legionistów przez wietnamskich partyzantów. Ten, kto przeżył kolejny dzień, a zwłaszcza noc, czekał tylko chwili urlopu, by pojechać do Sajgonu i odreagować w jednym z licznych barów. Zygmunta Jatczaka przeżył ten „czas apokalipsy” i po zakończeniu kontraktu w Legii w 1959 roku wrócił do Polski. Legia Cudzoziemska jednak o swym bohaterze nie zapomniła: 9 lipca 2017 roku Zygmunta Jatczaka za swą służbę został odznaczony Legią Honorową. Spełniło się słynne hasło tej formacji: „Legio Patria Nostra”. PK

Bradl był Austriakiem, ale reprezentował Niemcy po Anshlusie jego ojczyzny. III Rzesza dzięki temu wyrosła na potęgę w sportach zimowych, lecz nie tylko w tej dziedzinie wybiła się na podium w Europie. Wprawdzie kanclerz Adolf Hitler, o czym donosiła „Polska Zbrojna” w swym pierwszym lutowym numerze, kolejny raz zapewnił, że „wierzy w długotrwały pokój”, jednak nie dbał już tak bardzo o pozory, że jego słowa idą w parze z czynami. Kilka dni przed zakończeniem mistrzostw w Zakopanem, 14 lutego 1939 roku, w hamburskiej stoczni zwodowano prawdziwego olbrzyma – pancernik „Bismarck”. Niemiecka marynarka wojenna w spektakularny sposób wracała do gry o dominację na morzach i oceanach.



W tym morskim wyścigu zbrojeń w lutym 1939 roku i Rzeczpospolita miała swój akcent. 2 lutego w stoczni holenderskiego Vlissingen podniesiono polską banderę wojenną na nowoczesnym okręcie podwodnym ORP „Orzeł”. W czasie wojny jego wyczyny przejdą do legendy nie mniejszej niż ta, którą stał się flagowiec Kriegsmarine – „Bismarck”.

ANGLOSASKI REZONANS

Wzrost potęgi floty niemieckiej zaniepokoił oczywiście „żandarma morskiego” – Wielką Brytanię. „Polska Zbrojna” jako główną wiadomość numeru 48 zamieściła oświadczenie brytyjskiego rządu, że nie czuje się on związany międzynarodowym aktem obligującym do pokojowego rozwiązywania konfliktów zbrojnych, podpisanym w Genewie w 1928 roku. Brytyjscy politycy uspokajali przy tym wy-

Luty podkutych butów

Dzięki Adamowi Małyszowi i jego następcom skoki narciarskie to dziś w Polsce jedna z najpopularniejszych dyscyplin sportowych. W lutym 1939 roku na Mistrzostwach Świata w Narciarstwie Klasycznym w Zakopanem tę konkurencję wygrał Josef „Sepp” Bradl. Niemiecka swastyka załopotwała na tle polskich Tatr.

borców, że nie czynią tego, dlatego że spodziewają się wojny, lecz chcą zachować swobodę działania. Winston Churchill w Izbie Gmin oświadczył, że Wielka Brytania powinna być gotowa do rzucenia do walki całości swych sił zbrojnych. „Uważam – mówił Churchill – za nasz obowiązek nie przepuścić żadnej sposobności, aby usiłować przekonać inne rządy o szaleństwie drogi,

na którą wszyscy weszliśmy”. W samych Niemczech to brytyjskie pobrękiwanie szabłą pozornie nie wywarło większego wrażenia. Niemiecką opinię publiczną bardziej zbulwersowało przemówienie prezydenta Roosevelta, w którym oświadczył, że „granice Stanów Zjednoczonych znajdują się we Francji”. Amerykański prezydent podparł je konkretną obietnicą sprzedaży Francuzom samolotów wyposażonych „w najnowsze tajemnice wojskowe”. Kiedy echa niemieckiego oburzenia dotarły do Waszyngtonu, Roosevelt oświadczył, że został źle zrozumiany i dobitnie podkreślił: „Kilku pomylnych cymbałów przypisało mi słowa, których nigdy nie powiedziałem”.

POLOWANIE HIMMLERA I SMUTEK CIANO

„Polska Zbrojna” zauważyła te niemiecko-amerykańskie i angielskie przepychanki, ale stosunki Polski z zachodnim sąsiadem dopiero wchodziły w fazę napięć. 18 lutego 1939 roku na oficjalne zaproszenie komendanta głównego Policji Państwowej gen. Kordiana Józefa Zamorskiego do Warszawy przybył jego niemiecki odpowiednik – Heinrich Himmler. Po powitaniu w Warszawie oraz rozmowach z wicepremierem Eugeniuszem Kwiatkowskim i ministrem spraw zagranicznych Józefem Beckiem gość udał się do głównego celu swej wizyty, czyli Puszczy Białowieskiej. Zachęcony wspomnieniami Hermanna Göringa ze wspaniałych polowań, sam zapragnął ubić kilka dzików w tej dziewiczej puszczy. Udało mu się ustrzelić dwa, co prasa polska, w tym „Polska Zbrojna”, skrupulatnie odnotowała. Cenzura zaś zatrzymała dziennikarzom wiadomość, że esesmani z obstawy Himmlera wykupili w Białowieży cały zapas wędlin i kiełbasy. Widziano ich, jak w konspiracji przed szefem przemysłowców do pociągu z pakunkami mięsa. Tę niecodzienną scenę sfotografował korespondent białostocki „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” Jan Szapiro, ale cenzorzy byli nieubłagani – czytelnicy nie zobaczyli pretorianów Hitlera w nietypowej dla nich akcji.



WYCINKI PRASOWE POCHODZĄ Z „POLSKI ZBROJNEJ” Z LUTEGO 1939 ROKU.

Kilka dni po wyjeździe Himmlera, 25 lutego, do Warszawy zawitał włoski minister spraw zagranicznych hrabia Galeazzo Ciano. Celnie podsumował to wydarzenie w swych wspomnieniach Jan Meyszutowicz, pracujący wówczas w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych: „Wizyta [...] okazała się jawą pod względem politycznym, ale i pechowa w niejednym ze swych protokolarnych aspektów. [...] Warszawską młodzież akademicka wybrała sobie właśnie ten dzień dla manifestacji antyniemieckiej przed ambasadą na ulicy Pięknej, gdzie wybito przy tej okazji parę szyb. [...] Komisarz rządu na miasto stołeczne Warszawę, wojewoda »Wołodzia« [Włodzimierz] Jarszewicz osobiście dyrygował policją [...] Nie przeszkadzało to jednak samochodowi, w którym Ciano jechał do



pałacu Blanka [...] napotkać spory i wesoły tłumek wyrażający dość głośny brak szacunku dla Führera. Ciano łypnął okiem znawcy na demonstrantów i ze złe ukrywanym sceptycyzmem przyjął do wiadomości wyjaśnienie jednego z polskich gospodarzy, że są to okrzyki na jego cześć”. Z kolei hrabia tak pisał w pamiętniku o swych wrażeniach z Warszawy: „Przyjęcie ludności nacechowane raczej ciekawością, może nawet sympatią, ale bez zapалу. Miasto jest szare, smutne, mimo iż blade słońce oświeśla i ogrzewa ulice tej stolicy bez charakteru. Polska mimo całych wysiłków Becka jest z gruntu antyniemiecka, jej tradycje, instynkt i jej interesy przeciwstawiają ją Niemcom”. Ciano tym ostatnim zdaniem przeczył temu wcześniejszemu, o braku charakteru. Warszawska ulica rzeczywiście głośno wyrażała to, o czym polscy politycy jeszcze szeptem mówili w kulisach, choć już nie wszyscy tak cicho jak wcześniej. Minister spraw wojskowych gen. Tadeusz Kasprzycki w czasie posiedzenia jednej z komisji budżetowych Sejmu stwierdził: „Polska musi jeszcze bardziej zwiększyć wysiłek dla obrony państwa”. Znamienne też było to, że po wyjeździe Himmlera Józef Beck zapowiedział swą oficjalną wizy-



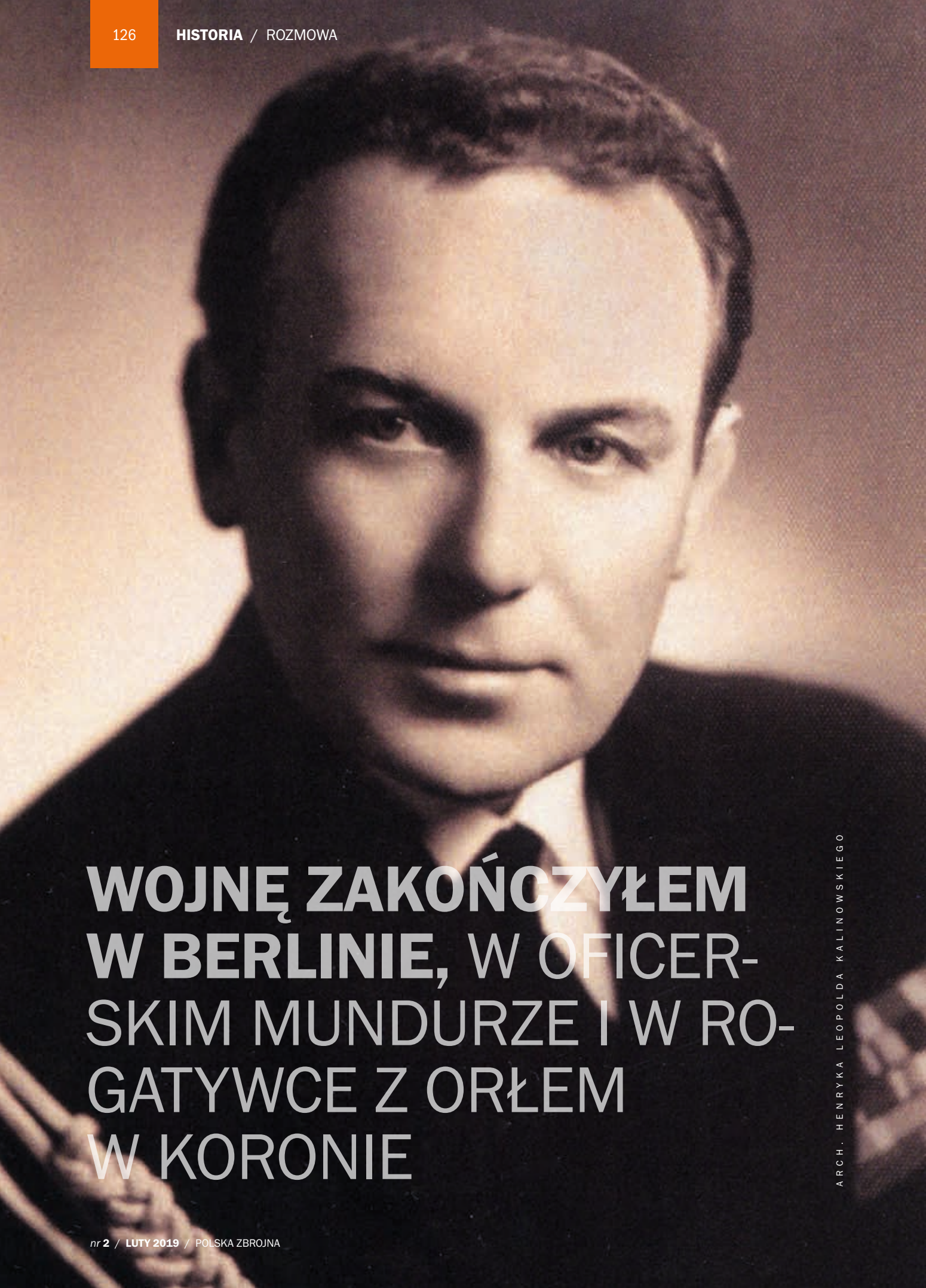
KOMENTARZ

JAKUB POLIT

Luty 1939 roku okazał się miesiącem fałszywych sygnałów. Wizyty Himmlera i Ciano sugerowały przesuwanie się Polski w stronę Osi, choć w istocie Włocha witano, by grać na rozbieżnościach między Berlinem a Rzymem (wśród wspomnianych okrzyków były i „precz z Hitlerem, niech żyje Mussolini!”). Francuzi po zwycięstwie Franco poczuł się otoczeni przez trzy duże faszystowskie państwa; nie mogli wiedzieć, że Hiszpan (inaczej niż Stalin w stosunku do Polski) do ataku na sąsiadów namówić się nie da. Roosevelt, który już wcześniej rozwiścieczył Hitlera, wycofując z Berlina („na konsultacje”) swego ambasadora po pogromie Żydów zwanym nocą kryształową, puszczał jedynie prowokacyjne, próbne balony, sondując stosunek rodaków do ewentualnego udziału w wojnie. Sondaż wypadł źle, zwykli Amerykanie ani myśleli angażować się poza swą hemisferą. Na razie losy Europy miały zależeć od jej mieszkańców – niestety wśród nich byli Hitler i Stalin. ■

Dr hab. JAKUB POLIT jest adiunktem w Zakładzie Historii Powszechnej Najnowszej Wydziału Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

tę w Londynie. Powoli, jak w westernowym arcydziele „Dyliżans”, który miał swą premierę w lutym 1939 roku, wychodziły na jaw prawdziwe intencje politycznych graczy. Jedynie gen. Franco mógł głośno świętować swe zwycięstwo w wojnie domowej – 27 lutego Paryż i Londyn uznały jego rządy w Hiszpanii. Reszta, jak to się mówi, podkuwała buty na wojnę, coraz mniej dbając przy tym o pozory, ale jednak jeszcze uśmiechając się przyjaźnie do potencjalnych wrogów. PK ■

A close-up, black and white portrait of a man, Henryk Leopold Kalinowski, looking directly at the camera. He has dark hair and is wearing a dark suit jacket over a light-colored shirt and a dark tie. The lighting is dramatic, with strong shadows on the right side of his face.

WOJNĘ ZAKOŃCZYŁEM W BERLINIE, W OFICER- SKIM MUNDURZE I W RO- GATYWCE Z ORŁEM W KORONIE

ARCH. HENRYKA LEOPOLDA KALINOWSKIEGO

Nie proszę o chleb, proszę o amunicję

*Z Henrykiem Leopoldem Kalinowskim
o saperskiej robocie pod ostrzałem wroga, wbijaniu pierwsze-
go słupa granicznego na linii Odry i zdobywaniu Berlina
rozmawia Piotr Korczyński.*



Kmdr Henryk
Leopold Kalinowski
przeszedł saperski
szlak bojowy od Kijo-
wa do Berlina (zdję-
cie archiwalne z lat
czterdziestych).

Panie komandorze, jak to się stało, że zo-
stał pan saperem?

Wszystko zaczęło się w 1938 roku, kiedy rozpocząłem szkolenie wojskowe dla małoletnich w Korpusie Ochrony Pogranicza. U nas na kresach obowiązkiem było przygotowanie się do skutecznej obrony przed ewentualnym najazdem ze wschodu. To pierwszy krok w mojej służbie wojskowej. Saperem był również mój ojciec – żołnierz 2 Batalionu Saperów Kaniowskich i uczestnik wojny polsko-bolszewickiej. Pochodzę z rodziny ziemiańskiej – Kalinowskich herbu Kalinowa z Krzemieńca na Wołyniu. Rodzina ta była szczególnie nie lubiana przez bolszewików. W sowieckiej encyklopedii mamy nawet odpowiednią „laurkę” w postaci hasła: „Rodzina Kalinowskich zaważnęła całą Humaniszczynę, pobudowała tam kościoły i wykorzystywała miejscowych chłopów do niewolniczej pracy”.

Dzięki przeszkoleniu w KOP-ie, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 roku nadal utrzymywałem kontakty z podoficerami korpusu, ale do dziś nie wiem, kto był moim dowódcą. Wbrew pozorom to nic dziwnego w sytuacji młodego, szeregowego konspiratora. W grupie, z którą się kontaktowałem, znajdowali się również partyzanci sowieccy, ale nie byli to ludzie przerzuceni z terenów Związku Sowieckiego, tylko żołnierze z formacji rozbitych przez Niemców w 1941 roku, którzy uniknęli niewoli. Ja uzyskałem od nich sporo broni,

bo mieszkaliśmy wtedy niedaleko byłej granicy polsko-sowieckiej i tych nieszczęśników przeprowadzałem przez lasy na sowiecką stronę. Na pożegnanie mówili mi: „Synku, my po tę broń wrócimy”. Tylko nie wiedzieli jednego – że po przedarciu się do swoich czeka ich sąd wojskowy za zdradę i w najlepszym wypadku kompania karna lub łagier.

Służący w moim oddziale Polacy i Rosjanie byli przede wszystkim obrońcami ludności polskiej na Wołyniu przed ukraińskimi banderowcami, którzy m.in. mieli na sumieniu kilkunastu bliźszych i dalszych członków mojej rodziny. Do moich zadań należało głównie rozpoznanie. Prawdopodobnie z moich informacji korzystali zarówno Rosjanie, jak i polska konspiracja, gdyż meldunki ode mnie odbierał „Rajski”, były żołnierz KOP-u. Po ponownym wkroczeniu na te tereny Armii Czerwonej w styczniu 1944 roku Sowieci naszą młodzież osiemnasto-, dziewiętnastoletnią traktowali jako przedpoborową i włączali najczęściej do tzw. istriebitelnych batalionów, wykorzystywanych głównie do służby wartowniczej. Znalazłem się i ja w takiej jednostce, choć wszyscy jak jeden mąż chcieliśmy wtedy służyć w Armii Krajowej. Z racji znajomości rosyjskiego i ukraińskiego pełniłem rolę tłumacza. I paradoksalnie, bo przecież wcześniej walczyłem z banderowcami, NKWD zarzuciło mi, że ja za bardzo koleguję się z Ukraińcami. Zatrzymano mnie. W areszcie zgłosiłem się na ochotnika do 1 Armii



Wojska Polskiego. Byłem tak zdeterminowany, że enkawudziści machnęli ręką i puścili mnie do wojska. Do 1 Armii wstąpiłem w marcu 1944 roku.

Znalazł się pan w jednostce wyjątkowej – 6 Warszawskim Samodzielnym Zmotoryzowanym Batalionie Pontonowo-Mostowym.

To była elitarna jednostka saperska. Służyli w niej przede wszystkim żołnierze pochodzący z Podola i Wołynia. Sprzęt przeprawowy był sowiecki, ale transport do niego amerykański. Mieliśmy 40 studebackerów, jamesów i fordów. Pytaliśmy ze zdziwieniem rosyjskich oficerów, dlaczego Armia Czerwona nie wzięła tak dobrego sprzętu, tylko przekazała go nam. Oni odpowiedzieli: „A jak nam który z tych amerykańskich wozów nawali, to gdzie będziemy pisać po części zamienne – do Waszyngtonu?”. Lepiej więc było oddać go Polakom, niech oni się martwią. A my na tych amerykańskich wozach bez większych problemów przejechaliśmy szlak od Kijowa do Berlina.

Jako saper kilkakrotnie forsował pan pod ogniem nieprzyjacielskim „królową polskich rzek” – w sierpniu i we wrześniu 1944 roku. Która z tych przepraw była najdramatyczniejsza?

Wszystkie były dramatyczne. Saperska służba ma to do siebie, że zanim piechota pójdzie do szturmu, saperzy w nocy własnymi rękami muszą przygotować im przejścia przez nieprzyjacielskie zasieki i pola minowe, a na rzece wybudować mosty lub przygotować środki przeprawowe. Oczywiście taki, dajmy na to, most pontonowy skupia na sobie cały ogień nieprzyjacielski. Wokół niego dosłownie się gotuje. Pamiętam, jak ustawiliśmy przeprawę dla żołnierzy 3 Dywizji Piechoty, idących na pomoc powstańczej Warszawie. Jakbym był w środku roju pszczół; tak gęsty ogień Niemcy kładli w miejsce naszej przeprawy przez Wisłę. Nasz batalion ciągle stanowił awangardę, jeśli chodzi o kolejne ofensywy Wojska Polskiego i Armii Czerwonej. Organizowaliśmy przeprawy dla 1 Armii Wojska Polskiego, 5 i 3 Armii Uderzeniowej oraz 2 Armii Pancernej Gwardii. Już same te nazwy mówią, jak trudny był nasz szlak bojowy.

Prawdziwe piekło przeżyliście jednak nad Odrą?

To był raczej kolejny krąg piekła po naszych walkach nad Wisłą. Na początku lutego 1945 roku 2 Armia Pancerna Gwardii wbiła się klinem między dwie niemieckie armie, niespodziewanie sforsowała



Kmdr Henryk Leopold Kalinowski ma za sobą służbę sapera i marynarza.

Odrę i zajęła przyczółek na jej zachodnim brzegu w rejonie Czelina. Stamtąd do Berlina były 64 km! Zadaniem naszego batalionu było utrzymywanie łączności między zdobytym przyczółkiem a lasem pod Czelinem, gdzie stacjonowały główne siły 2 Armii. Dostarczaliśmy tam amunicję i zaopatrzenie, a z powrotem przewoziliśmy rannych i poległych. Wszystko to robiliśmy pod niemal ciągłym ostrzałem artyleryjskim i lotniczym. Niemcy za wszelką cenę starali się zlikwidować przyczółek. Raz po raz rzucali do ataku swe oddziały. Szczególnie zapamiętałem uderzenie dwóch batalionów wdów po marynarzach i lotnikach. Każda z tych kobiet miała naszywkę na mundurze ze zdaniem: „Zemsta za męża”. Wszystkie zginęły w ogniu karabinów maszynowych. Po przeprawie na przyczółek, przed salwami moździerzy, dział i bombami lotniczymi kryliśmy się we wnękach wysokiego wału przeciwpowodziowego, a wokół rozciągał się księżycowy krajobraz – ziemia zryta lejami, które były ciągle pogłębiane w wyniku kolejnych wybuchów. Czerwonoarmiści mówili, że czegoś takiego nie widzieli nawet pod Stalingradem, a widzieli

naprawdę dużo, bo w większości byli to żołnierze oddziałów karnych, osławionych sztrafbatalionów. Z tamtych dni szczególnie utkwiło mi w pamięci spotkanie z rosyjskim majorem, dowódcą sztrafników. Kiedy do mnie podszedł, nie wiedziałem, jaki ma stopień, gdyż jego mundur skrywała skórzana kurtka. Zażądał ode mnie, bym go zaprowadził do dowódcy. Kiedy to zrobiłem, Rosjanin nagle wyciągnął z kurtki pistolet. Ja się zachnąłem, a on powiedział, że nie ma po co wracać do swoich i się zastrzeli, jeśli nie spełnimy jego prośby. Pamiętam jego słowa: „Ja was proszę o chleb, nie proszę o gorącą herbatę. Ja was proszę o amunicję!”. Wtedy przez trzy dni obowiązywał rozkaz, żeby na Odrze nie było żadnego ruchu, więc obrońcy byli pozbawieni zaopatrzenia. Nasz dowódca powiedział wtedy, że nie ukarze nikogo, kto w nocy samowolnie przewiezie na przyczółek żywność i amunicję. I tak też się stało, a sztrafnicy byli nam za to bardzo wdzięczni.

Był pan jednym z czterech polskich żołnierzy, którzy w nocy 27 lutego 1945 roku pod Czelinem wbili pierwszy słup graniczny na Odrze. Podobno tą inicjatywą zaskoczyliście nie tylko Niemców, lecz także Sowietów.

Ze mną byli ppor. Władysław Cieślak, chor. Stefan Kobek i plut. Zenobiusz Janicki. Wymyśliśmy, że pójdziemy w ślady rycerzy Bolesława Chrobrego i wbijemy w brzeg Odry słup. Nie dość na tym, pod słupem zakopaliśmy akt nadania tych ziem Rzeczypospolitej. Napisaliśmy w nim, że walczymy o Polskę wolną i demokratyczną. Rankiem słup zniszczyła niemiecka artyleria, ale butelka z aktem w ziemi przetrwała. W 1947 roku odnaleźli ją żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza i przekazali do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

To była wasza samowola?

Na drugi dzień zostałem wezwany do sowieckiego oficera Informacji Wojskowej, czyli kontrwywiadu, kpt. Jaroszenki. On mnie z miejsca zapytał: „Z czyjego upoważnienia to zrobiliście?”. A ja mu odpowiedziałem: „Z upoważnienia narodu polskiego”. „A kto wam dał rozkaz?”. „Nie było rozkazu, panie kapitanie, my sami”. „A skąd wiedzieliście, co robić?”. „Bo w szkole nas uczono. Wiem, co pisała Maria Konopnicka, co Juliusz Słowacki pisał”. Widziałem, że zbija go to z tropu, i dodałem: „Panie kapitanie, myśmy to zrobili, bo sądziliśmy, że delimitacja granicy będzie wyjaśniona”. A on pyta: „Jakżeś ty powiedział?”. Powtórzyłem: „W ramach delimitacji”. On wyraźnie nie

wiedział, co znaczy ta „delimitacja”. Ja, szczerze mówiąc, też do końca nie rozumiałem tego słowa, ale „przykleiło” się ono do mnie po lekturze jakiegoś artykułu o regulacjach granic po wojnie. W końcu puścił mnie, ale widać było, że jest wystraszony tą naszą samowolką, z której ja i moi koledzy byliśmy bardzo dumni! Myśleliśmy, że po wojnie spotka nas wielka gloria za ten „akt czeliński”. Tymczasem mjr Cieślak, jako zastępca dowódcy batalionu WOP-u w Uście, został za „szepantkę antysowiecką” skazany na sześć lat więzienia i zdegradowany. Kobek, już wtedy podporucznik, podupadł na zdrowiu i jako nędzarz mieszkał pod Warszawą w prowizorycznym szałasie. Zenek Janicki, inwalida bez nogi, żył również w ciężkich warunkach pod Opolem... Wszyscy już zmarli, zostałem tylko ja.

Następny etap walk to Berlin. Czy to był kolejny krąg piekła?

Nasz batalion był pierwszą polską jednostką, która walczyła w centrum Berlina. Budowaliśmy przeprawy na kanałach dla czołgów 2 Armii Pancerniej Gwardii. Byliśmy przyzwyczajeni do saperskiej pracy pod ostrzałem, ale w stolicy III Rzeszy to już była dosłownie ściana ognia. Niemcy strzelali z każdej strony – z pięter, ulic i piwnic. W ciągu dwóch dni walk 2 Armia straciła blisko 200 czołgów! Każdy z nas musiał mieć oczy wokół głowy, samodzielnie myśleć, jak się bronić i nie dać się zabić. Po zlikwidowaniu gniazd oporu z podziemi wychodziły niemieckie dzieci, siedmio-, dziesięcioletnie, czarne od pyłu, i błagały o chleb. Dawaliśmy im suchary. Nie myśleliśmy wtedy,

że nasze dzieci mordowane były w Auschwitz lub na Majdanku. Mieliśmy w pamięci rachunki krzywd, ale nie zdarzyło się, by któryś z polskich żołnierzy strzelał do nieuzbrojonego cywila, a tym bardziej dziecka. O kapitulacji obrońców Berlina dowiedziałem się, gdy byłem niedaleko Bramy Brandenburskiej. I znowu rozpoczęło się strzelanie, ale już w niebo, z radości. Niemieccy cywile brali nas za Amerykanów. Mieliśmy przecież amerykańskie samochody i nieznane im uniformy. A do szturmowania Berlina szliśmy we wspaniałych przedwojennych polskich mundurach. Wyfasowaliśmy je jeszcze w styczniu 1945 roku w magazynach oflagu Woldenberg pod Gorzowem Wielkopolskim, gdzie Niemcy przetrzymywali polskich oficerów. W Berlinie miałem więc na sobie oficerski mundur ze skórzanym pasem i koalicijką, a na głowie rogatywkę z orłem w koronie. I z tym orłem w koronie zakończyłem wojnę.

WIZYTÓWKA

KMDR HENRYK LEOPOLD KALINOWSKI

Urodził się 4 czerwca 1925 w Krzemieńcu. W chwili wybuchu II wojny światowej miał za sobą przeszkolenie młodocianych w Korpusie Ochrony Pogranicza. Następnie uczestniczył w konspiracji na Wołyniu, w marcu 1944 roku jako ochotnik został saperem w 6 Warszawskim Samodzielnym Zmotoryzowanym Batalionie Pancerno-Motorowym, w którym przeszedł cały szlak bojowy do Berlina. Po wojnie kierował rozminowywaniem kraju, a następnie służył w marynarce wojennej. Odznaczony m.in. Krzyżem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych, Krzyżem Powstania Warszawskiego i Krzyżem Grunwaldu. Teraz pełni funkcję prezesa Związku Kombatanów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych.

Bardzo dobry. Działa w kolegium pełnomocników gorliwie, z wielką fachową wiedzą i bardzo dobrym wysiłkiem. Inteligentny, honorowy, pewny. Osobliwie w dziedzinie żeglugi rzecznej, praktycznie i naukowo bardzo gruntownie wykształcony” – taka charakterystyka Ottona Metzgera, jednego z twórców polskiej marynarki wojennej, znalazła się w zachowanej do dzisiaj opinii służbowej.

KARIERA ŻOŁNIERZA

Otton Metzger to w dziejach polskiej marynarki wojennej postać mało znana. Choć dla Rzeczypospolitej służył zaledwie kilka lat, jego dokonania są na tyle znaczące, że wymienia się go wśród twórców naszej floty wojennej. Pochodził z austriackiej rodziny, osiadłej w Galicji od pokoleń. Kronikarzem Metzgerów stał się siostrzeniec Ottona, Stanisław Reychan, polski artysta ceramik, mieszkający po zakończeniu II wojny światowej w Londynie. Był on synem Stanisława Rejchana (lub Reichana), lwowskiego malarza portrecisty, oraz Ireny Walerii von Metzger, rodzonej siostry Ottona. W swych zapiskach Stanisław Reychan przytacza ciekawą historię, która pokazuje, że galicyjska linia rodziny Metzgerów co najmniej od połowy XIX wieku wykazywała związki z Polską i polskością.

Otóż dziadek Stanisława Reychana (a jednocześnie ojciec Ottona), Edward Adolf Metzger, gdy miał lat 17, uciekł wraz z młodszym bratem, Józefem z domu. Był rok 1848, czas Wiosny Ludów. Uniesieni romantycznymi ideami tego czasu, dwaj młodzi Metzgerowie próbowali dołączyć do wojsk gen. Józefa Bema i bić się „za wolność naszą i waszą”. Obydwu młodzieńców złapali jednak żandarmi, a następnie odstawili do ojca, który był ważną figurą w galicyjskim Stryju. Z wojska młodzi Metzgerowie jednak nie zrezygnowali. Szło im na tyle dobrze, że obydwa dosłużyli się stopni generalskich,



Statek parowy SMS „Una”, na którym służył nasz bohater, przetrwał do dzisiaj. Jest eksponatem Muzeum Nauki i Techniki w Belgradzie.

Spec od floty rzecznej

Lata dwudzieste XX wieku to czas, gdy polska marynarka wojenna dopiero się tworzyła, potrzebni byli fachowcy i ludzie znający swe rzemiosło. Należał do nich Otton Metzger, choć słabo posługiwał się językiem polskim.

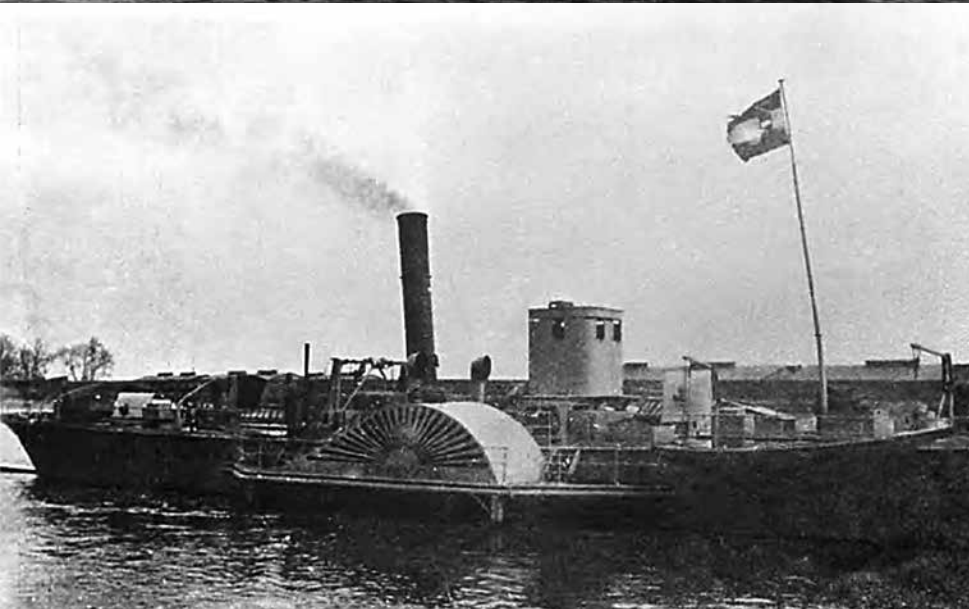
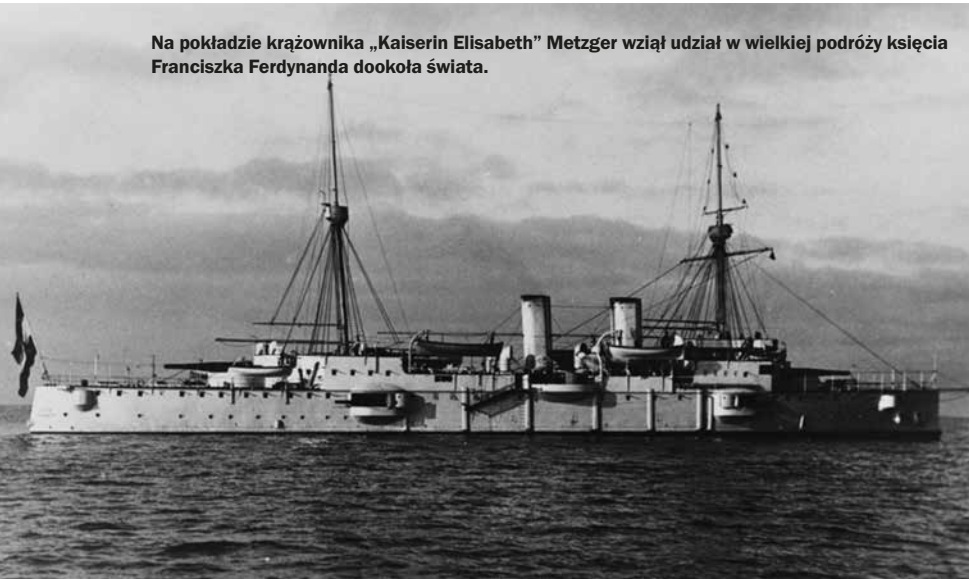
ROBERT SENDEK

Edward zaś – wywodzący się przecież z galicyjskiego mieszczaństwa (dobitnie świadczy o tym nazwisko Metzger, które po niemiecku oznacza „rzeźnik”, zapewne od rzemiosła uprawianego przez któregoś z przodków) – otrzymał od cesarza Franciszka Józefa tytuł szlachecki. Od tego czasu potomkowie Edwarda mieli prawo posługiwać się przed nazwiskiem dodatkiem „Edler von”. Niektórzy członkowie rodziny mówili po polsku, wiadomo, że język ten znał np. gen. Józef Metzger (1870–1921), syn jednego z uciekinierów, stryj Ottona. Kwestia znajomości pol-

szczyzny w tej rodzinie o tyle jest ważna, że odegrała rolę w chwili, gdy Metzger starał się o przyjęcie w szeregi Wojska Polskiego.

Urodzony w 1872 roku Otton, podobnie jak ojciec i stryj, wybrał karierę wojskową. Wstąpił do cesarsko-królewskiej akademii morskiej w Fiume (dziś chorwacka Rijeka). Uczelnię tę wybierało wówczas wielu oficerów polskiego pochodzenia, szkolnymi kolegami Metzgera byli m.in. późniejszy dowódca polskiej marynarki wojennej Bogumił Nowotny, a także Jerzy Zwierkowski czy Czesław Petelenz.

Na pokładzie krążownika „Kaiserin Elisabeth” Metzger wziął udział w wielkiej podróży księcia Franciszka Ferdynanda dookoła świata.



Latem 1920 roku Otton Metzger przebywał w Wiedniu. Komisja pod jego nadzorem kupiła pięć motorówek typu Linz, przeznaczonych dla polskich flotylli rzecznych.

URODZONY W 1872 ROKU
OTTON, PODOBNIIE JAK OJCIEC I STRYJ, WYBRAŁ KARIERĘ WOJSKOWĄ. WSTĄPIŁ DO CESARSKO-KRÓLEWSKIEJ AKADEMII MORSKIEJ W FIUME

W latach 1891–1892 Otton Metzger odbył kilkumiesięczny rejs na statku szkolnym „Aurora”, celem były Portugalia, Indie Zachodnie (Karaiby) i Ameryka. Miał wówczas uczestniczyć w obchodach 400-lecia odkrycia Ameryki. Potem wziął udział w wielkiej podróży księcia Franciszka Ferdynanda dookoła świata na pokładzie krążownika „Kaiserin Elisabeth”. W 1894 roku został chorążym. Późniejsze lata to powolne wspinanie się po szczeblach kariery wojskowej, kiedy to Otton Metzger mniej miał okazji do pływania na okrętach, więcej zaś czasu poświęcał na kwestie administracyjne. W 1904 roku był komendantem garnizonu w Splicie (Dalmacja), później w Szybeniku.

Młody oficer c.k. marynarki wojennej zajmował się także... wynalazkami. Informacja o patencie zgłoszonym przez niejakiego Ottona Edlera von Metzgera, oficera marynarki z Szybeniku w Dalmacji, znalazła się w austriackim biuletynie patentowym za rok 1904. Zgłoszone przez niego urządzenie nazwano „automatycznym regulatorem temperatury do piwa i innych płynów”. Fakt ten odnotowało również wyspecjalizowane pismo browarnicze „Bayerisches Brauer-Journal”.

SŁUŻBA WE FLOTYLLI DUNAJSKIEJ

Niestety, niewiele wiadomo o służbie Ottona Metzgera podczas wojny światowej. Pewne jest, że był w cesarsko-królewskiej Flotylli Dunajskiej i że brał udział w kampanii bałkańskiej na froncie rumuńskim. Dowodził wówczas m.in. uzbrojonym statkiem parowym „Una”, przejętym przez armię ze służby cywilnej. Stacjonował w bułgarskim porcie Ruse na Dunaju (w czasie I wojny światowej Bułgaria należała obok m.in. Turcji do państw centralnych i była sojusznikiem Austro-Węgier). Zapewne też w tym czasie dosłużył się egzotycznego odznaczenia – w jego aktach personalnych znajduje się bowiem informacja, iż otrzymał turecki →

Medal Żelaznego Półksiężycy, ustanowiony przez sułtana Mehmeda V w 1915 roku. Jest jeszcze jedna ciekawostka związana z Metzgerem z tego czasu – otóż statek parowy, na którym przyszło mu wówczas służyć, przetrwał do dzisiaj. Po rozpadzie Austro-Węgier SMS „Una” (SMS to skrót od Seiner Majestät Schiff – Okręt Jego Cesarskiej Mości) służył po wojnie przez pewien czas w austriackiej flocie śródlądowej, w 1919 roku został sprzedany do Rumunii, gdzie pływał pod nazwą „Cozia”. Po II wojnie światowej, w ramach reparacji wojennych, został przekazany do Jugosławii. Tam pływał kilka lat po Dunaju jako statek pasażerski pod nazwą „Župa”. Później jednak, wycofany ze służby, długie lata rdzewiał zacumowany przy brzegach Sawy w Belgradzie. Dziś jest eksponatem tamtejszego muzeum nauki i techniki.

KŁOPOTY Z JĘZYKIEM

Koniec wojny zastał Ottona Metzgera w Wiedniu. Nie jest jasne, w jakim charakterze tam przebywał. Zgodnie z niektórymi opracowaniami był wysłannikiem Polskiej Komisji Likwidacyjnej, a nawet pełnił funkcję jej szefa. To możliwe, Polsce potrzebni byli bowiem ludzie, którzy mogli załatwiać formalności w związku z przejmowaniem przez władze majątku byłej monarchii. Swą dalszą karierę wojskową zamierzał związać z Polską. Początkowo nie było z tym problemu. Dopiero wyłoniona w późniejszym czasie komisja weryfikacyjna, zajmująca się kwalifikowaniem oficerów do służby, oceniła Metzgera negatywnie. Urzędnicy w Ministerstwie Spraw Wojskowych odrzucili jego dokumenty o pozostawienie w służbie Rzeczypospolitej „z powodu niedostatecznej znajomości języka polskiego i braku odpowiedniego wakansu”. Interweniował w tej sprawie kolega Metzgera ze studiów wojskowych Czesław Petelenz. W grudniu 1920 roku, w zastępstwie szefa Depar-



METZGEROWI POMÓGŁ CZESŁAW PETELEŃ (NA ZDJĘCIU). W ZASTĘPSTWIE SZEFA DEPARTAMENTU DLA SPRAW MORSKICH SKIEROWAŁ DO ODPOWIEDNICH PODMIOTÓW PISMO Z PROŚBĄ O PRZYJĘCIE OTTONA DO POLSKIEJ MARYNARKI

tamentu dla Spraw Morskich (DSM), skierował do odpowiednich podmiotów pismo z prośbą o zmianę decyzji na korzyść Metzgera. Pisał: „ze względu na jego wysoką fachowość w dziale marynarki rzecznej jest on absolutnie niezbędny. Przebywając w Wiedniu, mjr Metzger pełni tam od dawna obowiązki służbowe, jako referent spraw morskich, i władza przełożona jest z niego najzupełniej zadowolona”. Początkowo reakcja była negatywna, Metzgera uznano za cudzoziemca i jego podanie odrzucono. Później jednak doszło do zmiany decyzji i Ottona

Metzgera przywrócono do służby w polskiej marynarce wojennej.

Była to właściwa decyzja. Wprawdzie Metzger poznał język polski o tyle, o ile, za to na swym rzemiośle, czyli marynarce śródlądowej, znał się doskonale. Latem 1920 roku przebywał w Wiedniu jako szef wojskowej grupy Państwowej Komisji Zakupów, która pod jego nadzorem kupiła wówczas pięć uzbrojonych motorówek typu Linz, przeznaczonych dla polskich flotylli rzecznych. Metzger zajmował się także bardzo trudną akcją podnoszenia z dna zatopionych w trakcie wojny polsko-rosyjskiej okrętów Flotylli Pińskiej oraz przywracaniem ich do służby liniowej. 27 maja 1921 roku został mianowany dowódcą flotylli rzecznych (obydwu jednocześnie, tj. pińskiej i wiślanej). Od 1 kwietnia 1922 roku był szefem Inspektoratu Flotylli Rzecznych. Do jego obowiązków należały kwestie organizacyjne i personalne w polskich flotyllach rzecznych, kontrola wyszkolenia oraz nadzorowanie prac związanych z eksploatacją rzek, poligonów oraz wykorzystywanych przez flotylle portów. Jego działania były wysoko oceniane przez ówczesnego szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej, wiceadm. Kazimierza Porębskiego, który podczas inspekcji w czerwcu 1924 roku podziękował Metzgerowi za osiągnięte rezultaty.

W tym też czasie, ze względu na pogarszający się stan zdrowia, Ottona Metzgera odsunięto już od służby czynnej. Ponieważ doskonale znał język niemiecki, został skierowany do pracy dyplomatycznej. Mianowano go szefem Wydziału Wojskowego w Komisariacie Generalnym RP w Wolnym Mieście Gdańsku. Zmarł tam krótko potem, 22 stycznia 1925 roku.

W grudniu 2010 roku w Rijece odsłonięto pamiątkową tablicę poświęconą polskim oficerom morskim, będącym absolwentami tamtejszej akademii morskiej. Wśród wymienionych poczesne miejsce zajmuje kmdr Otton Metzger. ■



KRZYSZTOF KUBIAK

Skok na krę

Kiedy na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku samoloty lotnictwa amerykańskiej marynarki wykonywały loty nad Arktyką, kilkakrotnie wykryły dryfujące na polach lodowych, porzucone sowieckie stacje badawcze. Ich załogi ewakuowano drogą lotniczą, bo szacowano, że kry, na których instalacje były rozmieszczone, szybko się roztopią. Nie zawsze jednak tak się działo. W Waszyngtonie narodziła się wówczas idea spenetrowania jednej ze stacji.

W biurze badań amerykańskiej marynarki powstał karkołomny plan, zakładający zrzućenie na lód skoczków spadochronowych. Po wykonaniu misji zamierzano ich zabrać z wykorzystaniem systemu Fultona. Balon meteorologiczny podtrzymywał linę, do której podczepiano ewakuowaną osobę. Samolot przejmował tę linę za pomocą umieszczonych w dziobowej części kadłuba prowadnic, wysuniętych około 10 m przed płatowcem i rozpostartych w promieniu 70 stopni. Rozwiązanie to było już wówczas przetestowane, ale nadal niebezpieczne, a przede wszystkim możliwość zastosowania go zależała od kaprysów pogody. Gra szła jednak o zbyt wysoką stawkę, by zrezygnować z tej akcji.

Zadanie spenetrowania sowieckiej stacji powierzono dwóm oficerom mjr. Jamesowi Smithowi z wojsk lotniczych oraz kpt. Leonardowi LeSchackowi z rezerwy marynarki wojennej. Major płynnie posługiwał się językiem rosyjskim i miał doświadczenie w działaniach arktycznych. Z kolei kapitan był z wykształcenia fizykiem i brał udział w pracach nad systemami hydroakustycznymi. Ponieważ żaden z nich nigdy wcześniej nie skakał ze spadochronem, przeszli niezbędne szkolenie, powiązane z treningiem z obsługi systemu Fultona. W marcu 1962 roku jako obiekt penetracji wybrano stację Siewiernyj Polus-8. Sowieci nieco wcześniej ją opuścili, bo lód zaczął się kruszyć w rejonie pasa startowego. Obiekt wykryto około 600 mil od kanadyjskiej bazy w Resolute Bay. W połowie kwietnia akcja otrzymała kryptonim „Coldfeet”. W tej fazie marynarka współpracowała już bardzo ściśle z CIA.

28 maja na krę o rozmiarach zaledwie 120x60 m zrzucono sprzęt i zaopatrzenie dla penetratorów. Dwójka Amerykanów wylądowała na miejscu następnego dnia. Mieli trzy doby na dokładne przeszukanie obiektu. Tę fazę planu udało się przeprowadzić bez przeszkód, ale podczas ewakuacji zaczęły się problemy. Najpierw piloci nie odnaleźli we mgle kry i dopiero następnego dnia podjęto przesyłkę z około 70 kg rozmaitych materiałów pozyskanych przez wywiadowców, następnie ewakuowano LeSchacka, a na końcu Smitha. Wszystko to działo się w warunkach niezwykle szybko pogarszającej się pogody i major obawiał się, że w ciągu kolejnych dni będzie jedynym człowiekiem na przestrzeni setek kilometrów.

Amerykanie już po zakończeniu zimnej wojny upublicznili jedynie bardzo ogólnikowe opisy rezultatów osiągniętych podczas „Coldfeet”, sprowadzające się w istocie do zgrabnych ogólników. Szczegóły, mimo upływu lat, nadal objęte są tajemnicą i nic nie wskazuje, by miało się to zmienić.

Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

PO SŁUŻBIE

/ ROZMOWA

MISJA JEST ŚWIĘTA

Z Krzysztofem Schrammem

*o nadziejach Polaków na odzyskanie
niepodległości dzięki walkom u boku
Francuzów, czarnej legendzie Legii
Cudzoziemskiej oraz więzi, jaka łączy
żołnierzy tej formacji, rozmawia
Piotr Korczyński.*



Krzysztof Schramm (z lewej)
i Zygmunt Jączak,
weteran 13 Półbrygady
Legii Cudzoziemskiej – kawaler
francuskiej Legii Honorowej.
Olsztynek, 2017 rok

ARCH. KRZYSZTOFA SCHRAMMA





K

iedy mjr Mieczysław Pruszyński wspominał ludzi różnych narodowości, z którymi współdziałali żołnierze Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich w czasie II wojny światowej, obok Australijczyków, Nowozelandczyków, Hindusów, Francuzów, Anglików czy Afrykanerów wymienił jako zupełnie odrębną „nację” Legię Cudzoziemską.

Jest ona częścią armii francuskiej, ale kształtowała swych żołnierzy według własnych tradycji wojskowych. Co decyduje o tym, że legionści to osobny naród wojskowy?

Legia Cudzoziemska jest jedyną we współczesnym świecie regularną formacją wojskową złożoną prawie wyłącznie z obcokrajowców w służbie innego państwa. Dzisiaj to 8900 żołnierzy reprezentujących około 140 narodowości. Formacja stanowi 11% całości sił zbrojnych Francji. Ta mnogość języków, obyczajów, kultur nie jest przeszkodą w tworzeniu doskonale wyszkolonej nowoczesnej armii. Każdy legionista zaczyna służbę od nauki języka francuskiego. Przyjęty od początków istnienia formacji zbiór zasad, tradycji jest fundamentem formowania nowego żołnierza – żołnierza Legii Cudzoziemskiej. Zgodnie z mottem „Legia naszą ojczyzną” [Legio Patria Nostra] kwestie różnic rasowych, narodowościowych czy wyznaniowych nie mają znaczenia – każdy legionista jest dla drugiego bratem. Choć Legia jest częścią sił zbrojnych Francji, zachowuje jednak odrębność, jeśli chodzi o organizację czy tradycję. W ten sposób buduje się więź legionistów, podkreśla ich odrębność i wyjątkowość. Do dzisiaj przetrwały tradycje związane z: umundurowaniem – białe kepi i zielono-czerwone epolety parady; ceremoniałem i symboliką – relikwia Legii: proteza dłoni kapitana Danjou, bohatera bitwy o hacjendę Camerone w Meksyku, czy symbol Legii – wybuchający granat z siedmioma płomieniami; obchodzeniem tradycyjnych świąt, takich jak Boże Narodzenie czy święta pułkowe, oraz z określonymi zasadami życia codziennego – choćby sposób meldowania się dowódcy, dbałość o mundur i wyposażenie, specyficzne sposoby prasowania koszuli.

Historia Legii Cudzoziemskiej rozpoczęła się w latach trzydziestych XIX wieku i od początku polscy ochotnicy stanowili w tej formacji zna-

czący procent. W pewnym momencie było ich tak wielu, że zaczęto mówić o „polsko-francuskiej Legii Cudzoziemskiej”.

Faktycznie nasi rodacy są w Legii od samego jej początku. Historia Polski i Francji wielokrotnie się spletała. Hasła rewolucji francuskiej dawały natchnienie wielu ludziom na całym świecie, także nam. Właśnie pragnienie odzyskania utraconej w wyniku rozbiorów wolności spowodowało, że wielkie nadzieje pokładaliśmy w tym kraju. Józef Wybicki i gen. Jan Henryk Dąbrowski stworzyli Legiony Polskie. Polacy dzielnie walczyli pod wodzą gen. Bonapartego w północnych Włoszech. Byli przekonani, że właśnie rozpoczęli marsz ku wyzwoleniu, z ziemi włoskiej do Polski. Ta kampania nie spełniła marzeń Polaków, ale nadzieja na pomoc Francji pozostała. Kilka lat później, będący już cesarzem Francuzów Napoleon Bonaparte wsłuchał się w głos Wybickiego i Dąbrowskiego. Uwierzył, że Polacy są godni, aby być wolnym narodem i marzenia się spełniły – powstało Księstwo Warszawskie. Klęska Napoleona była też naszą klęską. Na długo jednak pozostały sentyment i nadzieja na wspólną, wraz z Francuzami, walkę o wolność.

Kiedy pojawiła się szansa na dalszą walkę przy boku Francji?

W 1831 roku powstała Legia Cudzoziemska. W pierwszej połowie XIX wieku do Francji przybywały tysiące emigrantów politycznych, często uczestników ruchów rewolucyjnych i powstań narodowych, jak chociażby polskiego zrywu niepodległościowego z 1831 roku. Liczyli, że wraz z Francuzami ponownie rozpoczną marsz ku niepodległej Polsce. Tak się jednak nie stało. Paryż nie miał zamiaru angażować się w wojny europejskie, koncentrował się na budowie imperium.

Już latem 1831 roku do Algierii przybyli pierwsi legionści. Matecznikiem Legii stało się Sidi Bel Abbès. W praktyce to miasto powstało wokół koszar Legii. Pierwsze siedem batalionów Legii Cudzoziemskiej miało charakter narodowy, m.in. były bataliony niemiecki, włoski, hiszpański, belgijski i także polski. Powstał on oficjalnie 1 lipca 1834 roku i liczył 683 legionistów, w tym 21 polskich oficerów. Dowódcą został mjr Tadeusz Horain, uczestnik nocy listopadowej, kawaler Krzyża Złotego Orderu Virtuti Militari. Po powstaniu wyemigrował do Francji. Znalazł się w kręgu zwolenników księcia Adama



Zgodnie z mottem „Legia naszą ojczyzną” [Legio Patria Nostra] kwestie różnic rasowych, narodowościowych czy wyznaniowych nie mają znaczenia – każdy legionista jest dla drugiego bratem.



Pamiętkowe
zdjęcie legionisty
Bajerskiego
w Tonkinie,
1930 rok



FAKTYCZNIE NASI RODACY SĄ W LEGII OD SAMEGO JEJ POCZĄTKU. HISTORIA POLSKI I FRANCJI WIELOKROTNIENIE SIĘ SPLATAŁA

Czartoryskiego i po części na jego polecenie podjął się stworzenia polskiego batalionu Legii Cudzoziemskiej. Liczył, że będzie to formacja podobna do tej Dąbrowskiego. Batalion polski został rozwiązany wraz z wprowadzeniem w życie wymieszania narodowościowego.

Według dostępnych statystyk, w latach 1831–1879 w szeregach Legii Cudzoziemskiej służyło ponad 1500 Polaków. Walczyli w różnych częściach świata – w Afryce, Hiszpanii, Meksyku. Brali udział w wojnach: krymskiej, włosko-austriackiej, francusko-pruskiej oraz w tłumieniu Komuny Paryskiej. Warto przypomnieć nazwiska kilku z naszych rodaków, którzy byli legionistami. Część z nich to postacie nieprzeciętne, jak Aleksander Walewski, Maksymilian Sułkowski czy bracia Rzewuscy.

Po wybuchu I wojny światowej pierwsze polskie formacje we Francji, jak słynni bającznicy, powstawały w ramach Legii Cudzoziemskiej. Żołnierzy tej formacji nie zabrakło także w Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera. Polacy stykali się z legionistami często też w czasie II wojny światowej – strzelcy podhalańscy pod Narwikiem, a karpaccy w Afryce. Czy były jeszcze jakieś kampanie i bitwy, w których Polacy walczyli ramieniem z legionistami, często rodakami w służbie francuskiej?

Przeplatające się losy wojsk polskich i legionistów w okresie II wojny światowej są dość dobrze udokumentowane. Należy natomiast zwrócić uwagę na zaangażowanie polskich żołnierzy w Indochinach w latach pięćdziesiątych i późniejszych ubiegłego stulecia. Postacią symbolizującą tę

walkę z komunistami jest Zygmunt Jatczak, żołnierz Armii Krajowej, powstaniec warszawski i wreszcie żołnierz 13 Półbrygady Legii Cudzoziemskiej, w której szeregach walczył w Indochinach. Takich jak on było wielu, ale też po drugiej stronie służyli Polacy, najczęściej dezterterzy. Znałe są przypadki przesłuchiwanie polskich legionistów wziętych do niewoli przez rodaków.

Zupełnie nowym rozdziałem we wzajemnych relacjach są czasy współczesne. Polscy legioniści stykali się z żołnierzami Wojska Polskiego na terenie byłej Jugosławii, podczas trwającego tam konfliktu. Łączyła ich służba w ramach wojsk ONZ. Następnie misje podejmowane przez NATO ponownie dały możliwość kontaktów legionistów i Wojska Polskiego. Mam tu na myśli przede wszystkim Afganistan. Ponadto żołnierze Wojska Polskiego od kilku lat szkoleni są przez żołnierzy Legii. Już kilka tur szkolenia odbyli w Gujanie Francuskiej pod okiem instruktorów 3 REI, gdzie uczyli się sztuki przetrwania i sposobów walki w dżungli. Z dumą noszą na mundurach odznaki ukończenia kursu w CEFE [Le Centre d'entraînement à la forêt équatoriale – Centrum Szkoleniowe Lasów Równikowych].

W okresie międzywojennym rozpoczęła się pewnego rodzaju moda na Legię Cudzoziemską w kulturze masowej. Przygody legionistów na różnych egzotycznych wojnach opiewano w tysiącach publikacji, w audycjach radiowych, a przede wszystkim w kinie. Wtedy też chyba zaczęła się czarna legenda Legii jako formacji przyjmującej w swe szeregi typów spod ciemnej gwiazdy, pędzonych do walki



z buntującymi się francuskimi koloniami. Ile jest prawdy w tym stereotypowym wizerunku?

Na dworze króla Ludwika Filipa zrodził się pomysł podboju Afryki Północnej. Zaczęło się od kolonizacji Algierii, ale użycie wojsk francuskich było niewystarczające do osiągnięcia sukcesu. Stąd też powstał pomysł, aby król utworzył z cudzoziemców oddziały, które w imię Francji miały brać udział w podboju Algierii. W ten sposób zaczęło powstawać imperium kolonialne Francji, której służyła Legia Cudzoziemska.

Anonimowość, którą daje Legia Cudzoziemska, przyciągała natomiast wielu różnych ludzi. Kryminaliści oraz awanturnicy znajdowali tam schronienie – to prawda. Nie można jednak uogólniać i utrzymywać rozpowszechnianych szeroko mitów. Odsetek ludzi mających problemy z sądami i zaciągających się pod sztandary Legii nigdy nie był duży.

Źródłem anonimatu było natomiast rozporządzenie królewskie powołujące do życia Legię Cudzoziemską. W artykule 7 napisano, że kandydat nieposiadający dokumentów potwierdzających jego tożsamość zostanie odesłany przed oblicze oficera, który zadecyduje o jego ewentualnym zaangażowaniu. Trudno było wówczas przewidzieć konsekwencje takiego zapisu. Dowództwo od samego początku podchodziło sceptycznie do angażu tylko na podstawie zadeklarowanego nazwiska. Z biegiem czasu ta furtka okazała się także dla Legii korzystnym rozwiązaniem. W jej szeregi mogli zaciągać się ochotnicy, którzy w zamian za anonimowość byli w stanie oddać swe życie za Francję i formację.

Teraz Legia Cudzoziemska nie przyjmuje w swoje szeregi ludzi mających na sumieniu ciężkie przestępstwa, jak zabójstwa czy gwałty. Proszę pamiętać, że kiedyś, bez globalnego systemu weryfikacji danych policyjnych szanse na przyjęcie osób będących na bakier z prawem były znacznie większe. Dzisiaj każdy rekrut jest sprawdzany przez kontrwywiad Legii oraz struktury Interpolu. Delikwent, który jest poszukiwany przez policję i figuruje w bazie danych, jest bez zwłoki oddawany w ręce policji. Takich ludzi Legia nie chce.

Po II wojnie światowej sytuacja w naszym kraju sprawiała, że w Legii Cudzoziemskiej pojawiło się wielu polskich rekrutów. Dlaczego jednak dziś Polacy służą w tej jednostce?



Do dzisiaj przetrwały tradycje związane z umundurowaniem, m.in. białe kepi.

LEGIA CUDZOZIEMSKA TO 8900 ŻOŁNIERZY REPREZENTUJĄCYCH OKOŁO 140 NARODOWOŚCI

Liczba Polaków służących w Legii nie jest podawana do publicznej wiadomości. Według udostępnianych informacji niespełna 18% jej stanu pochodzi z Europy Środkowej, inny wskaźnik to 22% żołnierzy pochodzenia słowiańskiego. Można zatem szacować, że w Legii służy kilkuset naszych rodaków. Co do motywacji, to jedni chcą przeżyć przygodę, doświadczyć twardego męskiego życia, zdobyć znakomite wykształcenie wojskowe, a inni kierują się przesłankami ekonomicznymi. Zdecydowanie odpada natomiast kwestia walki o niepodległą Polskę, bo tę już mamy.

Jak bardzo zmieniła się ta formacja na przełomie XX i XXI wieku?

Legia Cudzoziemska naszych czasów to formacja wojskowa o najwyższych standardach. Szkolenia są prowadzone pod kątem uczestnictwa w operacjach interwencyjnych w różnych zakątkach świata i w rozmaitym terenie – od gór, przez dżunglę, po pustynię – czy tworzenia sił szybkiego reagowania. Osobnym aspektem jest szeroki udział Legii w operacjach antyterrorystycznych,

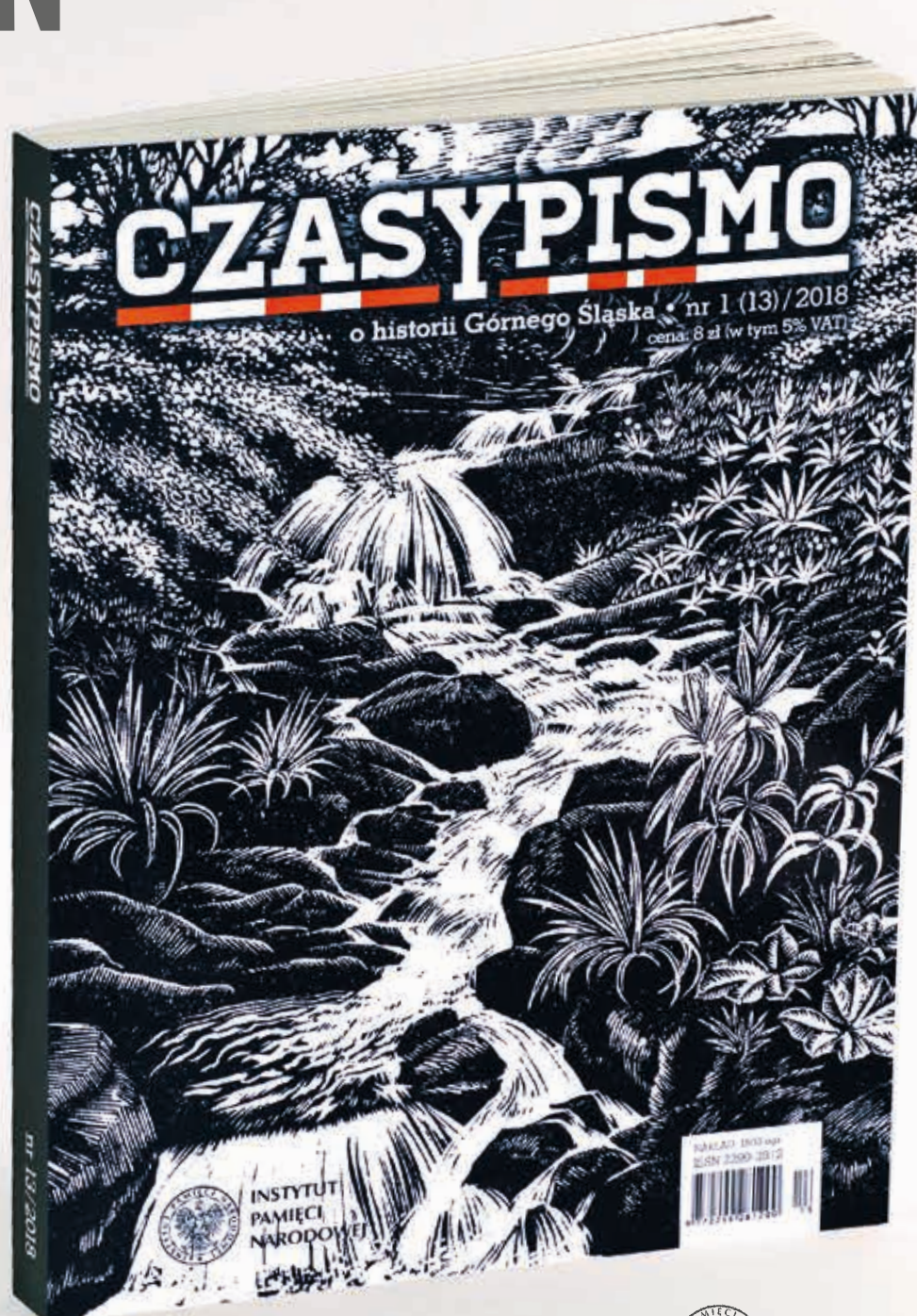
zarówno w kraju, jak i poza granicami. Jedną z najbardziej elitarnych jednostek tego typu w armii francuskiej jest 2 Pułk Spadochroniarzy Cudzoziemskich. Wykorzystywana do operacji specjalnych elita tej elity to GCP, stanowiąca grupę komandosów spadochronowych. Należał do niej m.in. sierż. Konrad Rygiel, który poległ w Afganistanie w czerwcu 2010 roku.

Czy mógłby pan się odnieść do dwóch najpopularniejszych haseł Legii Cudzoziemskiej zacytowanych w tytule naszej rozmowy?

„Maszeruj albo giń” to motto pokazywało charakter formacji jako tej wykonującej wyznaczone zadania za wszelką cenę, bo jak mówi kodeks legionisty, „misja jest święta”. To dewiza twardych, świetnie wyszkolonych i oddanych Legii Cudzoziemskiej żołnierzy. Dziać się tak mogło dlatego, że współgrało z nim drugie motto „Legio Patria Nostra”, bo ta jednostka naprawdę jest dla legionistów ojczyzną. ■

KRZYSZTOF SCHRAMM jest historykiem zajmującym się dziejami Legii Cudzoziemskiej oraz kierownikiem Sekcji Historycznej Stowarzyszenia Byłych Żołnierzy i Przyjaciół Legii Cudzoziemskiej w Polsce.

IPN poleca



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



WOJCIECH KORFANTY (1873–1939), LEGENDA I RZECZYWISTOŚĆ strona 5,
NIWYSOKI, SZCZUPŁY BLONDYN Z PISTOLETEM strona 116, **„WE WRONKACH
WITAŁY NAS KOPNIAKI”** strona 122, **KREMY, MYDŁA, MAŚĆ NA ODCISKI** strona 146,
T4, EUTANAZJA NA ŚLĄSKU strona 167, **SIEDEMDZIESIĄT LAT W BYFYJU** strona 172

Od **28 stycznia** do nabycia w sieci **empik** oraz placówkach **Poczty Polskiej** na terenie województw: śląskiego, małopolskiego, dolnośląskiego i opolskiego

1 2 WOJSKOWA 3 DRABINA NA PODIUM

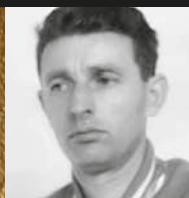
Polscy sportowcy na zimowych i letnich igrzyskach olimpijskich wywalczyli 75 złotych medali. 22 z nich zdobyli reprezentanci wojskowych klubów sportowych.

JACEK SZUSTAKOWSKI

Najwięcej złotych medali wywalczyli przedstawiciele największego z WKS-ów – Centralnego Wojskowego Klubu Sportowego Legia Warszawa. Mazurka Dąbrowskiego wysłuchało 13 legionistów, w tym dwukrotnie Andrzej Wroński. Złote medale zdobyli też reprezentanci bydgoskiego Zawiszy, wrocławskiego Śląska i krawoskiego Wawelu.

Listę polskich sportowców, którzy zdobyli najwięcej złotych medali olimpijskich, otwiera lekkoatleta Robert Korzeniowski. Chodziarz z Wojskowego Klubu Sportowego „Wawel” cztery razy był na najwyższym podium. Jako pierwszy zawodnik w historii światowej lekkiej atletyki wywalczył medale na trzech igrzyskach olimpijskich z rzędu oraz był pierwszym, który na tych samych igrzyskach wygrał rywalizację na 20

MISTRZOWIE OLIMPIJSCY Z WOJSKOWYCH



ppłk ZDZISŁAW KRZYSZKOWIAK (Zawisza Bydgoszcz) – bieg na 3000 m z przeszkodami (Rzym 1960)



TERESA CIEPŁY (Zawisza) – sztafeta 4x100 m (Tokio 1964)



JÓZEF GRUDZIŃSKI (Legia Warszawa) – boks, waga lekka (Tokio 1964)



mjr JERZY PAWŁOWSKI (Legia) – szermierka, szabla (Meksyk 1968)



ppłk JÓZEF ZAPĘDZKI (Śląsk Wrocław) – strzelectwo, pistolet szybkostrzelny (Meksyk 1968, Monachium 1972)



LESŁAW ĆMIKIEWICZ (Legia) – piłka nożna (Monachium 1972)

i 50 km. Przed kilkoma miesiącami „Korzeń” ukończył 50 lat i wspominając swoją karierę sportową, podkreślił, że w bogatej kolekcji ma też srebrny medal z wojskowych igrzysk, które w 1995 roku odbyły się w Rzymie. „Rywalizacja o medale była bardzo ostra, bo wygrał Włoch Michele Didoni, który kilka tygodni wcześniej został w Göteborgu mistrzem świata. Zawody rzymskie były jednymi z najtrudniejszych, w jakich startowałem”, powiedział w wywiadzie dla portalu polska-zbrojna.pl wielokrotny medalista.

Korzeniowski, choć wyrastał w Jarosławiu w sąsiedztwie koszar jednostek wojsk lądowych, jako dzieciak chciał być lotnikiem. Czytał „Skrzydlatą Polskę” i sklejał modele samolotów. Nie został jednak ani pilotem, ani w ogóle żołnierzem. Po zakończeniu kariery sportowej znalazł się mimo to na linii frontu. „W Syrii przejechałem setki kilometrów po okolicach, w których 2–3-kilometrowy pas rozdzielał walczące strony. Strzelano tam dookoła, a ja wypełniałem misję jako ambasador UNICEF. Zobaczyłem okropieństwa wojny i wiem, że trzeba robić wszystko, by do niej nie dochodziło”, podkreślił wybitny sportowiec.

WAŻNA JEST WIARA W SIEBIE

Po dwa razy Mazurka Dąbrowskiego na igrzyskach olimpijskich wysłuchało troje sportowców z WKS-ów: zapaśnik st. chor. Andrzej Wroński oraz strzelcy – Renata Mauer-Różańska i ppłk Józef Zapędzki. Wroński swoje pierwsze olimpijskie złoto wywalczył w 1988 roku w Seulu. Wydawało się, że 23-letni legionista miał pecha w losowaniu. Trafił na wielu utytułowanych rywali i fachowcy nie dawali mu szans na zajęcie choćby punktowanego miejsca. Trener reprezentacji zapaśników Stanisław Krzesiński jednak wierzył w podopiecznego i cały

czas mu powtarzał, że zdobędzie złoto. Zresztą kilka lat wcześniej przepowiedział to „Wronie” Czesław Góra, wojskowy lekarz z Krakowa. W finale legionista pokonał 3:1 Niemca Gerharda Himmela. Po raz drugi mistrzem olimpijskim został osiem lat później w Atlancie.

Z kolei Renata Mauer-Różańska na igrzyskach w Atlancie była pierwszym sportowcem, który stanął na najwyższym stopniu podium. Rywalizacja pań w strzelaniu z karabinka pneumatycznego otwierała bowiem olimpijskie zmagania. O złotym medalu decydował ostatni strzał. Prowadząca Niemka Petra Horneber, aby zdobyć tytuł mistrzowski, wcale nie musiała trafić w dziesiątkę. Uzyskała wynik 8,8 pkt. Polka nie miała nic do stracenia i popisała się strzałem bliskim ideału. 10,7 pkt zapewniło jej złoto, zresztą pierwsze w historii polskiego strzelectwa wśród pań. Co ciekawe, Renata Mauer-Różańska nie leciała do Atlanty jako faworytka. Kilka miesięcy przed igrzyskami urodziła córkę i nikt nie przypuszczał, że zdąży tak szybko wrócić do formy. Na kolejne igrzyska do Sydney Polka wybierała się natomiast jako liderka. Niestety, w inauguracyjnym starcie zajęła w strzelaniu z karabinka pneumatycznego 15. miejsce. Mimo porażki potrafiła odbudować się psychicznie i fantastycznie spisała się w konkurencji strzelania z karabinu z trzech postaw. W finale po trzeciej serii objęła prowadzenie i nie oddała go już do końca rywalizacji.

Przed Mauer-Różańską w historii polskiego strzelectwa piękną kartę zapisał inny sportowiec z wrocławskiego Śląska – ppłk Józef Zapędzki. W Meksyku w 1968 roku wywalczył pierwszy dla Polski medal w strzelectwie. W drugim starcie na igrzyskach (debiutował cztery lata wcześniej w Tokio) zdobył złoto w konkurencji pistolet szybkostrzelny 60 strzałów do sylwetek, 25 m. Swój wielki sukces

Bokserzy, piłkarze, lekkoatleci, strzelcy, szermierze, zapaśnicy, sztangista, pięcioboista, jeździec, mimo że nie wszyscy byli żołnierzami, broniąc barw wojskowych klubów sportowych, w ciągu kilkudziesięciu lat z powodzeniem reprezentowali armię.



KLUBÓW SPORTOWYCH



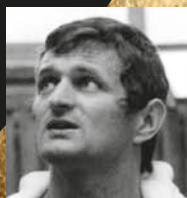
por. KAZIMIERZ DEYNA (Legia) – piłka nożna (Monachium 1972)



chor. ROBERT GADOCHA (Legia) – piłka nożna (Monachium 1972)



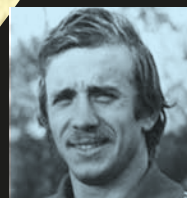
JERZY KACZMAREK (Legia) – szermierka, drużyna we florecie (Monachium 1972)



ppłk ZYGMUNT SMALCERZ (Legia) – podnoszenie ciężarów, waga musza (Monachium 1972)



st. chor. JAN SZCZEPAŃSKI (Legia) – boks, waga lekka (Monachium 1972)



JANUSZ PYCIAK-PECIAK (Legia) – pięciobój nowoczesny (Montreal 1976)

powtórzył w Monachium w 1972 roku. Mazurka Dąbrowskiego wysłuchał 1 września. Złoto dedykował ojcu, który został zamordowany w obozie koncentracyjnym w Dachau.

W MUNDURZE PO ZŁOTO

Jeden z kibiców w mundurze, od lat śledzący letnie i zimowe igrzyska, na pytanie, który ze sportowców dostarczył mu najwięcej wzruszeń, bez wahania przypomniał walkę o złoto Jana Kowalczyka w 1980 roku. „Z moskiewskich igrzysk nie opuściłem nawet minuty transmisji. Największe wrażenie wywarł na mnie chor. Kowalczyk, który na koniu Artemorze pokonał wszystkich rywali. Bardzo mi się podobało, że startował w mundurze Wojska Polskiego”, przyznał st. chor. sztab. rez. Zbigniew Rosiński, wieloletni prezes Wojskowego Klubu Biegacza Meta Lubliniec. I wcale nie wytypował Kowalczyka dlatego, że pełnił zasadniczą służbę wojskową w koszarach, w których on sam służył przez ponad 20 lat.

Złoty medalista olimpijski z Moskwy właśnie w Lublińcu w październiku 1961 roku rozpoczął swoją przygodę z wojskiem. „W tamtejszych koszarach odbyłem szkolenie unitarne. Przez trzy miesiące nie dostałem żadnej przepustki. Dopiero potem trafiłem do Legii”, przyznał chorąży, który przez 30 lat bronił barw wojskowego klubu.

W gronie mistrzów olimpijskich z WKS-ów znaleźli się również piłkarze. Złoty medal w Monachium w 1972 roku, po pokonaniu w finale 2:1 Węgrów, zdobyli reprezentanci Legii: Kazimierz Deyna, Robert Gadocha i Lesław Ćmikiewicz. Ten pierwszy w olimpijskim turnieju wbił dziewięć goli w siedmiu meczach, co dało mu tytuł króla strzelców. Po powrocie z igrzysk plutonowi Deyna i Gadocha dostali awans na chorążego. Ćmikiewicz natomiast nie był żołnierzem.

Igrzyska w Monachium były bardzo udane dla sportowców z WKS-ów. Złote medale zdobyli Zapędzki oraz florecista Jerzy Kaczmarek, sztangista Zygmunt Smalcerz i bokser Jan Szczepański. Ten ostatni finałową walkę toczył w tym samym czasie, gdy mecz o złoto rozgrywali piłkarze. Bokser Legii pokonał Węgry Lászlą Orbána, co zmobilizowało do walki podopiecznych Kazimierza Górskiego. Ostatecznie pokonali oni Węgrów, zwycięskiego gola w 68. minucie meczu strzelił Deyna.

Sporty zespołowe zawsze przynosiły kibicom najwięcej emocji. Na kolejnych po Monachium igrzyskach w Montrealu piłkarze zdobyli srebrny medal, ale za to złoto wywalczyli siatkarze. Kibice nie spali w nocy i oglądali pojedynki drużyny prowadzonej przez trenera Huberta Wagnera. Biało-czerwoni – po pokonaniu 3:2 Korei, 3:0 Kanady, 3:2 Kuby, 3:1 Czechosłowacji i 3:2 Japonii – w finale stoczyli zacięty bój z reprezentacją Związku Radzieckiego. Pierwszego seta Polacy przegrali 11:15, drugiego wygrali 15:13, a trzeciego przegrali 12:15. W czwartym nasi reprezentanci obronili piłkę meczową i doprowadzili do zwycięstwa 19:17. Decydującego o złocie seta Polacy wygrali 15:7, a duży udział w końcowym sukcesie miał legionista Edward Skorek, który w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia uznawany był za jednego z najlepszych atakujących świata.

W Montrealu cieszyliśmy się też ze złota wywalczonego przez innego zawodnika Legii – pięcioboistę nowoczesnego Janusza Pyciaka-Peciaka. Listę złotych medalistów warszawskiego klubu uzupełniają jeszcze: bokser Józef Grudzień, szablista Jerzy Pawłowski i zapaśnik Włodzimierz Zawadzki. Z kolei bydgoski Zawisza może się pochwalić dwójką mistrzów olimpijskich z lekkoatletycznej bieżni: Zdzisławem Krzyszkowiakiem i Teresą Cieplą. ■

MISTRZOWIE OLIMPIJSCY Z WOJSKOWYCH KLUBÓW SPORTOWYCH



EDWARD SKOREK
(Legia) – siatkówka
(Montreal 1976)



st. chor. sztab. JAN KOWALCZYK (Legia)
– jeździectwo, skoki
przez przeszkody
(Moskwa 1980)



st. chor. ANDRZEJ WRÓŃSKI (Legia) –
zapasy w stylu klasycznym, waga ciężka
(Seul 1988, Atlanta 1996)



ROBERT KORZENIOWSKI
(Wawel Kraków) –
chód sportowy:
50 km (Atlanta 1996, Sydney 2000,
Ateny 2004) i 20 km
(Sydney 2000)



RENATA MAUER-RÓŻAŃSKA (Śląsk) –
strzelectwo, karabin
pneumatyczny
40 strzałów z pozycji
stojącej, 10 m
(Atlanta 1996) i karabin
małokalibrowy
standard 3x20 strzałów
z trzech postaw,
50 m (Sydney 2000)



mł. chor. WŁODZIMIERZ ZAWADZKI
(Legia) – zapasy
w stylu klasycznym,
waga piórkowa
(Atlanta 1996)

Lenin napisany na nowo

„Znaczną część jego dziwnego zachowania można wyjaśnić faktem, że jest zupełnie pozbawiony poczucia humoru”.

Georgij Plechanow

W 1917 roku na wieść o nadciągającej rewolucji, przebywający od kilkunastu lat na emigracji Lenin pośpieszył do Rosji. W tę trudną podróż udał się specjalnym, zaplombowanym pociągiem. Wśród licznych problemów związanych z niedogodnościami podróży pojawił się jeden dość istotny. Niektórzy pasażerowie palili w łazience tytoń, co powodowało, że na korytarzu tworzyła się kolejka zdenerwowanych oczekujących. Lenin wówczas pociął kawałek papieru na paski, rozdał palaczom i niepalącym jako bilety wstępu, a następnie zajął się ich kontrolą. Tak ponoć narodził się znany wszystkim z czasów PRL-u system kartkowy.

Anegdota przytoczona przez Victora Sebestyena to ledwie zabawny epizod w biografii Włodzimierza Lenina, odbicie jednej z wielu jego neurotycznych cech, niemal chorobliwej pedanterii. Jaki naprawdę był ojciec radzieckiej rewolucji, który od ponad dziewięćdziesięciu lat nie może opuścić placu Czerwonego?

Lenin żył dla idei. Był owładnięty żądzą władzy, nie interesował się jednak materialnymi korzyściami, które ona daje. Niepozorny fizycznie. Zamknięty w sobie, choć lubiany przez otoczenie, nie potrafił nawiązywać bliższych przyjaźni. Nie był empatyczny, ponadto nękał otoczenie niekontrolowanymi wybuchami złości.

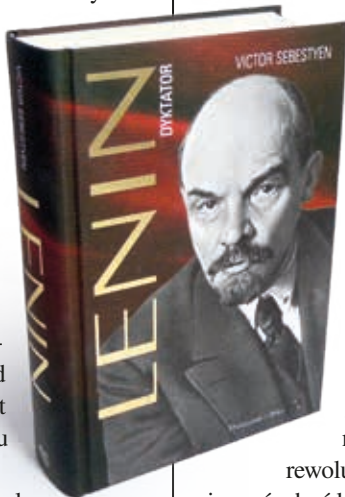
Przejawiał też skłonności do okrucieństwa. Nie cofał się przed kłamstwem i radykalnymi metodami działania. Gdy czyta się książkę Victora Sebestyena, trudno sobie wyobrazić, że ten człowiek za życia potrafił porwać tłumy, po śmierci zaś został otoczony niemal boskim kultem.

Biografia ta niewiele ma wspólnego z budowaną przez lata komunistyczną legendą dobrego ojca narodu. Autor opisał Lenina wielopłaszczyznowo: przede wszystkim jako rzeczywistego twórcę bolszewickiego terroru, sprytnego polityka, bezwstydного populistę, który miał wielki talent do manipulowania ludźmi. A także osobę prywatną, człowieka lojalnego w stosunku do rodziny, przez całe lata żyjącego jednak w skomplikowanym trójkącie miłosnym.

Biografia Lenina jest jednak tylko osią, na której Sebestyen zaznaczył kilkadziesiąt lat historii Rosji i rozwoju ruchu komunistycznego, a także bezwzględnych walk o władzę po rewolucji. Warto po tę książkę sięgnąć, choć konkluzja po jej przeczytaniu nie jest zbyt optymistyczna. Okazuje się bowiem, że sama rewolucja to tylko chwilowy wybuch, po którym przychodzi nowa władza, a wszystko i tak zostaje po staremu.

JOANNA ROCHOWICZ

Victor Sebestyen, „Lenin. Dyktator”, Prószyński i S-ka, 2018.



Zrób kolejny krok w swojej karierze

Amazon poszukuje talentów także wśród byłych wojskowych.



Dowiedz się więcej na:

amazon.jobs



Ardeny moralnego niepokoju

Filmom o przeżyciach amerykańskich żołnierzy w czasie niemieckiej ofensywy w Ardenach bliżej do horrorów niż do kina wojennego. Amerykanie doświadczyli na granicy francusko-belgijskiej nie tylko koszmaru wojny w okrażeniu, lecz także terroru fanatyków z SS.

PIOTR KORCZYŃSKI

Jak wiadomo, Adolf Hitler uważał armię amerykańską za najsłabsze ogniwo sił alianckich walczących na froncie zachodnim. Według niego, amerykańscy dowódcy byli słabo wykształceni, a żołnierze niedoświadczeni i o niskim morale. Kiedy więc dowiedział się, że zimą 1944 roku w ardeńskich górach zatrzymała się US Army, zobaczył w tym szansę na odwrócenie losów wojny. Ardeny – niskie, ale gęsto zalesione góry – do 1940 roku miały opinię „nieprzejezdnych” przez wojska zmechanizowane i pancerne. Niemieccy pancerniacy atakujący z tego kierunku zaskoczonych Francuzów udowodnili, że to nieprawda. Cztery lata później z woli Führera mieli w tym samym miejscu odwrócić losy wojny. Niemcy, dysponując znacznie potężniejszymi czołgami niż w 1940 roku, czyli panterami i tygrysami, wykorzystali zimową aurę niwelującą przewagę lotnictwa i runęli w „atak ostatniej szansy” na niczego niespodziewających się żołnierzy amerykańskich.

W pierwszych dniach ofensywy wydawało się, że przewidywania Hitlera i jego sztabowców były trafne. Wyłaniające się z zimowych mgieł i śnieżyc potężne pantery i tygrysy siały w amerykańskich szeregach spustoszenie i zamęt, potęgowany na tyłach US Army przez komandosów SS-Obersturmbannführera Ottona Skorzeny’ego, przebranych w amerykańskie mundury. Z czasem jednak okazało się, że Hitler nie docenił ani dowódczych umiejętności oficerów amerykańskich, ani determinacji dowodzonych przez nich żołnierzy, którzy walczyli w okrażeniu jak lwy. Symbolem tej walki stała się obrona Bastogne 21–26 grudnia 1944 roku. Spadochroniarze 101 Dywizji Powietrznodesantowej, słynne „krzyczące orły”, wytrzymali całą serię ciężkich natarć niemieckich, a na propozycję honorowej kapitulacji odpowiedzieli jednym słowem: „nuts” (bzdura).

PIERWSZA TAKA BITWA

Choć wojska amerykańskie miały już za sobą ciężkie boje z Niemcami w Afryce, we Włoszech i wreszcie we Francji po słynnym desancie na plażach Normandii w czerwcu 1944 roku, to bitwa w Ardenach stała się jednym z najczęściej przywoływanych epizodów wojennych w kinie amerykańskim. Dlaczego? O ekstremalnych przeżyciach żołnierzy w pierwszych dniach niemieckiej ofensywy była już mowa. W okrażeniu,

wydawałoby się w beznadziejnej sytuacji, dochodziło z jednej strony do załamań nerwowych i przejawów tchórzostwa, a z drugiej – do niezwykle poświęcenia i bohaterstwa. Ten kalejdoskop ludzkich postaw bez retuszu pokazywały już pierwsze filmy o bitwie ardeńskiej: „Pole bitwy” z 1949 roku w reżyserii Williama A. Wellmana, „Atak!” Roberta Aldricha z 1956 roku, a nawet najbardziej widowiskowa „Bitwa o Ardeny” Kena Annakina z 1965 roku.

Wyraźny wydzźwięk antywojenny miały dwa kolejne filmy o odciętych od świata w ardeńskich pustkowiach żołnierzach amerykańskich: „W księżycową jasną noc” Keitha Gordona z 1992 roku i „Na tyłach wroga” Ryana Little’a z 2003 roku. Pierwszy został oparty na głośnej książce Williama Whartona o tym samym tytule. Autor zawarł w niej własne doświadczenia frontowe, gdyż jako młody ochotnik trafił do „ardeńskiego piekła” i tam został ranny. Z jego punktu widzenia, co może szokować zwłaszcza polskiego odbiorcę książki i filmu, bitwa pod Ardenami była przede wszystkim bezsensownym marnowaniem życia zarówno młodych Amerykanów, jak i młodych Niemców.

Drugi z przywołanych filmów – „Na tyłach wroga” – porusza m.in. temat osławionej masakry jeńców amerykańskich w Malmedy, dokonanej 17 grudnia i w następnych dniach 1944 roku przez esesmanów SS-Obersturmbannführera Joachima Peipera. I z tym wydarzeniem związany jest kolejny powód, dla którego ofensywa w Ardenach jest tak eksploatowana przez Hollywood. W żadnym innym momencie II wojny światowej Amerykanie nie doświadczyli w takiej mierze na własnej skórze nazistowskiego terroru. Tutaj też w pełni pojawił się problem destrukcyjnego wpływu wojny na własne szeregi.

Warto w tym kontekście wspomnieć raz jeszcze „Atak!” Roberta Aldricha. Oto oddział amerykański pod komendą nieudolnego i tchórzliwego kpt. Erskine’a Cooneya (Eddie Albert), syna „bardzo ważnej osobistości”, ponosi dotkliwie straty w górach ardeńskich. Wszystkiemu winien jest niekompetentny dowódca. Doprowadzony tym do ostateczności por. Joe Costa (Jack Palance) grozi zastrzeleniem Cooneya, ale ginie wysłany na bezsensowną akcję. Por. Harold „Harry” Woodruff (William Smithers), który bezskutecznie próbuje



❶ „Na tyłach wroga”, reż. Ryan Little, 2003 rok

❷ „W księżycową jasną noc”, reż. Keith Gordon, 1992 rok

❸ „Bitwa o Ardeny”, reż. Ken Annakin, 1965 rok



przekonać dowódcę pułku płk. Clyde'a Barletta (Lee Marvin) o konieczności odwołania Cooneya, zabija w końcu kapitana, kiedy ten bez wyraźnego powodu postanawia kapitulować. Na znak solidarności wszyscy żołnierze strzelają do ciała zabitego. Płk Barlett, który po wojnie planował zrobić karierę przy pomocy ojca Cooneya, chce zatuszować aferę, odznaczając zamordowanego oficera „za odwagę”. Woodruff jednak, ryzykując sąd wojenny, melduje generałowi prawdę. Był to jeden z pierwszych filmów amerykańskich, który ukazywał degrengoladę ludzkiej psychiki i niejako wieszczył to, z czym armia amerykańska będzie mierzyć się w Wietnamie – rozkład morale we własnych szeregach.

MYSZKA MIKI KONTRA DYWERSANCI

Prócz dotkliwych strat bojowych ofensywa w Ardenach przyniosła Amerykanom także ciosy psychologiczne, które US Army odczuwała jeszcze długo po zakończeniu tej kampanii. Wszystko za sprawą wspomnianych komandosów Skorzeny'ego i spadochroniarzy płk. Augusta von der Heydte, którzy narobili sporego zamieszania na tyłach wojsk amerykańskich. Choć akcje dywersantów przebranych w amerykańskie mundury i mówiących po angielsku (często też poruszających się zdobycznymi amerykańskimi pojazdami) nie poczyniły aż tak wielkich szkód materialnych, jak się spodziewano, to jednak wywołały na tyłach US Army prawdziwą szpiegomanie, której nie oparła się nawet kwatera główna gen. Dwighta Eisenhowera w Paryżu.

Od tego momentu prawdziwych i wymaginowanych „zabójców Skorzeny'ego” widziano wszędzie. Za kratki trafiali np. wojskowi, którzy nosili zdobyczne niemieckie buty. Zdarzyło się też, że gdy dwaj żołnierze jedzący obiad w stołówce innej jednostki pochwalili dobre jedzenie, te

słowa wydały się podejrzanym pozostałym stołującym się tam żołnierzom i domniemani „komandos Skorzeny'ego” znaleźli się w areszcie. Psychoza objęła też wyższe dowództwo amerykańskie. Gen. Omar Bradley zdjął ze swego hełmu generalskie gwiazdki, by nie ustrzelił go niemiecki snajper. Z kolei dowódca 1 Armii gen. Courtney Hodges uciekł ze swej kwatery w Spa do Chateau Fontaine – został tam położony do łóżka oficjalnie z powodu zapalenia płuc, ale naprawdę w stanie rozstroju nerwowego. Jak wspomniano, nawet sam gen. Eisenhower został zmuszony do przeniesienia się do Wersalu, gdzie kompania uzbrojonych żandarmerów czuwała nad jego przejazdem do stołówki. Wy-myślono cały system rozpoznawczy dla własnych oddziałów na froncie – np. odpięty drugi od góry guzik od bluzy, błękitne lub różowe szaliki na szyi, salutowanie poprzez dwukrotne uderzenie dłonią o hełm. Trzeba też dodać, że amerykańskie patrole zatrzymywały do identyfikacji wszystkich podejrzanych, bez względu na stopień – nie ominęło to nawet gen. Bradleya. Zatrzymani musieli odpowiadać na pytania, na które, według oficerów kontrwywiadu, potrafił odpowiedzieć każdy rodowity Amerykanin, z kolei problem mogli mieć z nimi obcokrajowcy, nawet bardzo dobrze mówiący po angielsku. Pytano o wyniki i statystyki meczów baseballowych, stolice poszczególnych stanów i... dziewczynę Myszkę Miki. Ta kwestia ponoć od razu zbijała z tropu fałszywych Amerykanów, gdyż w Europie powszechnie myślano, że Myszka Miki jest dziewczynką. Tak bohater z filmów Walta Disneya przyczynił się do zahamowania nieprzyjacielskiej akcji.

Pomysłodawcy pytań nie przewidzieli jednak, że żandarmi mogą być niedouczeni. Kiedy na kolejnym posterunku gen. Bradley zapytany o stolicę stanu Illinois prawidłowo odpowiedział, że to Springfield, został zatrzymany, ponieważ żandarm upierał się, że jest nią Chicago. Horror stał się farsą. ■

Czy Myszka Miki jest dziewczynką? Okazało się, że to z pozoru banalne pytanie najskuteczniej dekonspirowało agentów nieprzyjaciela.





ANDRZEJ FAŁARA

Moja wojna rosyjsko-japońska

Z wojną rosyjsko-japońską, która zaczęła się w lutym 1904 roku, czyli dokładnie 115 lat temu, wiązą się moje osobiste wspomnienia. Spokojnie, drodzy czytelnicy, proszę nigdzie nie dzwonić, czuję się bardzo dobrze. Otóż gdy byłem małym chłopcem, do mojego dziadka przychodził kolega, który walczył z Japończykami na Dalekim Wschodzie. Panowie wprowadzali się w lekki stan baśniowy, po czym weteran zdejmował ze ściany uchwyt do firanek i pokazywał, jak dźgał skośnookiego wroga bagnetem.

To wspomnienie z dzieciństwa przełożyło się później na moje zainteresowanie wojną rosyjsko-japońską. Zainteresowanie graniczące z szaleństwem. Czytałem wszystkie dostępne lektury na ten temat, stałem się najwybitniejszym znawcą wojny rosyjsko-japońskiej w swojej szkole, a pewnie też we wszystkich szkołach w Warszawie. Znałem przebieg każdej bitwy i nazwiska dowódców po obu stronach. Do niczego mi to nie było potrzebne. Na lekcji historii nauczyciel poświęcił mojej ukochanej wojnie zaledwie kilka ogólnikowych zdań. Pamiętam, że byłem tym autentycznie wstrząśnięty.

Dziś pozostały mi w głowie strzępki wiedzy na temat tego, trwającego ponad półtora roku, starcia, które miało bardzo istotny wpływ na losy Europy i Polski. Bezapelacyjne zwycięstwo Japonii w tej wojnie było pierwszą tak widoczną oznaką kruchości Imperium Rosyjskiego, a także pierwszym etapem jego upadku. Wyczuwali to dwaj najwybitniejsi polscy politycy tamtego okresu, Józef Piłsudski i Roman Dmowski, którzy niezależnie od siebie odbyli w 1904 roku podróż do Japonii, chcąc pozyskać cesarstwo do działań niepodległościowych. Nadzieje okazały się płonne, ale to już całkiem inna opowieść.

Japonia triumfowała w wojnie z Rosją przede wszystkim na morzu. Rosyjska flota została wręcz zmiażdżona w kilku bitwach, m.in. w tej najważniejszej, która rozegrała się w pobliżu wyspy Cuszima w Cieśninie Koreańskiej. Japończycy mieli w morskiej batalii nie tylko przewagę techniczną, ale też górowali nad przeciwnikiem wyszkoleniem załóg. Do tego dołożyły się jeszcze kardynalne błędy rosyjskich admirałów. Na lądzie natomiast walki toczyły się głównie w Mandżurii. Historycy wojskowości podkreślają użycie przez obie strony, po raz pierwszy na tak dużą skalę, broni maszynowej.

Wracając do wspomnień z dzieciństwa... Brawurowy pokaz ataku na bagnety w wykonaniu weterana wojny rosyjsko-japońskiej przerywało nagle pojawienie się babci. Uchwyt do firanek zostawał na jakiś czas zdemilitaryzowany. Do następnego spotkania...

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych.

Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

DODATEK DO EMERYTURY

Podstawy prawne: ustawa o zmianie ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych oraz niektórych innych ustaw z 11 października 2013 roku (DzU 2013, poz. 1355 z późn. zm.) – art. 89 ust. 1 i 2; rozporządzenie MON w sprawie zwalniania żołnierzy zawodowych z zawodowej służby wojskowej z 12 maja 2014 roku (DzU 2014, poz. 670 z późn. zm.) – § 21 ust. 1 i 2.

Jako dowódca kompanii pobieram dodatek stały w kwocie 300 zł brutto miesięcznie. Czy gdyby komisja lekarska uznała mnie za niezdolnego do dalszego pełnienia służby wojskowej i zostałem z niej zwolniony, to zachowam ten dodatek do świadczenia emerytalnego, czy też nie? Jeśli tak, to czy w całości, czy procentowo za każdy pełny rok pełnienia funkcji na stanowisku dowódcy pododdziału? Nadmieniam, że ewentualne schorzenie nie pozostaje w związku ze służbą, a okres pełnienia służby na stanowisku dowódcy pododdziału wynosi niespełna rok.

→ **Dodatek będzie się należał w wysokości 100%. Kwestię tę regulują przepisy rozporządzenia MON, które stanowią, że żołnierz zawodowy otrzymuje dodatek służbowy o charakterze stałym z tytułu zajmowania stanowiska służbowego,** ustalony przy zastosowaniu mnożników kwoty bazowej dla dowódcy kompanii, baterii, kłucza, szwadronu, grupy pomocniczych jednostek pływających lub grupy ratownictwa morskiego albo okrętu III lub IV rangi – od 0,05 do 0,20.

Jednocześnie wskazać należy na treść § 21 ust. 1 rozporządzenia MON w sprawie zwalniania żołnierzy zawodowych z zawodowej służby wojskowej. Jest tam mowa, że żołnierza, który został uznany przez wojskową komisję lekarską za niezdolnego do zawodowej służby wojskowej, zwalnia się z tej służby z dniem, w którym decyzja komisji stała się ostateczna. W razie ustalenia przez wojskową komisję lekarską niezdolności żołnierza do zawodowej służby wojskowej dowódca jednostki, w której żołnierz pełni zawodową służbę,

zwalnia go od wykonywania obowiązków. Fakt ten dowódca jednostki wojskowej stwierdza w rozkazie dziennym.

Należy podkreślić, że w sytuacji, gdy żołnierz zawodowy pozostaje w rezerwie kadrowej lub dyspozycji albo w czasie urlopu – otrzymuje (z zastrzeżeniem art. 90 ust. 1–1d) uposażenie zasadnicze wraz z dodatkami o charakterze stałym, należne na ostatnio zajmowanym stanowisku służbowym, z uwzględnieniem powstałych w tym okresie zmian mających wpływ na prawo do uposażenia lub jego wysokość. Przepis stosuje się odpowiednio do żołnierza zawodowego, który np. został zwolniony ze stanowiska służbowego albo podlega zwolnieniu ze stanowiska służbowego (w przypadkach wymienionych w art. 45 ust. 1 i 2) do czasu objęcia obowiązków na takim stanowisku, przeniesienia do rezerwy kadrowej lub dyspozycji albo zwolnienia z zawodowej służby wojskowej.

ROBERT KŁOSIŃSKI

Kancelaria Radcy Prawnego Egida

Orzecznictwo: Wyrok Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego z siedzibą w Krakowie z 13 lipca 2016 roku, III SA/Kr 298/16 (przepis § 6 ust. 1 pkt 1) rozporządzenia ministra obrony narodowej z 10 listopada 2014 roku w sprawie dodatków do uposażenia zasadniczego żołnierzy zawodowych (DzU 2014, poz. 1618 ze zm.) określa wyłącznie prawo do pobierania w ostatnim miesiącu służby dodatku w pełnej wysokości, a nie np. w ułamkowej jego części, i nie odnosi się on do kwoty pobieranego dodatku specjalnego, w przeciwieństwie do uregulowania § 6 ust. 1 pkt 2. Wysokość tej kwoty wynika natomiast z zastosowanego mnożnika. Odmiennie jego rozumienie stałoby w sprzeczności z regulacją wynikającą z art. 89 ust. 1 ustawy z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (DzU 2014, poz. 1414 ze zm.).



MUNDUROWY PROBLEM

Pierwszy mundur galowy dostałem po ukończeniu szkoły oficerskiej. Co mówią przepisy o kwestii zakupu kolejnego munduru galowego i wyjściowego? Z założenia żołnierz zawodowy powinien je kupić lub uszyć z pieniędzy otrzymanych w ramach tzw. mundurówki. Czy jest jednak możliwość pobrania takich mundurów z magazynu? Czy wtedy wysokość „mundurówki” zostanie obniżona?

→ W sytuacji, gdy żołnierz zawodowy w danym roku kalendarzowym otrzymał równoważnik pieniężny przysługujący żołnierzom zawodowym oraz żołnierzom pełniącym służbę kandydacką w zamian za umundurowanie i wyekwipowanie niewydane w naturze, a zasoby magazynu pozwa-

lają na pobranie przez niego munduru galowego i wyjściowego, to może on skorzystać z takiego rozwiązania. W przyszłym roku kalendarzowym koszty wydanych mundurów zostaną przeliczone przez oddział gospodarczy, co spowoduje, że równoważnik zostanie pomniejszony o równowartość wydanych uprzednio mundurów. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Kancelaria Radcy Prawnego Egida

Podstawa prawna: rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie równoważników pieniężnych przysługujących żołnierzom zawodowym oraz żołnierzom pełniącym służbę kandydacką w zamian za umundurowanie i wyekwipowanie niewydane w naturze z 15 stycznia 2015 roku (DzU 2015, poz. 146) § 2 ust. 1, § 15.

EKWIWALENT URLOPOWY

Wiem, że ekwiwalent urlopowy w wojsku przysługuje każdemu członkowi rodziny żołnierza, tj. dzieciom i żonie. Co w przypadku, kiedy żołnierz ma orzeczoną sądowo separację z żoną i nie prowadzą wspólnie gospodarstwa domowego? Czy mimo to należy mu się ekwiwalent na żonę?

→ **Ekwiwalent przysługuje żołnierzowi oraz jego rodzinie.** Na podstawie art. 87 ust. 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych (...) żołnierzowi zawodowemu przysługuje raz w roku prawo do gratyfikacji urlopowej. Przy ustalaniu wysokości gratyfikacji urlopowej uwzględnia się również małżonka, a także dzieci pozostające

na utrzymaniu żołnierza zawodowego. (ust. 3). Jednocześnie § 3 ust. 2 rozporządzenia MON w sprawie gratyfikacji urlopowej żołnierzy zawodowych reguluje kwestie sposobu i treści oświadczenia, w którym uprawniony żołnierz podaje liczbę osób uwzględnianych przy ustalaniu gratyfikacji urlopowej, według stanu rodzinnego żołnierza w dniu złożenia wniosku. Fakt pozostawania żołnierza zawodowego w separacji nie czyni sytuacji, w której gratyfikacja nie przysługiwałaby, ponieważ małżonkowie nie mają rozvodu. Również nieprowadzenie wspólnie gospodarstwa domowego nie ma znaczenia dla powyższego uprawnienia, ponieważ dzieci żołnierza pozostają na jego

utrzymaniu. Podkreślenia wymaga, że separacja co do zasady ma na celu ratowanie związku małżeńskiego. Tym samym brak jest podstaw do stosowania wyłączenia prawa do gratyfikacji urlopowej. Odmienne sytuacja zaistniałaby, gdyby rozwód został orzeczony. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Kancelaria Radcy Prawnego Egida

Podstawy prawne: ustawa o zmianie ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych oraz niektórych innych ustaw z 11 października 2013 roku (DzU 2013, poz. 1355 z późn. zm.) – art. 87 ust. 1 i rozporządzenie MON w sprawie gratyfikacji urlopowej żołnierzy zawodowych z 18 marca 2014 roku (DzU 2014, poz. 411) – § 3 ust. 2.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

SPRAWY ŻOŁNIERZY

CO Z WOJSKOWYMI EMERYTURAMI?

Konwent Dziekanów postuluje zniesienie wymogu ukończenia przez żołnierzy 55 lat jako warunku emerytury.

Żołnierzy zawodowych, którzy wstąpili do armii przed 1 stycznia 2013 roku, obowiązują „stare” zasady emerytalne. Mogą oni przejść na emeryturę już po 15 latach służby wojskowej. Drugą grupę stanowią ci, którzy żołnierzami zostali po raz pierwszy po 31 grudnia 2012 roku. Według wprowadzonych 1 stycznia 2013 roku zmian w ustawie o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin, świadczenie to będzie im przysługiwać dopiero wtedy, gdy spełnią łącznie dwa warunki: ukończą 55 lat i będą mieli za sobą co najmniej 25-letni staż służby.

Analogiczne jak w wojsku regulacje obowiązują obecnie także np. w służbach podległych Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Administracji (policja, straż pożarna). Jednak już w przyszłym roku w służbach tych planowana jest rezygnacja z wymogu wieku (55 lat) jako warunku przejścia na emeryturę. W praktyce jako jedyny wymóg pozostanie 25-letni staż służby.

Podobne rozwiązania w odniesieniu do żołnierzy postuluje Konwent Dziekanów Korpusu Oficerów Zawodowych. Chodzi konkretnie o zniesienie wymogu ukończenia przez żołnierzy zawodowych (którzy zostali powołani po raz pierwszy do wojska po 31 grudnia 2012 roku) wieku 55 lat jako warunku uprawniającego do emerytury wojskowej. Takie zmiany są oczekiwane przez wojskowe środowisko. Wiele wojskowych wskazuje bowiem, że żołnierz, który jako dwudziestolatek wstąpił do armii po 31 grudnia 2012 roku, w wieku 45 lat będzie już spełniał wymóg stażowy, wciąż jednak nie będzie miał wymaganego przepisami wieku. A zdarzyć się może, że z różnych przyczyn armia go zwolni albo on sam będzie chciał odejść z wojska.

Jaką decyzję podejmie minister, jeszcze nie wiadomo. Ale organa przedstawicielskie już dziś deklarują gotowość do udziału w opracowaniu ewentualnej nowelizacji przepisów. PG ■

Czy zniknie służba kontraktowa?

Resort obrony zamierza zastąpić służbę kontraktową służbą stałą.

Obecnie żołnierze zawodowi mogą pełnić czynną służbę jako stałą albo kontraktową. Ta ostatnia oparta jest na kontrakcie, czyli umowie cywilnej zawieranej między wojskiem a żołnierzem. Po zakończeniu określonego okresu służby żołnierz może wystąpić o zawarcie następnego kontraktu albo, w przypadku podoficerów i oficerów,

starać się o powołanie do służby stałej. Obecnie ten rodzaj służby pełni 10% wszystkich podoficerów oraz wszyscy szeregowi. Zgodnie jednak z podpisaną przez ministra Mariusza Błaszczaka „Koncepcją rozwoju korpusu podoficerów zawodowych” resort obrony planuje zlikwidować służbę kontraktową na rzecz służby stałej. Pozytywne aspekty takiego rozwiązania mają odczuć głównie szeregowi.

Dziś w chwili zakończenia kontraktu nie wiedzą, czy będą mogli podpisać kolejny, bo przepisy nie przewidują możliwości jego automatycznego przedłużenia. Zmiany mają sprawić, że przechodząc do służby stałej, żołnierz zyska większą stabilizację i będzie mógł planować swoją dalszą karierę w wojsku. Jako żołnierz służby stałej będzie też wiarygodniejszym klientem

dla np. banków w przypadku chęci wzięcia kredytu. Zniesienie służby kontraktowej ma być korzystne także dla armii. Obecnie jakiegokolwiek korekty w kontrakcie, dotyczące np. miejsca pełnienia służby, wymagają zgody obu stron. Po zmianach dowódcy zyskają większą swobodę w wyznaczaniu żołnierzy na inne stanowiska. Wpłynie to także na dyspozycyjność żołnierzy.

Planowane rozwiązania zakładają też ustanowienie okresu próbnego w wymiarze od roku do trzech lat, który pozwoli zweryfikować predyspozycje i umiejętności żołnierza oraz ocenić jego przydatność do dalszej służby. Dzięki temu armia będzie mogła zrezygnować z kandydatów, którzy nie nadają się do służby. Kluczową rolę w tym przypadku ma odgrywać ocena z opinowania służbowego. PG ■

Spokój nieśmiertelnika

**Żołnierzom i ludziom związanym z wojskiem
udostępniamy łamy „Polski Zbrojnej”, aby zachować
pamięć o tych, którzy odeszli.**

Pani Jolancie Jakubowskiej

wyrazy głębokiego współczucia
i najszczerze kondolencje z powodu śmierci

Męża

składają koleżanki i koledzy
z Inspektoratu Informatyki w Warszawie.

Pani Jolancie Jakubowskiej

wyrazy szczerzego żalu, głębokiego współczucia
i wsparcia w trudnych chwilach z powodu śmierci

Męża

składają koleżanki i koledzy
z Szefostwa Ogólnego Inspektoratu Informatyki.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

szer. Wojciecha Szymczyka,

żołnierza OT 12 Batalionu Lekkiej Piechoty
w Suwałkach.

Rodzinie i Bliskim

wyrazy współczucia składają
dowódca płk Sławomir Kocanowski,
żołnierze i pracownicy
1 Podlaskiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Siły w przetrwaniu ciężkich chwil
smutku i żałoby po utracie

Matki

**Panu płk. rez. Pawłowi Palickiemu
oraz jego Rodzinie i Najbliższym**

składają kadra i pracownicy RON
Oddziału Planistyczno-Rozliczeniowego Sztabu
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

**Panu płk. rez. Pawłowi Palickiemu
oraz jego Rodzinie i Najbliższym**

wyrazy szczerzego współczucia i żalu
w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Matki

składają Zarząd oraz członkowie
Zakładowej Organizacji Związkowej ZZ „Militaria”
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu płk. Waldemarowi Wiśniewskiemu

wyrazy współczucia, szczerze kondolencje
oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy RON
Centrum Szkolenia Inżynieryjno-Lotniczego
w Dęblinie.

„Śmierć nie jest kresem naszego istnienia – żyjemy
w naszych dzieciach i następnych pokoleniach.
Albowiem oni to dalej my, a nasze ciała to tylko zwiędłe
liście na drzewie życia”.

Albert Einstein

Łącząc się w żalobie i smutku po śmierci

Ojca

chcielibyśmy złożyć kondolencje i wyrazy współczucia

**Panu ppłk. Arkadiuszowi Wojtaczce
i Jego Bliskim.**

Komendant, żołnierze oraz pracownicy
Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej
w Mińsku Mazowieckim

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość
o nagłej śmierci
ppłk. rez. Tadeusza Baryckiego,
przewodniczącego Rady Miejskiej w Braniewie.
Wyrazy współczucia i szczerze kondolencje
Rodzinie i Bliskim
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje
Panu gen. bryg. Jackowi Ostrowskiemu
z powodu śmierci
Ojca
składa dowódca 15 Gołdapskiego Pułku
Przeciwtłocznego.

Wyrazy żalu i szczerzego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
gen. bryg. Jackowi Ostrowskiemu
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej.

Panu płk. Robertowi Wierzińskiemu
oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia i żalu z powodu śmierci
Mamy
składają Polski Narodowy Przedstawiciel Wojskowy
przy SHAPE w Belgii
oraz żołnierze i pracownicy.

Z wielkim żalem i smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci
mjr. rez. Mirosława Pokory.
Wyrazy współczucia i szczerze kondolencje
Rodzinie i Bliskim
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej.

Panu płk. Robertowi Wierzińskiemu
wyrazy głębokiego żalu i szczerze kondolencje
z powodu śmierci
Mamy
składają polska społeczność garnizonu Brunssum
w Holandii.

Z wielkim żalem i smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci
st. sierż. rez. Lucjana Górczyca.
Wyrazy współczucia i szczerze kondolencje
Rodzinie i Bliskim
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
9 Braniewskiej Brygady Kawalerii Pancernej.

„Im droższy człowiek, tym większy ból,
lecz wolą Boga jest rozstanie...”
Pograżonemu w żałobie i smutku z powodu śmierci
Matki
Panu st. chor. sztab. Adamowi Wolanowi
szczerze wyrazy współczucia
składają komendant główny, żołnierze i pracownicy
Żandarmerii Wojskowej.

Z głębokim żalem i ogromnym smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci
Pana Zbigniewa Jacuńskiego
długoletniego pracownika
Komendy Portu Wojennego Gdynia.
Pograżonej w bólu
Rodzinie i Bliskim
wyrazy współczucia składają
komendant, żołnierze oraz pracownicy
Komendy Portu Wojennego.

Panu st. chor. sztab. Adamowi Wolanowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim
wyrazy głębokiego współczucia,
szczerze kondolencje i słowa wsparcia
w trudnych chwilach po śmierci
Matki
składają komendant, żołnierze i pracownicy
Centrum Szkolenia Żandarmerii Wojskowej.

Panu kpt. Sławomirowi Grygierowi
 wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
 z powodu śmierci
Teściowej
 składają dyrektor oraz żołnierze i pracownicy
 Departamentu Budżetowego MON.

Wyrazy głębokiego żalu i współczucia
 z powodu śmierci
st. szer. Adama Łebka
Rodzinie i Najbliższym
 składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy RON
 Jednostki Wojskowej Nr 2286 w Opolu.

Łącząc się w żalobie, smutku i bólu
 z **płk. w st. spocz. dr. Wojciechem Przedwojewskim**
 z powodu śmierci jego
Ojca
śp. płk. dypl. w st. spocz. Jana Przedwojewskiego
 wyrazy głębokiego współczucia oraz szczerę
 kondolencje składają przyjaciele i koledzy.

Pani Agnieszce Młodzianowskiej
oraz Jej Rodzinie i Najbliższym
 wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
 z powodu śmierci
Brata
 składają koleżanki i koledzy
 z Inspektoratu Wojsk Lądowych
 Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu mł. chor. Sławomirowi Palińskiemu
 wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
 z powodu śmierci
Taty
 składają komendant, żołnierze oraz pracownicy
 Centralnego Poligonu Sił Powietrznych w Ustce.

Wyrazy głębokiego i szczerego współczucia
Panu ppłk. Krzysztofowi Bieniowi
 z powodu śmierci
Taty
 składają dowódca, kadra i pracownicy RON
 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Łasku.

Panu st. szer. Arturowi Wasylukowi
 wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
 z powodu śmierci
Taty
 składają komendant, żołnierze oraz pracownicy wojska
 Centralnego Poligonu Sił Powietrznych w Ustce.

Pani Barbarze Ligus
 wyrazy szczerego i głębokiego współczucia
 z powodu śmierci
Ojca
 składają koleżanki i koledzy z Oddziału Personalnego
 Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.



st. sierż. sztab. Andrzej Malinowski
 3 lutego 1997 roku, UNIFIL Liban

sierż. Grzegorz Szukielojć
 19 lutego 2008 roku, UNDOF Syria

szer. Robert Jankowski
 4 lutego 1992 roku, UNDOF Syria

kpr. Roman Góralczyk
 25 lutego 2005 roku, PKW Irak

Pamiętamy

kpr. Piotr Nita
 7 lutego 2007 roku, PKW Irak

st. kpr. Szymon Słowik
 26 lutego 2008 roku, PKW Afganistan

st. chor. sztab. Andrzej Rozmiarek
 10 lutego 2009 roku,
 PKW Afganistan

kpr. Hubert Kowalewski
 26 lutego 2008 roku,
 PKW Afganistan

**Panu st. chor. sztab. Wiesławowi Golińskiemu
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia i żalu z powodu śmierci
Mamy

składają gen. bryg. Andrzej Przekwas,
szef Zarządu J2 w SHAPE, oraz żołnierze i pracownicy
Polskiego Narodowego Przedstawicielstwa Wojskowego
przy SHAPE w Belgii.

Z wielkim żalem i smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

Pana st. chor. sztab. Tomasza Dąbrowskiego,
żołnierza 49 Bazy Lotniczej.

Rodzinie i Bliskim

składamy szczerą kondolencję
oraz wyrazy głębokiego współczucia.
Dowódca, żołnierze i pracownicy RON
1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych

**Pani Iwonie Wysockiej
oraz jej Rodzinie i Bliskim**

w tych trudnych chwilach
wyrazy głębokiego współczucia i szczerą kondolencję
z powodu śmierci

Dziadka i Babci

składają szef, kadra oraz pracownicy
Zarządu Obrony Powietrznej i Przeciwrakietowej
Inspektoratu Rodzajów Wojsk
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Pani Barbarze Rapacz

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają szef finansów Inspektoratu Wsparcia
Sił Zbrojnych oraz żołnierze i pracownicy wojska.

Panu gen. bryg. Jackowi Ostrowskiemu

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy RON
Dowództwa 16 Dywizji Zmechanizowanej.

Panu gen. bryg. Jackowi Ostrowskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i wsparcia
w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Taty

składają szef, żołnierze i pracownicy
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Olsztynie.

**Pani Agnieszce Nowackiej
oraz Rodzinie**

wyrazy współczucia i żalu
z powodu śmierci

Taty

składają koleżanki i koledzy
z Oddziału Organizacyjno-Planistycznego
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Panu płk. Dariuszowi Chruścielowi
wyrazy głębokiego współczucia i najszczerze
kondolencje z powodu śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy
z Inspektoratu Informatyki w Warszawie.

Panu płk Dariuszowi Chruścielowi

wyrazy szczerego żalu, głębokiego współczucia
i wsparcia w trudnych chwilach z powodu śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy
z Szefostwa Informatycznych Systemów Wsparcia
Dowodzenia Inspektoratu Informatyki.

Panu gen. bryg. Jackowi Ostrowskiemu

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają żołnierze i pracownicy
20 Bartoszyckiej Brygady Zmechanizowanej.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

„UMARŁYCH WIECZNOŚĆ DOTĄD TRWA, DOKĄD PAMIĘCIĄ SIĘ IM PŁACI”.

WISŁAWA SZYMBORSKA

Panu mjr. Piotrowi Drozdowi

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerego żalu oraz słowa wsparcia
w trudnej chwili z powodu śmierci

Brata

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Wojskowej Komendy Uzupełnień
w Nowym Targu.

Wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
oraz wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Mamy

Pani ppor. Zuzannie Kostrzewie

składają komendant, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wędrzynie.

**Panu ppłk. Stanisławowi Kaplińskiemu
oraz Rodzinie**

wyrazy współczucia i kondolencje
z powodu śmierci

Teścia

składają szef, kadra i pracownicy WSzW w Krakowie
oraz WKU Kraków, Nowy Sącz, Nowy Targ,
Oświęcim, Tarnów.

Panu gen. bryg. Jackowi Ostrowskiemu
wyrazy głębokiego żalu i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

**Panu plut. Radosławowi Mościanica
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy szczerego żalu oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Batalionu Ochrony Bazy w Redzikowie.

Panu płk. Stanisławowi Pilhulowi

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają kierownictwo oraz koleżanki i koledzy
Centrum Operacyjnego
Ministra Obrony Narodowej.

ZAMÓW PRENUMERATĘ NA ROK

**16 wydań („Polska Zbrojna”, „Polska Zbrojna. Historia”)
w cenie 97 zł + 16 E-WYDAŃ ZA DARMO!**



GŁOŚNIK BLUETOOTH W PREZENCIE

**Promocja ważna
do wyczerpania zapasów.**

Warunkiem skorzystania z promocji jest złożenie zamówienia na adres prenumerata@zbrojni.pl oraz wpłacenie kwoty 97 zł z dopiskiem „Prenumerata z głośnikiem” do 28 lutego 2019 roku na nasze konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002
Wojskowy Instytut Wydawniczy, Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa.

Zapraszamy również do prenumerowania tytułów: „Polska Zbrojna” w cenie 65 zł (12 wydań), „Polska Zbrojna. Historia” w cenie 32 zł (4 wydania), „Przegląd Sił Zbrojnych” w cenie 50 zł (6 wydań), „Kwartalnik Bellona” w cenie 100 zł (4 wydania).

www.polska-zbrojna.pl/prenumerata

Tel.: +48 261 840 400

prenumerata@zbrojni.pl

POLSKA ZBROJNA

Sprawdzony tytuł. Nowa odsłona